



i kłamstwo

W. Falkowska



ZADZIAŁANIE LADY

lesiojot

Wanda Falkowska
i kłamstwo zabija



ISKRY · WARSZAWA · 1973

Kurtyna zapadła i niemal natychmiast, zanim jeszcze rozbrzły światła, nad salą wzbija się burza oklasków. Publiczność porwało uniesienie. Rozbrzmiały brawa jeszcze gorętsze, gdy kurtyna rozsunała się ponownie i w świetle jupiterów znów stanęła ona, bohaterka tego wieczoru, ulubiona pieśniarka stolicy, uśmiechnięta, zwycięska, wężowo szczupła, od stóp do głów spowita w połyskującą biel: Paula Piano!

— Brawo! Brawo! — Jegomościowi w pierwszym rzędzie od uderzeń poczerwieniały nie tylko ręce, ale i pełna, wygolona twarz.

— Brawo, brawo! — zawtórowano z tylnych krzeseł.

Panowie wbijali w pieśniarkę zachwycony wzrok, gdy zza kosza róż, który właśnie ustawiano na scenie, kłaniała się publiczności tak nisko, że sploty czarnych włosów, opadając, przesłoniły jej twarz.

— Ma w sobie coś urzekającego — powiedziała starsza pani do swego towarzysza, który jej nie usłyszał.

— Bis! Bis! Bis! — odezwał się balkon. — Pau-la, Pau-la, Pau-la.

Broniła się wdzięcznie, potrząsając czarną grzywą, aż nagle ustąpiła, podeszła do mikrofonu i uciszona nagle sala wysłuchała ostatniego jej przeboju Ktoś, za kim tęsknią...

A potem znów odezwały się oklaski i powtórzyło wołanie o bis, ale Paula już nie zaśpiewała. Zeszła ze sceny, zanim owacja umilkła, lekka, zwiewna, pozostawiając po sobie smugę żalu.

Na widowni rozległ się trzask krzeseł i wrzawa głosów. Ludzie, niepomini swego zachwyty, sprzed minuty zaledwie, tłoczyli się do wyjścia, przepychając w kierunku szatni.

— Nie wiem, co takiego w niej widzą — mówiła przystojna blondynka do przysadzistego pana, trzymającego ją pod rękę jak klejnot, który można zgubić w tłumie.

— Nie przejmuj się — odrzekł sterując w kącie holu. — Poczekajmy chwilę. Nie lubię się pchać.

— U nas zawsze tak jest — ciągnęła blondynka. — Z miernot

robi się wielkości, lansuje, wysyła za granicę. Czy wiesz, że ona wyjeżdża na festiwal do Stanów Zjednoczonych?

— Nie przejmuj się — powtórzył. — Przecież także dopiero wróciłaś z festiwalu w Bukareszcie.

— No nie! — zaperzyła się blondynka. — Ty chyba sobie kpisz! Albo uważasz mnie za idiotkę.

— Ależ kochanie — próbował oponować. — Przecież wiesz, że jesteś od niej dużo lepsza.

— Co z tego, że ja o tym wiem! — wybuchnęła. — Jestem lepsza, ale nie było dla mnie miejsca w tym programie. Jestem lepsza, ale do Los Angeles pojedzie ona! Zawsze ona! Wszędzie ona! Podobno minister zaprosił ją na obiad. Taką...

— Ja ciebie też zapraszam na obiad — zażartował jej towarzysz. — A raczej na kolację. Dokąd pójdziemy? Jak myślisz?

— Masz zawsze głupie pomysły — nadała się. — Jakby taka kolacja mogła cokolwiek zmienić.

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż podszedł do nich szpakowaty, szczupły mężczyzna około czterdziestki.

— Dobry wieczór, Beato — powiedział schylając się nad jej dłonią — czarująco wyglądasz.

— Dziękuję — wiało od niej chłodem.

— Dobry wieczór, doktorze — zwrócił się z kolei do jej towarzysza. — Jak podobał się program? Paula przeszła dziś samą siebie.

— Hm... tak... to jest pan zapewne zna się na tym lepiej ode mnie — dukał czując, że blondynka przeszywa go spojrzeniem.

— Czy już przystąpiłeś do pisania recenzji? — zapytała kwaśno.

— No nie, moja droga, nie jestem taki szybki — roześmiał się.

— To pewnie się spieszysz! Nie chcemy cię zatrzymywać.

— Beata dziś nie w humorze — powiedział zwracając się do doktora. — A ja mam właśnie dla państwa propozycję. Urządzamy dla Pauli bankiet w „Krokodylu”. Będzie tam zresztą cały zespół. Chciałem prosić, abyście się do nas przyłączyli.

— Bankiet? — nie wytrzymała Beata. — Nic nie wiedziałam.

Trzymaliście to w tajemnicy.

— Skądże znowu. Pomysł powstał w ostatniej chwili. Zapraszam was serdecznie.

— Skoro redaktor Kurman prosi — powiedział pojednawczo lekarz — chyba nie odmówimy, Beciu.

— Nie nazywaj mnie Becią — zauważyła cierpko. — Jest to przemile zaproszenie, ale ja źle się czuję. Chciałabym wrócić do domu.

Przez twarz jej towarzysza przebiegł cień znużenia.

— Jak wolisz — powiedział tylko.

Kurman nie ustępował.

— Chodź i baw się z nami. Nawet gwiazdom nie przystoi mieć humory.

— Na dziś wystarczy ci chyba jedna gwiazda... — odcięła się.

— Już jest luźniej — wtrącił doktor. — Odbiorę nasze płaszcze.

— Beato — powiedział Kurman, gdy tamten się oddalił. — Twoje dąsy naprawdę ci szkodzą.

— Co cię to obchodzi — odpaliła. — Nie udawaj, że interesujesz się mną i moimi sprawami. Wiem dobrze, że masz to w nosie. Nie poczuwasz się nawet do zwykłej przyzwoitości.

— Nie rozumiem, co masz na myśli?

— Doskonale rozumiesz. Przypominam ci, co o mnie napisałeś.

— Nic złego. Zrobiłem ci dobrą recenzję z występu „Pod Gwiazdami”.

— Dobrą? Ja znam się na tym. „Kulturalna pieśniarka”. Co to znaczy kulturalna pieśniarka? Taka, przy której publiczność usypia z nudów! A o Pauli napisałeś: porywająca. Nie sądz, że nie wiem, dlaczego.

— Zamierzasz zrobić mi scenę zazdrości?

— Zawsze byłeś zarozumiały. Nie sądzisz chyba, że mi jeszcze na tobie zależy.

— Ależ wiem, wiem. Masz u boku człowieka zakochanego bez pamięci. Doktor Piwkowski zrobi dla ciebie wszystko. Nawet teraz bez .szemrania wróci do domu, choć dałbym głowę...

Urwał, gdyż lekarz wracał właśnie z płaszczem Beaty przewieszonym przez ramię.

— Nie dała się namówić? — zapytał Kurmana.

— Obawiam się, że nie.

— A właśnie, że zmieniłam zdanie — zwróciła się do Piwkowskiego. — Jedziemy do „Krokodyla” uczyć porywającą śpiewaczkę, gwiazdę polskiej rewii, Paulę, Piano. Czyż Pelagia Kuć mogła kiedykolwiek marzyć o takiej karierze?!

— Spotkamy się na miejscu — Kurman skłonił się jej sztywno.

— Beato, idziemy — doktor Piwkowski znów ujął ją pod ramię i stanowczo poprowadził ku wyjściu.

Westybul teatralny pustoszał z wolna, jeszcze tylko ostatni widzowie bez pośpiechu wdziewali płaszcze. Przed powiększoną fotografią Pauli Piano stał niewysoki, szaro ubrany mężczyzna.

— Jeszcze jeden wielbiciel — syknęła Beata.

— I to jaki! — stojący obok bileter wpadł jej w słowa. — Jest u nas na przedstawieniu przynajmniej dwa razy w tygodniu.

— Pewnie jakiś meloman — uśmiechnął się doktor Piwkowski.

— On, proszę pana, uważa panią Piano — bileter był gotów służyć informacjami. — Potrafi godzinami wystawać obok bramy, którą wychodzą aktorzy, żeby ją zobaczyć. Czasem aż się z niego śmiejemy.

— Pewnie jakiś wariat — ucięła Beata.

— Ma pani rację, u niego chyba wszyscy w domu.

— Chodźmy do samochodu — zaproponował doktor Piwkowski gdy znaleźli się na ulicy Polnej. — Ewentualnie zostawimy go na Starym Mieście, jeśli trochę wypiję.

— Myślisz, że ja naprawdę chcę tam jechać? — spytała Beata.

— Przed chwilą powiedziałaś...

— Powiedziałam byle co, żeby spławić Kurmana. Działa mi na nerwy.

— Uprzedzasz się do ludzi. To sympatyczny człowiek.,

— Dla ciebie najsympatyczniejsi są ci, którzy mnie J szkodzą.

Doktor Piwkowski nie odpowiedział. Wyjął kluczyki do swego Fiata i otworzył przed Beatą drzwi. Milczała, gdy zajął miejsce za kierownicą i przekreślił kluczyk stacyjki. Powtórzył tę czynność drugi raz i trzeci. Starter był martwy.

— Co się stało? — zapytała Beata.

— Zaraz sprawdzę.

Piwkowski wyszedł z wozu i otworzył maskę. Beata siedząc w środku widziała jego sylwetkę zgiętą nad motorem. Po chwili niecierpliwość wzięła górę.

— Mariusz, długo jeszcze?! — zawołała przez otwarte ; okno.

— Coś się stało z akumulatorem. Chyba będziemy musieli ruszyć na pych.

— Na pych? Sprzed teatru? Wykluczone!

— Dlaczego?

— Nie będziemy urządzali tu przedstawienia. Proszę cię, weźmy taksówkę.

— Każdemu taka historia może się zdarzyć. Zwykła rzecz.

— Wysiadam — oznajmiła Beata — i jadę do domu. Nie zamierzam godzinę tu sterczeć.

Wyskoczyła z samochodu i stanęła obok niego. Zrezygnowany wyprostował się i zatrzasnął maskę.

— Dobrze — powiedział. — Chodźmy do Marszałkowskiej. Tam coś złapiemy. Wóz zabiorę stąd rano.

Przed teatrem wciąż stały jeszcze grupki ludzi. Skręcili w ulicę Oleandrów i ujrzeli tłumek przed wyjściem dla aktorów.

— Ale organizacja — cierpko zauważyła Beata. — To dla niej, żeby jej zrobić klakę.

— Przestań o tym myśleć — doradził doktor.

Nie zdążyła odpowiedzieć, gdy drzwi teatru otworzyły się i stanęła w nich Paula Piano w długiej jasnej sukni i pelerynie z futra narzuconej na ramiona. Wśród czekających rozległy się oklaski.

— Niech żyje Paula! — zawołał ktoś. — Niech żyje!

Pieśniarka odwróciła się w tamtą stronę ze wzniesioną

do pozdrowienia ręką i wtedy właśnie w ciemności rozległ się suchy trzask, podobny do tych, jakie zazwyczaj wydają aparaty fotograficzne. Paula Piano zachwiała się gwałtownie i runęła na płyty chodnika. Zebrani znieruchomieli na chwilę, potem tłum zaszumiał, skłębził się i zakotłował. Najbliżej stojący rzucili się ku postaci kobiecej skulonej na asfalcie. Leżała u ich stóp, nieruchoma, głucha na wołania, z twarzą szarą w świetle ulicznej latarni.

Porucznik Olski spędzał samotnie wolny wieczór, jak zawsze, od czasu kiedy przestał spotykać się z Krystyną. Wieczory te były zresztą rzadkie i porucznik zwykle się na nie cieszył. Wracał wtedy wcześniej do domu, do ma- 'nej kawalerki na 'Mokotowie, brał gorącą kąpiel i kładł się do łóżka. Godziny wieczorne, aż do północy, wypełniała mm lektura przy akompaniamencie ściszonej muzyki, płynącej ze stojącego obok radia. Czytywał najchętniej książki historyczne i pamiętniki, od czasu do czasu jakąś powieść, byleby nie była to powieść kryminalna. Tym gatunkiem literackim porucznik Olski gardził bowiem zdecydowanie, uważając, że autorem najlepszych opowiadań kryminalnych jest życie. Wszystkie intrygi, powikłania i zaskoczenia, wymyślone przez najwytrawniejszych autorów, wydawały mu się dziecinnie naiwne i wprawiały go w zdenerwowanie.

Odłożył na chwilę czytana książkę, wsłuchując się w melodię jakiejś piosenki, gdy zadzwonił telefon. Porucznik Olski drgnął na dźwięk dzwonka, gwałtownie wyrwany z zamyślenia, i niechętnie sięgnął po słuchawkę. Zdziwił się, gdy usłyszał głos majora Barteckiego. Major oświadczył, że Olski jest mu potrzebny, i prosił, aby natychmiast zjawił się w komendzie miasta. Samochód po niego miał przyjechać za chwilę.

Zrozumiał, że wydarzyło się coś niezwykłego, i chciał zapytać o to zwierzchnika, ale w porę ugryzł się w język. Pracując w milicji przywykł do unikania zbędnych indagacji. Odparł więc tylko: „Rozkaz”, równocześnie wyskakując z łóżka.

W gruncie rzeczy był wściekły, choć starał się nie przyznawać do tego przed samym sobą. Już dawno postanowili nie denerwować się, gdy zajęcia służbowe nagle mąciły mu porządek dnia czy wieczoru. Wiedział, że skoro obrał taki właśnie zawód, a nawet go polubił, musi podporządkować temu całe swoje prywatne życie. Zmarszczył czoło, gdy przed oczyma stanęła mu zapłakana twarz Krystyny, która skarżyła się, że jej nie kocha. Są rzeczy, których kobiety nie potrafią zrozumieć.

W kwadrans później wchodził do budynku komendy i skierował kroki prosto do gabinetu majora Jerzego Bardeckiego. Zwierzchnika zastał pogrążonego w rozmowie z kapitanem Rostą. Na stole stały dwie nie dopite szklanki kawy.

— Dobrze, że jesteście, poruczniku — powiedział major i zawiesił głos.

Olski czekał wyprostowany na dalsze jego słowa. Musiały być ważne, skoro major wstał i okrążywszy stół zbliżył się do Olskiego.

— Przed godziną na ulicy Oleandrów została zastrzelona Paula Piano — powiedział wreszcie.

— Nie może być! — wyrwało się Olskiemu.

Był zmieszany, nie potrafił ukryć wrażenia, jakie zrobiła na nim wiadomość.

— Nasi ludzie już tam są — dorzucił major. — Chcę, żebyście i wy zajęli się tą sprawą.

— Tak jest, obywatelu majorze.

Odpowiedź przyszła machinalnie, podczas gdy w głowie porucznika Olskiego kłębiły się burzliwe myśli. Paula Piano! To śmieszne, od dawna wyrósł z tych lat, kiedy to młodzi ludzie kochają się w aktorkach. Ale Paula Piano zdołała poruszyć w nim jakąś czułą strunę. Słuchając jej często bywał zachwycony jak sztubak. Nie mówiąc już o tym, że stanowiła dla niego ideał urody kobiecej. Pociągały go takie szczupłe, wysokie brunetki.

— Jak to się stało? — zapytał głucho. — Czy mógłbym wiedzieć?

— Ależ naturalnie, poruczniku — powiedział major. — Siadajcie, proszę. Wiedzieć nawet musicie, skoro macie zabrać się do roboty.

— Nie będzie to łatwe zadanie — wtrącił kapitan Rosta.

— Dziś w Teatrze Rewiowym na Polnej odbyła się premiera programu Mocne uderzenie. Paula Piano występowała w tym spektaklu i podobno odniosła ogromny sukces. Gdy wychodziła z teatru, na ulicy Oleandrów oczekiwali na nią wielbiciele. I wtedy ktoś strzelił do niej w ciemności, zabijając ją na miejscu.

— Musiał to być świetny strzelec — zauważył kapitan Rosta. — Warunki miał nie najlepsze. Ulica Oleandrów jest słabo

oświetlona i było na niej pełno ludzi.

— Zdołał zbiec? — zapytał porucznik Olski.

Major Bartecki skinął głową.

— Właśnie. Nie tylko nikt go nie zatrzymał, ale nawet nie zauważył. Wszyscy rzucili się do ratowania pieśniarki. .

— Jak to możliwe w takim tłumie?

— Tłum najłatwiej traci głowę, poruczniku. Nawet inteligentnych ludzi zawodzi wówczas przytomność umysłu.

— Myślę, że trzeba rozpocząć od zebrania informacji o Pauli Piano — rzekł Olski. — Czy mam się tym zająć?

Major Bartecki uśmiechnął się.

— Staraliśmy się nie tracić czasu. Wraz z kapitanem Rostą zdobyliśmy już pewne wstępne wiadomości.

— Tak — podjął kapitan Rosta. — Śledztwo będzie skomplikowane ze względu na specyfikę środowiska teatralnego. Wiecie, jak to jest. Intrygi, zawiści. Paula Piano zrobiła błyskawiczną karierę. Trzy lata temu mało kto o niej słyszał, a ostatnio stała się jedną z najpopularniejszych pieśniarek. Jak mi się wydaje, lansowano ją na pierwszą gwiazdę polskiej estrady. To mogło się komuś nie podobać, a nawet wręcz przeszkadzać.

— Tak jest — porucznik Olski ciągle nie mógł przyjść do siebie.

— Trzeba będzie przeprowadzić szereg rozmów z ludźmi teatru — ciągnął kapitan. — Nie tylko z aktorami i śpiewakami, ale też i z personelem technicznym. Kto wie, czy oni nie powiedzą nam najwięcej. Pójdźcie jutro do teatru, poruczniku Olski, i przesłuchajcie garderobianą, szatniarki, bileterów. Ci ludzie, żyjąc w cieniu aktorów, najbardziej się nimi interesują i mogą niejedno zauważyć. Nie wzywajcie ich tu. W teatrze z pewnością dowiedzie się znacznie więcej.

— Rozumiem — powiedział Olski.

W gruncie rzeczy sposób, w jaki mówił do niego kapitan Rosta, trochę go denerwował. Pracował z kapitanem niejednokrotnie, cenił go i szanował, ale źle znosił ów pouczający ton, którego mu tamten nie szczędził.

— Wynik sekcji będzie jutro — odezwał się major Bartecki. —

Przed chwilą rozmawiałem z zakładem medycyny sądowej, dokąd zawieziono zwłoki...

Na dźwięk tego słowa na twarzy porucznika Olskiego odbił się wyraz przykrości. Major uśmiechnął się niespodziewanie i zapytał:

— Lubiliście Paulę Piano?

— Tak, bardzo — przyznał Olski.

— Ja mało ją znałem — major wciąż się uśmiechał. — To już nie te lata, żeby mnie interesowały pieśniareczki, choćby i najładniejsze. Ale ona była bożyszczem mojej córki. Smarkata czesała się jak Piano, zapuściła włosy i nawet chciała je ufarbować. Na szczęście zwierzyła się żonie...

— Cóż — zauważył kapitan Rosta— żyjemy w epoce, w której styl młodzieżowy narzucają idole. Ich się wielbi i naśladuje. A Paula Piano była idolką. Chyba można ją tak nazwać?

— Nie wiem, nie jestem pewien — zmieszał się Olski.

— To nieważne. Nie napiszemy z tego powodu prośby o poradę językową do Życia Warszawy, prawda, majorze?

— Zaraz wrócą tu nasi — rzekł major Bartecki. — Chciałbym, abyście zaczekali, poruczniku. Jest z nimi sierżant Boczek. Weźmiecie go i natychmiast pojedziecie do mieszkania Piano przy ul. Kruczej. Wedle naszych informacji dziewczyna mieszkała sama. W jej torebce znaleziono komplet kluczy, które Boczek wam, dostarczy.

— Tak jest, obywatelu majorze.

— Wicie oczywiście, na co trzeba zwrócić w pierwszym rzędzie uwagę — zaczął kapitan Rosta, ale w tej chwili zadzwonił telefon.

Major Bartecki podjął słuchawkę. Przez chwilę słuchał słów płynących z drugiej strony drutu.

— Zaraz tam będziemy — powiedział tylko.

— Kapitanie Rosta, jedźcie natychmiast na Kruczą wraz z porucznikiem — zwrócił się do nich. — Otrzymałem wiadomość, że do mieszkania Pauli Piano wtargnął jakiś mężczyzna.

— Prędeż — kapitan Rosta ponaglił kierowcę. — Co się wam dzisiaj stało? Jedziecie jak żółw.

— Mam osiemdziesiąt na liczniku, obywatelu kapitanie, to już i tak nieprzepisowo.

— Dobra, dobra. Jak myślicie, poruczniku, poczeka na nas ten nocny gość?

— Pewnie mu się spieszy — odparł Olski.

— Macie rację. Zechce zniknąć jak najprędzej.

— Gdyby to był ten... — porucznik nie dokończył zdania.

— Widzę, że puszczacie wodze marzeniom — zażartował kapitan.

Kierowca docisnął gaz, skręcił z piskiem opon i zahamował przed domem, w którym mieszkała Paula Piano.

— Szybko — powiedział kapitan Rosta, choć Olski wyskoczył już z samochodu.

Przed bramą spotkali dwóch funkcjonariuszy, którzy zasalutowali przybyłym.

— Sierżant Boczek jest z ludźmi na klatce schodowej, obywatelu kapitanie — powiedział jeden z nich. — A my obstawiamy dom.

— Nikt nie wychodził? — chciał wiedzieć Olski.

— Nie, obywatelu poruczniku.

Na półpiętrze minęli dwóch dziarskich cywilów ćmiących papierosy, a pod drzwiami mieszkania Piano natknęli się na sierżanta Boczka, który bez słowa wręczył kapitanowi klucze.

Po chwili stali w niedużym, ciemnym holu, oświetlonym wąską smuzką światła przenikającego z pokoju. Porucznik Olski pchnął nie domknięte drzwi i znalazł się w środku. Na jego widok zerwał się z fotela wysoki masywny blondyn i zatrzepotał przykrótkimi jakby rękami. Od razu wydał się Olskiemu znajomy.

— Co pan tu robi? — zapytał porucznik, a głos jego zabrzmiał ostro.

— Ja... Ja... — bąkał tamten. — Czy panowie...

— Jesteśmy z milicji — wkroczył kapitan Rosta. — Chcemy

wiedzieć, co pan robi w cudzym mieszkaniu?

— Nic... po prostu nic.

— Jak pan się tu dostał? — indagował kapitan Rosta.

Wchodząc obaj zauważyli, że drzwi były nienaruszone, a zamek w idealnym porządku.

— Miałem klucze — odrzekł nieznajomy. Wyglądał na przerażonego i kompletnie załamane, co przy jego posturze robiło wrażenie ni to śmieszne, ni to żałosne.

— Skąd? — indagował kapitan.

Mężczyzna wahał się przez chwilę.

— Od niej — wyszeptał wreszcie.

— Z jakiej to okazji pani Piano powierzyła panu klucze od swojego mieszkania?

— Po prostu... dała mi — odparł bezradnie.

— Czy pan na nią czeka? — zagadnął.

— Ja? Och, to niemożliwe, to zupełnie niemożliwe. To nie mogło się stać!

Opadł na fotel, na którym siedział poprzednio, i z piersi jego wyrwał się szloch.

— A zatem pan wie — Olski zawiesił głos.

Tamten nie zamierzał Odpowiedzieć. Wciąż płakał.

— Niech pan się uspokoi — zaproponował Rosta.

Porucznik Olski nachylił się do kapitana i szepnął mu coś do ucha. Tymczasem mężczyzna łkał dalej, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi.

— W ten sposób trudno rozmawiać — zauważył kapitan Rosta nieco łagodniej.

— Ja wcale nie chcę rozmawiać! — rozłościł się nagle blondyn.

— To panowie przyszliście tutaj w nocy i nagabujecie mnie. Nie jestem włamywaczem, więc idźcie i zostawcie mnie w spokoju.

— Nie marzymy o niczym innym — zapewnił kapitan. — Czy mamy przed sobą pana Floriana Murkowskiego?

Na twarzy mężczyzny nadal malował się gniew.

— Tak — powiedział bynajmniej nie zdziwiony rozpoznaniem.

— Znany aktor — kurtuazyjnie dorzucił Olski, ale blondyn tylko machnął ręką.

— Czy możemy prosić o dowód osobisty?

— Po co? Przecież i tak mnie poznajecie.

— Musimy dopełnić formalności — głos kapitana brzmiał pojednawczo.

Mężczyzna wahał się przez chwilę, po czym sięgnął do kieszeni marynarki. Rosta przeglądał przez chwilę dokument i zwrócił go właścicielowi.

— Dlaczego mnie legitymujecie? Czego chcecie ode mnie? Dlaczego wchodzicie w nocy do jej mieszkania? — tamten znów wybuchnął.

— Pan chyba wie, dlaczego — odrzekł porucznik Olski. — A zresztą to my jesteśmy tutaj, żeby zadawać pytania. Skąd pan wziął klucze?

— Panowie, przecież miałem je od dawna. Paula, to jest panna Piano i ja... — znów przeszkodził mu szloch, nerwowe łkanie.

— Państwo przez pewien czas graliście w jednym teatrze? — odezwał się Olski. — Czy łączyło was coś więcej?

— Paula i ja...

— Czy mógłby pan bliżej wyjaśnić...

— Co to panów obchodzi? — znów rzucił się Murkowski. — Nie wasza rzecz.

— Obchodzi nas wszystko, co dotyczy panny Piano. Może pan zechce odpowiedzieć.

— Myśleliśmy o małżeństwie.

— W teatrze nikt o tym nie wiedział — zauważył kapitan Rosta.

— To była nasza sprawa — Murkowski znów się rozszłościł. Gdy wpadał w krzyk głos jego stawał się cienki, zbliżony do dyszkantu. — Nie mieliśmy obowiązku zwierzać się nikomu. Czy waszym zdaniem powinny o tym trąbić afisze?!

— Skądże. Każdy ma prawo do prywatnego życia — zauważył kapitan Rosta. — Tylko wie pan. Podobne wieści zwykle się roznoszą.

— Roznoszą, nie roznoszą, do czego pan zmierza? Chcę wreszcie mieć spokój.

— Pan niepotrzebnie tak się unosi — Rosta próbował go uspokoić. — I nastawia do nas źle. A przecież powinniśmy być sojusznikami.

— Ciekaw jestem, dlaczego! — skrzywił się Murkowski.

— To proste. Paula Piano zginęła dziś wieczorem. My pragniemy znaleźć zabójcę, a i panu chyba zależy, aby został ujęty i przykładowie ukarany.

— I dlatego przyszliście tutaj? Myślicie może, że to ja ją zabiłem?

— Nic nie myślimy — kapitan Rosta z wolna tracił cierpliwość.

— Tylko prowadzimy śledztwo. A pan powinien nam w tym pomóc.

— W jaki sposób?

— Pan chyba wiele wie o panie Piano. Pańskie informacje mogą być przydatne.

— Nie prowadzicie chyba śledztwa przeciwko niej. Nie macie prawa dopytywać się o jej prywatne życie.

— Widzi pan, jeśli chce się znaleźć sprawcę zbrodni, dobrze jest jak najwięcej wiedzieć o ofierze. Czy panna Piano miała wrogów?

— Taka osoba jak ona? Pewnie, że miała. Nienawidziły jej wszystkie kobiety. Ludzie zazdrościli jej. Talentu, urody, sukcesu.

— Czy był pan dziś wieczorem na premierze? — wtrącił porucznik Olski.

Murkowski wydał się zdziwiony.

— Nie byłem — odparł.

— Z jakiego powodu?

— Byłem zajęty. Przecież grałem dziś wieczór w Teatrze Satyry. Z Paulą miałem zobaczyć się później.

— Rozumiem. Można wiedzieć gdzie?

— Tu, gdzie jesteśmy — odrzekł drwiąco.

— A nie na bankiecie?

— Jakim znowu bankiecie? — Murkowski spojrzał na Olskiego spode łba.

— Dla całego zespołu miał odbyć się bankiet w restauracji „Krokodyl” — uprzejmie poinformował go Olski. — Nie wiedział pan o tym?

— Wiedziałem. Nie wybierałem się.

— Można wiedzieć, dlaczego?

Murkowski znów o mało nie wybuchnął. Powściągnął jednak swe rozdrażnienie.

- Nie chcieliśmy się afiszować. Wolałem spotkać ją w domu.
- I dlatego pan tu przyszedł?
- Chyba jasne.

Porucznik Olski bacznie rozglądał się po wnętrzu. Był to duży pokój, którego urządzenie budziło w nim mieszane uczucia. Obok starej sekretery stała pretensjonalna etażerka z porcelanowymi zwierzątkami. U sufitu wisiał zbyt wielki krzyształowy żyrandol, a na sofie siedziała wypchana kolombina. Oszklone drzwi łączyły to pomieszczenie z drugim pokojem, który był zapewne sypialnią gwiazdy. Olski skierował się tam i zapalił światło. Ujrzał nie zasłany tapczan, moc drobiazgów porozrzucanych na toalecie, szeroko otwarte drzwi ściennej szafy. Paula Piano nie była osobą zbyt pedantyczną-

Tymczasem kapitan Rosta próbował nadal rozmawiać z Murkowskim, który nie umiał określić dokładnie, o której godzinie przyszedł na Kruczą, i znów coś krzyczał swoim przenikliwym dyszkantem.

— Zostawcie mnie w spokoju — powtarzał histerycznie, gdy porucznik wrócił do pokoju. — Nie wiem, co się ze mną dzieje, nie umiem zebrać myśli.

— Kiedy pan dowiedział się o tym, co zaszło? — kapitan Rosta nie zrażał się. — Zanim pan tu przyszedł?

Murkowski zastanowił się przez chwilę.

- Tak, oczywiście.
- Można wiedzieć, od kogo?
- Czy nie wszystko jedno? Wie już o tym pół miasta.
- Dla nas to może mieć znaczenie.
- W końcu żaden sekret. Od Ankiewicza.
- Tego reżysera?
- Tak. Zatelefonował do mnie.
- Dlaczego zadzwonił z tą wiadomością właśnie do pana?
- Dlaczego i dlaczego. Nie wiem, dlaczego. Mam dość tych pytań. Nie odpowiem już na żadne. Wynoście się stąd! — ryknął.
- Przykro mi — Rosta nie przestawał być uprzejmy. — Ale to

pan opuści mieszkanie.

— Zostawiwszy nam klucze — dorzucił Olski.

— Jak to?! Nie rozumiem — Murkowski znów zaczął tracić pewność siebie.

— Po prostu — powiedział Rosta. — Nie może pan zatrzymać kluczy od lokalu. Dopóki na to nie zezwolimy, nikt nie będzie mógł tu przychodzić. A potem klucze otrzyma najbliższa rodzina zmarłej.

— Paula nie utrzymywała kontaktów z rodziną.

— Wie pan coś bliższego na ten temat?

— Wiem, że ma matkę, zdaje się, pod Krakowem.

— Były poróżnione?

— Powiedziałem już, że odmawiam odpowiedzi na pańskie pytania.

— Powiedział pan. Proszę zwrócić klucze.

Murkowski z twarzą, na której malowała się obraza, sięgnął do kieszeni. Grzebał w niej chwilę, po czym wyciągnął komplet kluczy i położył na sekreterze.

— Mam nadzieję, że panowie są zadowoleni.

— Dziękuję panu — rzekł kapitan Rosta. — A teraz pojedzie pan z nami do komendy.

Murkowski podniósł się z wolna. Wyciągnął rękę po książkę leżącą przed nim na małym stoliku i gdy chciał schować ją do kieszeni, tomik wysunął mu się i upadł na podłogę. Schylił się, by go podnieść.

Kapitan był jednak szybszy. Pierwszy sięgnął po książkę.

— Ciekaw jestem, co pan czyta — powiedział od niechcienia i zaczął przeglądać kartki. — Umarli rzucają cię Wydrzyńskiego? Czy to dobre?

— Nie jestem w nastroju do rozmów o lekturach — opryskliwie powiedział Murkowski próbując odebrać książkę kapitanowi. Rosta przytrzymał ją, panowie bez słowa chwilę się mocowali, aż tom znów upadł na dywan.

— Coś pan zgubił — zauważył kapitan Rosta podnosząc białą kartkę, która wysunęła się spośród stron powieści.

Kawiarnia „Antyczna”, jak codziennie o tej porze, była przepelniona. Choć nie wyróżniała się niczym wśród warszawskich kawiarni, a w mieście powstawało coraz więcej lokali bardziej nowoczesnych i elegantszych, to odrobinę ponure, trącające myszką wewnątrz wciąż zachowywało swoją popularność. Goście siedzieli niemal jedni na drugich, kelnerki przeciskały się między stolikami a bufetem, w powietrzu unosiły się kłęby dymu i gwar, w którym poszczególne słowa zlewały się w swoistą kakofonię. Jedni przychodzili tu załatwić swoje sprawy zawodowe, inni spotkać się przy pół czarnej i wymienić ploteczki z ostatnich dni. W Warszawie zawsze dzieje się przecież coś ciekawego, o czym warto powiedzieć znajomym albo co należy od nich usłyszeć. Niejedna z wieści, jakie okrzykiły miasto, wyszły właśnie ze ścian tej kawiarenki, aby w jakiś czas później powrócić tu w zmienionej lub uzupełnionej wersji. Do „Antycznej” dobrze było zaglądać około godziny dwunastej, jeśli chciało się utrzymać należytą pozycję w życiu towarzyskim stolicy. O tej porze wpadali tu dziennikarze z pobliskich redakcji, filmowcy, aktorzy, a nawet pisarze.

Minęło właśnie południe, gdy w drzwiach lokalu stanęła Beata Kalska. Bezradnie rozejrzała się po wnętrzu, szukając wolnego stolika. Wejście to nie pozostało nie zauważone. Kelnerka pozdrowiła ją znad pełnej tacy, którą właśnie niosła, przy paru stolikach umilkły rozmowy i bywalcy „Antycznej” podnieśli głowy, aby lepiej przyjrzeć się wchodzącej. Zazwyczaj wrażenie, jakie wywierała na innych, sprawiało jej dużą przyjemność, dziś jednak nie zwracała na to uwagi. Niecierpliwie rozglądała się za jakimś miejscem.

— Zaraz coś się zwolni — pocieszyła ją przechodząca obok kelnerka.

W tej samej chwili jeden z dwóch młodych ludzi siedzących pod oknem dał jej ręką znak, że odchodzą. Posterowała w tamtym kierunku. Usiadła i spojrzała na zegarek. Iga spóźniała się jak zwykle.

Zamówiła kawę i wyciągnęła z torebki gazetę, aby raz jeszcze

spojrzeć na notatkę na pierwszej stronie. Znała ją aż nadto dobrze, a przecież treść wciąż ją fascynowała. „Wybitna pieśniarka estradowa, Paula Piano, lat dwadzieścia pięć, została zamordowana wczoraj wieczorem, gdy w towarzystwie przyjaciół opuszczała Teatr Rewiowy przy ul. Polnej po premierze spektaklu Mocne uderzenie. Artystka zginęła od strzału rewolwerowego, który oddał do niej nieznany sprawca.

Paula Piano otrzymała ostatnio szereg nagród na festiwalach krajowych i zagranicznych za najlepsze wykonanie i interpretację piosenek. W ubiegłym roku ukazało się też w sprzedaży kilka jej płyt z ulubionymi przez publiczność przebojami, jak: Ach, chcę się mścić na tobie, Wieczorny walc, Mój miły itd. W zmarłej polska estrada straciła swą czołową pieśniarkę, kontynuatorkę najlepszych naszych tradycji kabaretowych. Śledztwo w sprawie tajemniczej śmierci artystki prowadzą organy MO pod nadzorem prokuratury stołecznej”.

Beata jeszcze raz wzrokiem przebiegła tekst. Drażnił ją ton notatki. Ale zarazem zdawała sobie sprawę, że pochwały, jakie otrzymują zmarli, są przecież najczęściej ostatnimi pochwałami. Teraz już Paula Piano, choćby najbardziej sławiona i najgoręcej opłakiwana, przestała być rywalką. Wkrótce wszyscy o niej zapomną, gdyż taka jest zwykła kolej rzeczy. Przypomniała sobie suchy odgłos strzału wśród wrzawy, jaka wypełniała ulicę Oleandrów, i zrobiło jej się nieprzyjemnie. Była tak zajęta myślami, że nie zauważyła wejścia Igi Amur. Przyjaciółka opadła na sąsiednie krzesło nawet się nie witając.

— To potworne! — zaczęła. — I pomyśleć, że byłaś przy tym!

— Było przy tym co najmniej pięćdziesiąt osób — odparła chłodno.

— I nikt z was go nie zatrzymał?

— Ty byś to pewnie zrobiła, gdybyś była na miejscu — głos Beaty przesycony był ironią.

— Wciąż jej nie lubisz — westchnęła Iga.

Beata nie uważała za właściwe odpowiedzieć. Wzruszyła ramionami.

— Ktoś od dawna czyhał na jej życie — powiedziała Iga. — To

oczywiste.

— Skąd ten pomysł?

— Wiesz równie dobrze jak ja. Pamiętasz tę historię nad morzem?

— Masz na myśli jej kraknę? Wcale nie była groźna.

— Nie była groźna, bo Paulą miała szczęście. Mogła być bardzo niebezpieczna.

— Zwyczajnie wylądowała w rowie, co zdarzyło się wielu kierowcom, zwłaszcza takim jak ona.

— Wylądowała w rowie, bo ktoś zajechał jej drogę.

— Tak opowiadała ona sama. Brzmiało to dużo lepiej, niż gdyby zwyczajnie przyznała, że straciła panowanie nad kierownicą.

— Beata. Nie lubię, gdy tak mówisz. To niesprawiedliwe.

— Po prostu staram się tylko patrzeć rozsądnie.

— Przypominasz sobie, co opowiadał Florian, który z nią jechał?

— Florian zawsze mówił wszystko, czego życzyła sobie Paula. Wiesz, że był całkowicie pod jej wpływem.

— Nie do tego stopnia, żeby zmyślać. On twierdził, że tamten samochód jechał za nimi od samej Bydgoszczy. Zauważył go po raz pierwszy, gdy wychodzili z obiadu w restauracji „Pod Orłem”.

— Murkowski zawsze był mitomanem. Zapominasz, że w lipcu pół Polski jeździ nad morze i że nie mają do wyboru zbyt wielu tras.

— Zgoda, ale Volkswagen jechał przez cały czas za nimi, Paula prowadząc widziała go w lusterku, przypominasz sobie chyba, że o tym opowiadała. Zwalniała celowo, żeby mógł ją wyprzedzić, ale tamten kierowca nie robił tego. Dopiero wtedy za Gdynią.

— Nagle ją wyprzedził i wykonał gwałtowny skręt w poprzek szosy. Włóż to między bajki.

— Nie, Beata. Na pewno tak było. Czy pamiętasz, że milicja prowadziła w tej sprawie dochodzenie?

— Które zostało umorzona. Żadne z nich, ani Paula, ani Florian, nie zapamiętało nawet numeru wozu, który jechał za

nimi taki kawał drogi.

– A ty byś zapamiętała?

– Ja nie opowiadałabym bzdur.

– Czy bzdurą jest i to, że ona nie żyje?

Kalska wzdrygnęła się.

– Daj spokój. Naprawdę okropne, co w ciągu ułamka sekundy może stać się z człowiekiem. Gdybyś ją widziała leżącą na tym chodniku...

– Powiedz, kto mógł to zrobić?

– Ktoś, komu zależało na tym, aby zniknęła na zawsze.

– Zlituj się, ale dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Cóż my w końcu wiemy o niej i o jej życiu?

– Coś tam jednak wiemy. Przecież pracujemy z Paulą w jednym teatrze przez parę lat.

– Od trzech lat, to jest od czasu, kiedy przyjechała do Warszawy. A co wiesz o jej poprzednim życiu?

– Miała niewiele ponad dwadzieścia lat, kiedy przyjechała tutaj. Czym mogła się komuś narazić taka młoda dziewczyna?

Beata Kalska znów wzruszyła ramionami.

– Nie uderzyło cię nigdy, że Paula tak odcięła się od swojej rodziny i od wszystkiego, co było przedtem? Nawet dzieciństwa nigdy nie wspominała. Jakby miała coś do Ukrywania.

– Owszem, kiedyś rozmawiałam o tym z Ankiewiczem. On powiedział, że to się często zdarza u ludzi, którzy robią w życiu gwałtowną karierę. Gdy stają się popularni, odchodzą od tych, którzy otaczali ich we wczesnej młodości.

– Nawet od rodzonej matki? Wcale do niej nie jeździła.

– Wiesz, myślę, że w tym było sporo snobizmu. Przypominasz sobie Paulę taką, jak ją poznałyśmy? Nie umiała się zachować, nie umiała jeść. Nie wiedziała nawet, że mówi się „dzień dobry” wchodząc do pokoju. Ankiewicz bardzo nad nią pracował.

– Jak Pigmalion, co?

– Nie żartuj. Zrobił z niej artystkę.

– Gwiazdę pierwszej wielkości.

– Beato, ona już nie żyje.

— Masz rację. Ale póki żyła, była wyróżniana ponad talent i zasługi. Oczywiście naszym kosztem.

— Publiczność ją uwielbiała. To fakt.

— Publiczność uwielbia każdego, kogo się jej pokaże w odpowiednim świetle i przy zręcznej reklamie. W dzisiejszych czasach funkcjonuje cały starannie opracowany mechanizm robienia popularności. Każdą miernotę można wylansować na wielką gwiazdę, jeśli tylko nie ma zbyt krótkich nóg.

— Niech ci będzie. — Iga zamyśliła się. — Powiedz, czy jej matka już wie?

— Pani Kuć, żartujesz chyba? Na tej zapadłej wiosze?

— To będzie dla niej straszne.

— Czy ja wiem? Nie jestem pewna, czy w ogóle ostatnio wiedziała wiele o swojej córce.

— To niemożliwe. Widywała ją choćby w telewizji.

— Jeśli ma telewizor. Zapominasz, że tam była nędza. A poza tym Paula miała przerażającą liczbę młodszego rodzeństwa. Pięcioro czy siedmioro. Nigdy się o tym nie mówiło.

— Co teraz będzie z rewią Mocne uderzenie? — Iga zmieniła nagle temat.

— Może zejdzie z afisza — zadrwiła Beata.

— Oszalałaś, Ankiewicz przygotowywał ten program przez tyle miesięcy. Ile to kosztowało! Ktoś Paulę zastąpi. Pewnie ty.

— Ja nie jestem od zastępstw i zapychania dziur. — Beata była wyraźnie dotknięta. — Mam swoich autorów, którzy piszą teksty dla mnie.

— Wiem, wiem. Ale ta rewia, zdaje się, chwyciła. Radzę ci porozmawiać z Ankiewiczem.

— Nie będę z nikim rozmawiała.

— Wiesz, jedną piosenkę z programu Pauli ja zaśpiewam.

Beata niespokojnie poruszyła się na krześle.

— Ty?! Przecież ty śpiewasz gościnnie w Jaśminowej oberży.

— To w czasie da się pogodzić. W Teatrze Rewiowym wystąpię w pierwszej, a tam w drugiej części programu. Tylko Ankiewicz chce mieć ze mną parę prób.

— Ankiewicz? Kiedy z nim rozmawiałaś?

— Dziś rano. Cóż, moja droga, w naszym zawodzie trzeba kuć

żelazo póki gorące.

— No wiesz... ty... która lubiałaś Paulę.

— Jej to już ani nie pomoże, ani nie zaszkodzi.

— No, no, no. A gdzieś spotkałaś Ankiewicza?

— Nie spotkałam go, byłam w teatrze.

— To się nazywa przytomność umysłu — zauważyła Beata z przekąsem — Powiedz, cóż się tam dzieje?

— Wszyscy zdenerwowani, od rana siedzi milicja. Widziałam nawet jednego z nich, taki wysoki, chudy szatyn, niczego sobie. Wygląda całkiem sympatycznie.

— Pewnie wszyscy będziemy przesłuchiwani — jęknęła Beata.

— No cóż, możliwe.

— Nienawidzę tego — oświadczyła Beata.

— Och, to chyba nic strasznego. Powiemy, co wiemy, i koniec.

— Ja nic nie wiem i nie chcę wiedzieć o niczym. Nie interesują mnie cudze sprawy.

— Od kiedy? — zapytała Iga figlarnie patrząc przez stół na przyjaciółkę.

5

Damian Kurman wszedł do swego pokoju w redakcji Meteora i z trudem powstrzymał odruch, aby zamknąć drzwi na klucz. Miał dosyć wszystkich i wszystkiego, chciał choć przez chwilę być sam, na co się nie zanosilo. Od wczorajszego, tak fatalnie zakończonego wieczoru napastowali go nieustannie różni ludzie, pytając o szczegóły śmierci Pauli Piano, o premierę, a również i o to, kto jest zabójcą.

Poprzedniego wieczoru wrócił do domu późno i w najwyższym stopniu zdenerwowany. Lekarz, który przyjechał na miejsce wypadku, dawał mu wymijające odpowiedzi, aż wreszcie poprosił, aby przestał przeszkadzać w wykonywaniu czynności urzędowych. Milicjanci nie zdradzali żadnej chęci do rozmowy, a przybyli z nimi barczysty sierżant wręcz nawoływał do rozejścia się. Wszystko to sprawiło, że nagle zdał sobie sprawę, jak bardzo jest obcy dla zmarłej, przynajmniej z

oficjalnego punktu widzenia. Cóż miał wspólnego z pieśniarką Paulą Piano, on, mężczyzna po czterdziestce, żonaty i mający dzieci, recenzent lekkiej muzy w jednym z tygodników warszawskich? Stojąc wieczorem na ciemnej ulicy i zadając serię niezbyt mądrych pytań, ośmieszał się tylko lub w najlepszym razie narażał na opinię łowcy sensacji. Uświadomiwszy to sobie, odszedł z miejsca wypadku i pieszo udał się spacerem do domu na Saską Kępe.

Było już po dwunastej, gdy wszedł do mieszkania, żona spała, ta kobieta zawsze kładła się spać najpóźniej o dziesiątej, wierząc, że w ten sposób można długo zachować piękną cerę. Rano wstała wcześniej, jak zwykle, długo konferowała z kimś przez telefon, a następnie weszła do jego pokoju, by zapytać, czy to prawda, że zginęła Paula. Nie wyglądała wcale na zmartwioną ani na zaskoczoną, jakby było rzeczą najnormalniejszą w świecie, że na ulicy strzela się do kobiet. A potem zauważyła od niechcienia, w sposób denerwujący niesłychanie, że ostatnio widywano go z Paulą w podmiejskich kawiarenkach, po czym zawiesiła głos i czekała, ale on nic nie powiedział. Wybawił go zresztą dzwonek telefonu.

Dzwonił kolega z redakcji pytając o szczegóły wypadku. Potem naczelny. Potem paru znajomych aktorów i aktorek. Zwracali się do niego, w myśl zasady, że dziennikarz powinien wiedzieć wszystko, a on czuł w głowie pustkę, w ustach mdłości i nie mógł zmusić się do zjedzenia śniadania, które postawiła przed nim żona, bacznie go obserwując. Miał za sobą nieprzespaną noc, podczas której Paula nieustannie przewijała się przez jego myśli i wyobraźnię. W uszach dźwięczała mu melodia piosenki Ktoś, za kim tęsknię, która tak bardzo spodobała się publiczności.

Paula śpiewała ją dla niego, gdy wstąpił po nią pewnego popołudnia. Miała włosy zwyczajnie związane do tyłu i była nieumalowana, bo rano pracowała w domu, przestraszyła się ogromnie, że przyszedł pół godziny wcześniej, niż było umówione, i zobaczył ją bez szminki. Był tym ubawiony, a nawet wzruszony, taka piękna dziewczyna jak ona nie powinna mieć podobnych obaw, a naturalnie, bez owej pozy, którą

nakładła na siebie wrraz z makijażem, wydawała mu się znacznie bliższa. Wtedy właśnie wziął ją po raz pierwszy w ramiona, nie zastanawiając się wcale, że to może coś zmienić w jego życiu. Było w nim dotąd wiele kobiet, w zasadzie uważał, że zawrsze należy z kimś flirtować, i w urzeczywistnieniu tego programu nie napotykał na większe trudności. Nieco dłuższy od innych romans z Beatą Kalską dobiegał właśnie końca i nadeszła pora na zmianę damy serca. Nie przewidywał tylko, że Paula tak bardzo go zafascynuje. Może działo się tak dlatego, że nigdy nie był pewien jej uczuć.

Nie zdążył nawet wypalić papierosa, gdy do pokoju wsadził głowę Smulski, sekretarz redakcji.

— Świetnie, że jesteś, Damian! — zawołał i od razu wpakował się do środka razem z Miszą Bujnowiczem, młodym człowiekiem przyjętym przed paroma miesiącami do redakcji Meteora.

— Aha — powiedział niezbyt mądrze, przybrawszy jedną ze swych najmniej zachęcających min. Tamci jednak nie zwracali żadnej uwagi na jego humor i wygodnie się rozsiedli.

— Słuchaj — zapytał Smulski bez wstępów. — Co masz zamiar robić w sprawie zabójstwa Piano?

— Ja? — zdziwił się.

— No tak, ty. Powinieneś napisać o niej większe wspomnienie pośmiertne, to oczywiste. Ale to nie wszystko. Czy wiesz już, jak tam śledztwo?

— Skądże. Nie mam najmniejszego pojęcia.

— Nie orientujesz się nawet, czy ujęto mordercę?

— Nie.

— Słuchaj, przecież to jest temat, który interesuje ludzi.

— Na pewno, ale ja nie jestem reporterem milicyjnym.

— Oczywiście, że nie. Jednak tą sprawą powinieneś się zainteresować. Czy sam nie jesteś ciekaw, kto i dlaczego zabija znaną pieśniarkę?

— Dowiemy się tego we właściwym czasie — odrzekł sucho Kurman.

— Czy mógłby mi pan wszystko opowiedzieć? — zapytał Bujnowicz. — Przecież strzał oddał ktoś ze stojących na ulicy.

Dlaczego nikt nic nie zauważył?

— Nie wiem.

— Bardzo interesujące — kontynuował Bujnowicz, a Kurman miał szczerą ochotę zwyczajnie go sprać. — Czy nie sądzi pan, że to sprawka kogoś ze środowiska?

— Nie, nie sądzę — burknął.

— Z tego z pewnością wyniknie wielki skandal. Nie powinniśmy pozostać obojętni. Ani milczeć.

— Damian — odezwał się Smulski. — Stary chce, żebyśmy trzymali rękę na pulsie. Jeśli ty nie masz ochoty sam się tym zajmować, zlecimy tę sprawę Miszy. Trzeba tylko, żebyś mu pomógł.

— Nie bardzo wiem, w czym.

— Masz głośne nazwisko. Wszyscy wiedzą, że znałeś Paulę Piano z racji swej pracy zawodowej. Tobie będzie łatwiej dowiedzieć się czegoś od milicji. A potem przedstawiś im Miszę i przekażesz mu sprawę.

— Nie mam na to najmniejszej ochoty.

— Co się z tobą dziś dzieje, Damian? Wyglądasz okropnie. Jesteś zdenerwowany, jakby ta historia obchodziła cię osobiście.

— Głupstwo — zachnął się Kurman.

— Wcale się nie dziwię, że pan się tym przejął — wtrącił Misza. — Przecież to okropne zobaczyć z bliska, na własne oczy, jak kogoś zabijają.

Ten smarkacz był wręcz nie do strawienia. Kurman postanowił pędzej z tym skończyć.

— Dobrze, zadzwonię do komendy miasta — powie dział sięgając po słuchawkę telefoniczną.

Przez chwilę dwaj mężczyźni siedzący w pokoju słuchali, jak podaje coraz to komuś innemu swoje nazwisko i wyjaśnia cel telefonu. Wreszcie na jego twarzy odmalowała się ulga.

— Mamy być u majora Barteckiego dzisiaj o godzinie szóstej po południu — oznajmił.

Tymczasem porucznik Olski nie tracił czasu. O godzinie dziesiątej, gdy w teatrze rozpoczynała się próba, był już na miejscu, ubrany w miękkie, szary garnitur. W sekretariacie wzięto go za jednego z młodych autorów, którzy pełni nadziei, przynoszą dyrektorowi swoje teksty.

— Dyrektor nie ma czasu — zbyła go sekretarka. Nie miała dziś głowy do takich głupstw, jak aspiracje młodych, którzy zaczynają paruć się piórem. — Niech pan zostawi, co pan tam przyniósł, i zgłosi się za dwa tygodnie.

— Nie mogę zgłosić się za dwa tygodnie — grzecznie zaprotestował Olski i wyjął swoją legitymację.

— Proszę bardzo — sekretarka zmieniła ton znikając za drzwiami gabinetu.

Dyrektor Wiktor Borys przyjął Olskiego natychmiast. Był to mężczyzna w wieku lat pięćdziesięciu kilku, o szerokiej twarzy, pośrodku której osiadł mięsisty nos.

— To dla nas niepowetowana strata — zaczął z nutą żalu w głosie, dokładnie tak, jak wypadało w tej sytuacji. — Chętnie zrobimy wszystko, aby panu pomóc.

— Dziękuję — odparł Olski.

— Pewnie chce pan uzyskać jakieś informacje ode mnie?

Olski zaczerwienił się. Rozmowę z dyrektorem pragnął przeprowadzić osobiście kapitan Rosta.

— Chwilowo, panie dyrektorze, nie będę pana trudził — powiedział głośno. — Chciałbym zacząć od osób, które najbliższej stykały się ze zmarłą. Może od jej garderobianej.

— Od pani Piekutowej? Jest dziś w teatrze. Tyle, że okropnie zdenerwowana. Nie wiem, czy wiele pan się od niej dowie. Biedna kobieta ogromnie przywiązała się do Pauli i ta wiadomość była dla niej prawdziwym wstrząsem.

— Zdaję sobie z tego sprawę, ale jednak... — zaczął porucznik Olski.

— Naturalnie, skoro panu na tym zależy, zaraz ją poproszę. Albo lepiej przedtem znajdziemy jakiś spokojny pokój, w którym mógłby pan swobodnie rozmawiać, z kim pan zechce.

— A może... może mógłbym skorzystać garderoby panny Piano?

Przez twarz dyrektora Borysa przebiegł cień zdziwienia.

— Nie wiem, czy w garderobie będzie panu wygodnie. Tam nie ma dziennego światła, a poza tym Paula nie miała własnej garderoby. Dzieliła pokój z dwiema innymi pieśniarkami, Beatą Kalską i Igą Amur.

— To mi nie przeszkadza — zapewnił porucznik Olski.

Weszli na korytarz wiodący za kulisy. Olski rozglądał się z ciekawością. Pełno tu było porozstawianych bezładnie mebli, kojarzących z sobą różne epoki, a także fragmentów dekoracji. Przechodzili właśnie koło wielkiej makiety księżycy z wykrzywioną figlarnie twarzą.

— Mamy tu mało miejsca — powiedział dyrektor Borys. — Budowniczości tego teatru troszczyli się znacznie więcej o widownię niż o zaplecze. Pracujemy w warunkach dosyć trudnych.

Otworzył przed Olskim drzwi garderoby i zapalił światło. Oczom porucznika ukazało się duże pomieszczenie z wielkim lustrem biegnącym wzdłuż całej ściany i trzema ustawionymi przed nim gotowalniami. Pomieszczenie pełne było kwiatów. Pod oknem stał ogromny kosz wędnących róż.

— Prawdziwy ogród — powiedział Olski —zaskoczony tym widokiem.

— Te kwiaty dostała wczoraj Paula — objaśnił dyrektor Borys. — Zawsze dostawała dużo, ale wczorajsza premiera była największym jej dotychczasowym sukcesem. Postaraliśmy się o odpowiednią wystawę naszej nowej rewii, balet, dekoracje. Jako pieśniarka występowała tylko Paula. Ten program był skomponowany właściwie dla niej.

— Rozumiem — przytaknął Olski wciąż patrząc na kwiaty.

— Normalnie odwożono je po przedstawieniu do Pauli do domu. Zajmowała się tym Piekutowa. Tym razem jednak...

Porucznik skinął głową ze smutkiem.

— Gdy dowiedziała się, co się stało z Paulą, tak się zdenerwowała, że nie odwoziła tych koszy i bukietów. Zresztą po co...

— Czy panna Paula mieszkała sama? — zapytał Olski.

Dyrektor Borys jakby się zawahał.

— O ile mi wiadomo, tak.

— Czy wczoraj po premierze miała zamiar wrócić do domu?

— Nie, wybierała się na kolację do „Krokodyla” wraz z innymi artystami.

— A pan wspomniał, jeśli dobrze zrozumiałem, że garderobiana wybierała się zawieźć kwiaty na Kruczą.

Dyrektor Borys potrząsnął głową.

— Nie ma w tym żadnej sprzeczności. Piekutowa dysponowała kluczami od mieszkania Pauli. Jak wiem, bywała tam dosyć często. Zresztą najlepiej dowie się pan wszystkiego od niej samej. Zaraz ją poproszę.

Gdy dyrektor wyszedł, Olski uważnie rozejrzał się po garderobie. Była niewielka i zagracona, na wieszakach wisiało mnóstwo damskich fatalasek, ściany zdobiły fotografie trzech śpiewaczek w rozmaitych kostiumach i pozach, a także zdjęcia przedstawiające sceny zbiorowe. Przyglądał się przede wszystkim Pauli, jakby w jej rysach i uśmiechu chciał znaleźć klucz do Rozwiązania zagadki. Gdy tak patrzyła na niego z drewnianych ramek, ze swym estradowym uśmiechem przylepionym do ust, pomyślał, że coś się skończyło, że ona i jej piosenki należą już do przeszłości. A równocześnie ogarnął go gniew przeciwko nieznanemu sprawcy, który przeciął tak nagle i brutalnie jej życie.

Przypomniawszy sobie Murkowskiego. Byłby gotów uwierzyć w jego wczorajszą rozpacz, gdyby nie... A zresztą z aktorami w ogóle nic nie wiadomo, zawsze gotowi są do odgrywania jakichś ról, udawanie staje się z czasem drugą ich naturą.

Dwie pozostałe śpiewaczki znał również ze sceny. Kiedy jeszcze spotykał się z Krystyną, zapraszał ją czasem do Teatru Rewiowego, który szczególnie lubiła. Kalska nie pociągała go nigdy. Ani na scenie, ani teraz na fotografii. Nie lubił takich dużych, dorodnych blondynek, w jego mniemaniu najczęściej pozbawionych sex appealu. Znacznie bardziej podobała mu się Iga Amur, choć tę najmniej znał. Było coś egzotycznego i pociągającego w jej skośnych oczach i zbyt dużych, jakby

nabrzmiących wargach. Słyszał, że Iga zaczynała przed paru laty pracę w zespole operetki. W Teatrze Rewiowym śpiewała od niedawna, ale jak zdawało się Olskiemu nie osiągnęła większych sukcesów. Ciekawe czy te dwie dziewczyny lubiły Paulę? — zastanowił się. Wątpliwe, czy one same zechcą wypowiedzieć się na ten temat szczerze. Był zresztą pewien, że jej nie lubiły. Życie teatru znał głównie z powieści, doskonale wyobrażał sobie jednak, ile musi w nim być rywalizacji, intrygi i zawiści. A zresztą — pomyślał nie bez gorczy — ktoś, ktoś, wybija się ponad przeciętność, w żadnym niemal środowisku nie może liczyć na sympatię.

Odwrócił się w stronę toaletek, przy których artystki sposobiły się co wieczór do wyjścia na scenę. Odgadł bez trudu, że ta najbliższej okna, cała w kwiatkach, należeć musiała do Pauli. Usiadł na taborecie przed lustrem, obejrzał swoją własną, nieco za długą twarz, a nawet zastanowił się przez moment, jak by ułożyło się jego życie, gdyby na przykład został aktorem. Istniało przecież jakieś podobieństwo między jego zawodem a aktorskim fachem. Milicjant, jak aktor, nie zawsze może pokazywać własną twarz, musi nauczyć się starannie ukrywać swoje uczucia i reakcje. Nie mogą być mu też całkiem obce pewne małe gierki.

Nagle zauważył, że szuflada w toalecie Pauli jest nie domknięta. Zastanowił się przez chwilę, że chyba trzeba poznać jej zawartość, co mógł uczynić całkiem oficjalnie. Tymczasem jednak wysunął ją i nie potrafił oprzeć się zdumieniu na widok ogromnej ilości puderek, flakoników, szminek i ołówków. Jeśli nawet do tej chwili miał jakiegokolwiek wątpliwości, czy umiejętność prezentacji kobiecej urody może uchodzić za sztukę, teraz całkowicie je utracił. Jak Paula wyznawała się w tym wszystkim? świadomość, że ona poruszała się bezbłędnie wśród tego chaosu, przyprawił go o lekki zawrót głowy. Wziął do ręki jedno z pudełeczek i otworzył. Wypełniała je zielona połyskująca masa, podobna do pistacjowych lodów. Nagle uwagę jego odwróciło co innego. Wśród rozmaitych drobiazgów leżała mała, złożona w czworo kartka. Rozwinął ją i przeczytał. „Czekam piątek o czwartej po południu. Twój

Adam”. Nie było na niej daty i Olski zastanowił się głęboko. Dziś właśnie był piątek i Paula, być może, miała stawić się na jakieś spotkanie. Zaproszenie mogło jednak równie dobrze dotyczyć poprzedniego piątku lub jakiegokolwiek innego. I w ogóle kto to był Adam? Być może jakiś aktor albo inny pracownik teatru.

Usłyszał lekkie skrzywienie otwieranych drzwi i schował kartkę do kieszeni. Wstał na widok dyrektora Borysa prowadzącego niewysoką, szczupłą kobietę. Piekutowa miała oczy wyraźnie zaczerwienione i patrzyła na niego podejrzliwie.

— To jest pani Piekutowa — zwrócił się Borys do porucznika.
— Czuje się dziś trochę rozstrojona, myślała więc, że będzie mogła porozmawiać z panem innego dnia.

— To nie potrwa długo — uśmiechnął się do Piekutowej Olski. — Skoro się już spotkaliśmy, lepiej nie odkładajmy naszej rozmowy.

— Jeśli tak trzeba — powiedziała z rezygnacją w głosie.

— Zostawiam państwa samych — wtrącił dyrektor. — Gdybym jeszcze był potrzebny, będę u siebie.

— Dziękuję — odparł Olski.

Zapadło krótkie milczenie, aż za dyrektorem zamknęły się drzwi.

— Pan chciał mnie o coś zapytać. — Piekutowa po raz pierwszy podniosła na porucznika wzrok.

— Tak — powiedział Olski — Myślę, że pani może nam pomóc.

— Ja? — zdziwiła się. — Ja przecież nic nie wiem. Tylko to jedno chyba, że ten, co to zrobił, zasłużył na karę boską.

Zobaczył, że oczy jej wilgotnieją. Sięgnęła do kieszeni po chusteczkę.

— Czy od dawna znała pani Paulę Piano? — zapytał szybko, w obawie, że zacznie płakać.

— Odkąd nastąpiła do teatru — wyjaśniła Piekutowa. — Bo ja tu pracuję już dwadzieścia lat. Zaczęłam, kiedy jeszcze graliśmy na Pradze.

— Zawsze była pani jej garderobianą?

— No nie, z początku nie. Dopiero od czasu kiedy pani Paula została solistką, w marcu będzie dwa lata. A pan jest

porucznikiem? — zagadnęła patrząc na jego cywilne ubranie.

— Tak — uśmiechnął się do niej.

— W milicji, prawda, tak mówił dyrektor.

— Dobrze mówił.

— I pan chce znaleźć tego, co zabił pannę Paulę?

— Jest to moim zadaniem — Olski stał się odrobinę patetyczny. — Dlatego potrzebuję informacji od pani.

— Panie drogi, żebym ja tego drania znała. Rozszarpałabym go własnymi rękami, chociaż muchy nigdy nie ukrzywdziłam. Ja przecież nic nie wiem.

— Niech mi pani powie... — zaczął porucznik. — Czy Paula Piano miała wrogów.

— Wrogów? Bo ja wiem? Byli różni zazdrośnicy.

— Kogo pani ma na myśli?

— A różnych. Powiem panu tyle, że nawet nasz dyrektor ją nie za bardzo lubił.

— Dyrektor Borys?

— Ano o nim mówię. On gustuje w pani Amur. A panna Paula je obie w kąć odsunęła, i ją, i Kalską. Trudno, żeby ją za to lubiły.

— Przecież dyrektor dawał pannie Piano najlepsze role. Grała w każdym programie.

— Pan Anlciewicz sobie tak życzył, a on tu najważniejszy. Ten się na niej poznał. Bo tak naprawdę to on trzęsie teatrem.

— Dlaczego pani przypuszcza, że dyrektor nie lubił Pauli Piano?

— Powiem panu, ale tylko w konfidencji. Raz, kiedy cały teatr wykupił dla swoich ludzi jakiś wysoko postawiony urząd, w ostatniej chwili zmienił jej suflerkę.

— Ale po co?

Piekutowa popatrzyła na niego z pobłażaniem.

— Od razu widać, że pan nie z teatru. No, żeby się kropnęła przy tych wszystkich ważnych osobach.

— Przecież aktorka umie swoją rolę.

— Pewnie, że umie. Ale może się zdarzyć, że zapomni. Od tego ma suflera. Tylko że Paula żadnego suflera nie potrzebowała. Była z niej dziewczyna, co miała swój ambit i uczyła się każdej

roli, aż ją tak umiała, że w nocy ze snu obudzona mogła powtórzyć. No i dyrektorowi się nie udało.

— Czy zauważyła pani coś jeszcze?

— Pewnie. Zawsze były awantury o stroje dla niej. Stale krzyczał, że za drogie, a dla tamtych na wszystko starczyło. Z tydzień temu wezwał ją do siebie, potem panna Paula była tak zdenerwowana, że aż się trzęsła.

— Nie powiedziała pani, o czym rozmawiali?

— Nie, ona była okropnie skryta. Nigdy nic mi o sobie nie mówiła, tyle wiedziałam, co mogłam zauważyć na własne oczy.

— A jednak słyszałem, że lubiła ją pani...

— Panie kochany, pan się nie gniewa, że tak mówię, ja stara kobieta. Przecie to złota dziewczyna. Każdemu by pomogła. Doili ją ile wlezie.

— Kto?

— W teatrze wszyscy po kolei. Paula, pożycz stówkę, Paula, pożycz brudasa. Nawet te dwie. Bo ona zarabiała lepiej. Ciągłe miała jakieś koncerty. Nieraz brała mnie z sobą. Śmiała się i mówiła: „Pani Piekutowa, jedziemy na chałturę”. Lubiała, jak byłam blisko. Powiadała, że jej wtedy lepiej idzie.

Porucznik Olski na chwilę się zamyślił.

— Czy pani odwiedzała pannę Piano w domu?

— A jakże. Niech pan pomyśli, taka dziewczyna sama jedna w wielkim mieście, bez nikogo bliskiego. Potrzebowała, żeby kto o nią czasem zadbał, ugotował coś smacznego. Chodziłam do niej trzy razy w tygodniu. Wie pan — dorzuciła po chwili — nam się tu też nie przelewa. Każdy jest rad, jak może parę groszy dorobić.

— Rozumiem — skinął głową Olski. — A czy zauważyła pani, kto odwiedzał pannę Piano?

Piekutowa zawahała się chwilę.

— Różni ją odwiedzali. Przeważnie panowie. Bo, proszę pana porucznika, mężczyźni lecieli do niej jak muchy do miodu. Opędzić się nie mogła.

— Miała narzeczonego?

Na twarzy Piekutowej odbił się wyraz zdziwienia.

— Narzeczonego? Nie! Byłaby głupia, gdyby się rwała do

małżeństwa.

— Tak pani uważa? — Olski nie mógł powstrzymać uśmiechu.

— Pewnie, proszę pana. Ja życie znam. Każdy mąż jednaki. Dbaj o niego, chodź koło niego i patrz, czy w łaskawym humorze. A on za to zdradzi.

— Nie jest pani najlepszego zdania o mężczyznach, pani Piekutowa.

— Nie powiem, niektórym dobrze z oczu patrzy. Na przykład panu. Ale tak ogólnie to nicponie.

— Dziękuję. Więc mówi pani, że Paula Piano nie zamierzała wyjść za mąż. Ale przecież kogoś miała.

Piekutowa wyduła usta.

— Phi, może i miała. Nie moja rzecz.

— Ładnie, że pani jest taka dyskretna — pochwalił ją Olski. — Widzę, że naprawdę można mieć do pani zaufanie i że panna Piano znała się na ludziach. Tylko widzi" pani — to ważne. My o pewnych rzeczach musimy wiedzieć. Inaczej bym nie pytał — dorzucił widząc nieufność powracającą na jej twarz.

— Nię wiem, kogo pan ma na myśli — zauważyła niechętnie.

— Czy Paulę Piano coś łączyło z Florianem Murkowskim?

Piekutowa potrząsnęła głową.

— Miała go dość.

— Mówiła pani?

— Już powiedziałam, że ona była skryta. Ale przecież swój rozum mam. Ostatnio kazała mi powtarzać, że jej nie ma w domu, kiedy przychodził albo telefonował.

— Od dawna tak było?

— Od dwóch miesięcy. Nawet jak go na ulicy zobaczyła, to uciekała na drugą stronę.

— A przed dwoma miesiącami?

— Nie powiem, wtedy się może i lubili.

— Pan Murkowski często u niej bywał?

— Pewnie często.

— Miał klucze od jej mieszkania? Nie słyszała pani?

— O te klucze, proszę pana porucznika, to była straszna awantura. Nie chciał ich oddać, jak mu raz dała.

Krzyczał, że ona je potrzebuje dla innego, i takie różne

głupoty.

— I nie oddał?

— Oddał, a jakże. Rzucił nimi w pannę Paulę, dobrze, że jej krzywdy nie zrobił.

— A co ona na to?

— Nic, prosiła tylko, żeby już nie przychodził.

— Czy Murkowski pożyczał pieniądze od panny Piano?

— Nic o tym nie wiem. Ale może i pożyczał... Toż mówiłam, ona by każdemu dała.

— Czy pani wie, kto to jest Adam? — zapytał nagle Olski.

— Adam — Piekutowa pokręciła głową. — Nie, nie słyszałam o takim.

— Panna Paula spotykała się z jakimś Adamem.

— Proszę pana, ona się spotykała z różnymi. Powiedziałam panu, że za nią latali. Ja tam wszystkich nie zliczyłam. Niech pan portiera spyta, ilu wielbicieli musiał odganiać z teatru.

— Spytam — powiedział poważnie Olski.

— Panna Paula nie przejmowała się mężczyznami — rozgadała się Piekutowa. — Bo jej na nich nie zależało.

— Na żadnym?

Piekutowa znów się zawahała.

— Powiem panu, ale chyba nie powinnam. Ona stale dostawała kosze czerwonych róż. Musiała wiedzieć, od kogo, chociaż nigdy nie było przy nich żadnej wizytówki.

— Nie zdradziła się z tym?

— Kiedyś zagadałam do niej, że ktoś, kto tyle kwiatów przysyła, chyba musi być zakochany. A ona tylko westchnęła i powiedziała: „Gdyby nawet, pani Piekutowa, co mi z tego, kiedy jest z inną”.

— Mówiła coś jeszcze?

— Ani słowa. Tylko zrobiła się taka jakaś smutna. Powiedziałam jej swoje, żeby się, broń Boże, z żadnym żonatym nie zadawała, bo z tego tylko nieszczęście. Taka młoda, bez matki, więc musiałam jej powiedzieć.

— Co na to panna Piano?

— Wzruszyła ramionami i powiedziała: „Niech panią głowa o to nie boli, kochana pani Piekutowa”. Nic się już nie

odezwałam, bo nie lubiłam u niej takiego tonu.

— Pomyślała pani jednak, że jest ktoś, na kim jej zależy. Czy tak?

Piekutowa przez chwilę milczała.

— Chyba tak — rzekła wreszcie.

— Czy tylko z powodu tych róż?

— Nie wiem nic więcej — nagle się naburmuszyła.

— Pani wie coś jeszcze, pani Piekutowa, coś, czego nie powinna pani ukrywać przede mną.

— Nie mam nic do ukrywania.

Porucznik Olski jakby tego nie słyszał.

— W śledztwie — zaczął łagodnie — brak małej, na pozór błażej informacji każe długo błądzić po omacku lub kieruje wszystko na złą drogę. Zdarza się, choć rzadko, że z tego powodu nie możemy ująć przestępcy, który pozostaje bezkarny. Nie chciałaby pani chyba, aby i tym razem tak było?

Piekutowa milczała, a on zapalił papierosa. Zmagali się tak z sobą przez chwilę, nie mówiąc ani słowa.

— Niech będzie — odezwała się wreszcie. — Bo jakby pan przeze mnie tego drania nie złapał, już bym nigdy nie mogła spać spokojnie. Chociaż ciężko mi złamać słowo dane pannie Pauli.

— Ona by pani wybaczyła — powiedział cicho.

— Niech pan słucha. Pewnego razu, będzie najwyżej z miesiąc, panna Paula przebierała się po próbie, kiedy do garderoby, bez pukania, weszła jedna pani. Na szczęście nie było wtedy ani tej Amur, ani Kalskiej, tylko my we dwie.

— Czego chciała?

— Była okropnie zdenerwowana, cała się trzęsła. I już od progu zaczęła wymyślać Pauli, że sobie nie pozwoli odebrać męża. Darła się okropnie, że panna Paula pożałuje, że jeszcze jej zapłaci za wszystkie krzywdy.

— Jakie krzywdy?

— No przecież mówię, że przez cały czas o chłopca jej się rozchodziło. Że niby panna Paula chce go zabrać.

— A co na to panna Piano?

— Była okropnie przestraszona. Bała się skandalu w teatrze,

bo, wie pan, zaraz by się rozniosło. Prosiła tylko, żeby była ciszej. Powtarzała w kółko: „Niech się pani uspokoi, niech się pani uspokoi”.

– A tamta?

– Jakby nie słyszała. Wygrażała jej, mówiła, że zrobi z nią koniec...

– Pamięta pani słowa?

– Nie... nie dokładnie. Ja się też zdenerwowałam.

– No tak... i jak się to skończyło?

– Niczym. Wyszła, jak przyszła. Jeszcze , w progu krzyczała, że panna Paula pożałuje.

– I wówczas też panna Piano nic pani nie wyjaśniła?

– Serca nie miałam pytać. Była blada jak opłatek, a potem zaczęła płakać tak strasznie, tak okropnie, że aż się o nią zląkłam. Ledwie ją uspokoiłam.

– Nigdy nie było o tym mowy?

– Nie, nigdy.

– Czy pani pamięta, jak wyglądała ta kobieta?

– Naturalnie, że pamiętam. Nie była młoda, mogła mieć koło czterdziestki. Przystojna, taki sportowy typ.

– Wysoka? Niska?

– Czy ja wiem? Ani jedno, ani drugie. Nie powiem, figurę miała jak trzeba. Ubrana bardzo elegancko, w ciemnym kostiumie z futrem. Wyglądała jak dama, ale tak jakoś dziwnie mówiła.

– Używała obelżywych słów?

– Nie, nie o to mnie się rozchodzi. Przekręcała słowa. Tak jakby nie była stąd.

– Przypuszcza pani, że jest cudzoziemką?

– Ano właśnie. Z ust pan porucznik mi wyjął.

– Hm, to ciekawe. Jest pani pewna?

– Panie kochany, przecie ja znam rodzinną mowę.

– To już naprawdę wszystko, pani Piekutowa?

– Wszystko. Najświętsze słowo.

– Poznałaby pani tę kobietę?

– No pewnie. Ona była z tych, co się raz zobaczy i zapamięta.

– No dobrze. Dziękuję pani. Rzeczywiście bardzo mi pani

pomogła. Myślę, że się jeszcze zobaczymy.

— Jak będzie pan porucznik czego potrzebował, to proszę na mnie liczyć. Bo widzę, że panu naprawdę zależy, żeby złapać tego drania.

— To się rozumie, pani Piekutowa — uśmiechnął się Olski.

Uścisnął dłoń kobiety i skierował się w stronę drzwi.

— Ach, jeszcze jedno — rzekł odwracając się. — Czy pani Piano miała rodzinę, nie wie pani?

— Miała, ale nie tu.

— Zdaje się, że nie utrzymywała z nią kontaktów?

— Przecie tego nie zrobił nikt z jej rodziny.

— Na pewno nie. Ale my musimy wiedzieć wszystko.

— Tyle już panu powiedziałam... powiem i to. Panna Paula jak tylko mogła się wyrwać, jeździła do matki. Ale nie chciała, żeby w teatrze wiedzieli.

— Ale dlaczego?

— Bo ona była trochę dziwna, panie poruczniku — wzdychając wyjaśniła Piekutowa.

7

Gdy Olski zajrzał do sekretariatu dyrektora Borysa, natknął się na starszego, siwego pana, który popatrzył na niego z zaciekawieniem.

— Domyślam się, że to pan przeprowadza rozmowy w naszym teatrze w związku z tą tragedią — zwrócił się do niego wyciągając dłoń. — Miło mi poznać pana, An- kiewicz jestem.

— Porucznik Olski — przedstawił się oficer.

— Wszyscy jesteśmy radzi, że milicja energicznie bierze się do rzeczy — powiedział Ankiewicz. — Ta zbrodnia jest wstrząsająca. Jak wyrafinowanym trzeba być złoczyńcą, żeby zabić kogoś w taki sposób, i to w chwili, kiedy otaczają go najbliżsi przyjaciele.

— My w komendzie też uważamy ten wypadek za wyjątkowy — przytaknął Olski. — Ale cieszę się, że pana spotkałem. Czy mogę prosić o chwilę rozmowy?

— Naturalnie — odrzekł Ankiewicz. — Najlepiej będzie, jeśli

pójdziemy do mnie.

Gdy usiedli w gabinecie kierownika artystycznego, a sekretarka postawiła przed nimi kawę, Ankiewicz odezwał się pierwszy:

— Byłem jeszcze w teatrze, kiedy to się stało. Miałem zamiar właśnie przyłączyć się do towarzystwa, by razem jechać do „Krokodyla”. Kiedy usłyszałem wrzawę, wybiegłem na ulicę — Paula już nie żyła. Nie ma pan pojęcia, jakie wrażenie zrobił na mnie jej widok. Ona, zawsze taka pełna życia, pogodna, wiecznie czymś zaabsorbowana, leżała przed nami jak... nie, to nie da się określić, co można zrobić z człowieka w ciągu jednej sekundy. Mało warte jest życie.

— Pan znał dobrze zmarłą, prawda?

— Oczywiście. Od pierwszej chwili jej pobytu w Warszawie, a nawet wcześniej. Gdy tylko ją zobaczyłem w Krakowie, w młodzieżowym kabarecie, od razu zrozumiałem, że ta dziewczyna ma przed sobą przyszłość. Jestem zwolennikiem wynajdywania młodych talentów i kształcenia ich przez teatr. Zapropnowałem Pauli pracę u nas, a ona przyjęła tę propozycję z radością. Biedactwo, wychowywała się na wsi w bardzo złych warunkach, jej powodzenie na scenie przerastało na pewno najśmielsze sny dzieciństwa. Postarałem się o odpowiednich nauczycieli śpiewu, wie pan, ona miała głos o niespotykanej u pieśniarek skali, no i w krótkim czasie zrobiła ogromne postępy. A musi pan wiedzieć, że to nie był jeszcze szczyt jej możliwości. Śpiewaczki rozwijają się najlepiej tuż przed trzydziestką.

— Nie wiedziałem — wtrącił Olski.

— A tak, proszę pana. Paula nie pokazała wszystkiego. Śmierć zabrała ją w najlepszej chwili. Bo chyba najciekawszy jest ten okres życia, kiedy wciąż jeszcze mamy coś przed sobą.

— Z pewnością — zgodził się porucznik. — Niech pan mi jeszcze o niej opowie. Jaka była w codziennym życiu?

— Cóż, podobna do innych dziewcząt w swoim wieku. Choć chwilami wydawało mi się, że ona uważała wszystko, co ją otaczało, za trochę nierealne. Do pewnych rzeczy podchodziła bardzo dziecinnie. Na przykład ogromnie lubiła zwracać na

siebie uwagę. Kiedyś kupiła futro z białych nutrii i kazała ufarbować je na fioletowo. Każdy się za nią oglądał. Poza tym, i to mnie u niej drażniło, miała kult ciuchów rozwinięty do granic absurdu. Uwielbiała wszystkie fatalachy, świecidelka, potrafiła w jednym miesiącu kupić dwadzieścia par butów, a następnie je rozdać lub nawet wyrzucić. Powiadam panu, żadnego poczucia wartości pieniądza. Może właśnie to, że w domu matka myślała, jak podzielić każdy bochenek chleba między liczne potomstwo, wywołało u niej taką reakcję.

— Podobno Paula bardzo niechętnie wspominała o swym dzieciństwie? Dlaczego, jak pan myśli?

— Miała kompleksy osoby, która z prymitywnych warunków, po prostu z nędzy, wystrzeliła wysoko. Ale trzeba wyznać otwarcie, że te kompleksy rozwinęły się w niej z winy otoczenia.

— Nie rozumiem.

— Widzi pan, w pierwszym okresie, gdy Paula tu przyjechała, wykazywała nieznajomość wszelkich form. Pamiętam, że kiedyś w restauracji najspokojniej wytarła w obrus zgrzaną twarz. Innym razem w czasie posiłku zaimprovizowanego w teatrze usiłowała jeść mięso rękami. Takie drobne incydenty stały się przyczyną docinków i drwin. Zwłaszcza koleżanek.

— To się nie zmieniło?

— Owszem, w pewnym stopniu. Ale jeszcze wcale nie tak dawno podczas wywiadu telewizyjnego, na który ją zaproszono, znana prezenterka zapytała Paulę, czy to prawda, że w dzieciństwie pasła krowy, i czy potrafi je doić.

— Rozumiem, ale żeby tak zupełnie zerwać z rodziną...

— Nie było chyba aż tak źle. Po prostu nie mówiło się tym. Ale ja wiedziałem, że Paula posyła matce pieniądze.

— Pan, który cieszył się zaufaniem Pauli, wie z pewnością, jakich miała wrogów.

— Wróg to mocne słowo. Zazdroszczono jej sukcesów, ale nie sądzę, żeby mogły one wzbudzić w kimś aż tak silną nienawiść.

— Nie wiadomo — zauważył Olski. — Są ludzie, którzy dla kariery uczynią wszystko.

— Paula zagrażała przede wszystkim innym pieśniarkom w naszym teatrze. Moim zdaniem one są poza podejrzeniami.

- A mężczyźni? Co pan wie o mężczyznach w jej życiu?
- Bardzo mało. Paula wiedziała, że ja nie pochwalam jej stylu. Że nie podoba mi się zachłystywanie każdą adoracją. Cóż, ona lubiła mieć wokół wielbicieli, a więc ich nie, brakowało.
- A pan Murkowski?
- Kręcił się koło niej przez pewien czas, jak wielu innych. Paula nie rozmawiała ze mną na ten temat, odkąd jej doradziłem, aby była bardziej wybredna.
- Nie ma pan żadnych podejrzeń?
- Absolutnie. Muszę panu jednak powiedzieć, że dziewczyna, która w taki sposób łączyła w sobie naiwność z zachłannością, mogła się wplątać w niejedną awanturę.
- A pan? Jaki był pana stosunek do niej? — nie bez pewnego zażenowania zapytał Olski.
- Taki, jaki bywa stosunek starszego się reżysera do młodej artystki, którą zamierza wypuścić w szeroki świat — odparł Ankiewicz patrząc na porucznika z odrobiną pobłażania.

8

Rozmowy z kasjerką i bileterami, niewiele powiedziały porucznikowi Olskiemu o życiu Pauli Piano. Wszyscy lubili ją, wszyscy boleli nad jej tragiczną śmiercią, nikt jednak nie powiedział nic, o co by można było zaczepić się w prowadzonym śledztwie. Zapisał jedynie w swym notesie, że Paula Piano miała wypadek samochodowy w le- cie i że wiele na ten temat mówiono w teatrze. Trzeba będzie to sprawdzić w gdańskiej prokuraturze. Żaden z rozmówców Olskiego nie zauważył wejścia do teatru zagranicznej damy, która przyszła tu, aby rozprawić się z artystką. Indagacje o wielbicieli też niewiele dały. Owszem przez szereg miesięcy przychodził po pannę Piano Florian Murkowski, ale ostatnio w Teatrze Rewiowym przestano go widywać. Kilka razy zauważono ją wychodzącą z reżyserem Ankiewiczem, kilka razy z redaktorem Kurmanem, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego. Ci sami panowie zabierali czasem z teatru i inne aktorki. Wszyscy przyznawali też, że do garderoby Pauli zaglądało w czasie

antraktów sporo osób i że otrzymywała wiele kwiatów. Nie było w tym wszystkim nic nowego.

Gdy zrezygnowany chciał wrócić do komendy i zająć się rozszyfrowaniem tożsamości tajemniczej nieznajomej, podszedł do niego portier.

— Pan chce wiedzieć wszystko detalicznie, panie poruczniku? Prawda? — zapytał.

— Prawda — odparł Olski nie spodziewając się niczego ciekawego.

— Zapomniałem panu powiedzieć, że tu przychodził jeden taki, co się w panie Pauli strasznie kochał.

— Zna go pan?

— I znam, i nie znam. Wiem, że nazywa się Krochmalski.

— Skąd pan wie?

— Kiedyś chciał się pochwalić, że dostał od panny Pauli fotografię z dedykacją. Szukał w portfelu, ale tak jakoś nerwowo, widać czuł, że ja mu nie wierzę, i na po-' długę upadł dowód osobisty. Otworzył się na pierwszej stronie, wtedy prędko się schyliłem i podałem mu, bo chciałem zobaczyć, jakie ma nazwisko.

— Imię też pan zauważył?

— Nie, nie pamiętam.

— I cóż, pokazał panu fotografię?

— No, owszem, tylko, że po mojemu to nie była wcale panna Paula.

— A kto?

— Bo ja wiem, jakaś dziewczyna w kostiumie kąpielowym. Czarna, z długimi włosami, nie powiem — nawet podobna. Na fotografii było napisane „Na pamiątkę od Pauli”.

— Dlaczego pan przypuszcza, że to nie panna Piano?

— Czy ja wiem, taka jakaś była inna.

— W kostiumie kąpielowym każdy wygląda inaczej niż na scenie uśmiechnął się Olski. — Jest pan pewien, że to nie była ona?

— No nie, przysiąc bym nie mógł.

— Wspominał pan temu Krochmalskiemu o swoich wątpliwościach?

— Nic nie powiedziałem.

— No dobrze — Olski zaczął się niecierpliwić. — A z czego pan wnioskuje, że był w niej zakochany?

— Panie poruczniku. Nie miał za dużo pieniędzy, wystarczyło na niego spojrzeć. Ubrany przychodził marnie, a był w teatrze po parę razy w tygodniu, kiedy ona śpiewała. Nawet go nie stać było na porządny bilet. Zawsze siadywał daleko na balkonie albo i na galerii. Potem wybiegał pierwszy do szatni i chwycił palto. Mówił, że jest z kimś umówiony, a ja się dorożumiałem, że niby z nią.

— Zwierzał się panu na ten temat?

— No nie, ale na to wychodziło.

— Dlaczego? — Olski zaczynał na dobre -tracić cierpliwość.

— Panie poruczniku, bo on sobie mnie upodobał do rozmów. Ciągle i ciągle o pannie Pauli. A to, że ładnie śpiewa, a to że jest taka muzykalna, a to że piękna. Same zalety w niej widział. I mówił, że ją zna.

— Może ją i znał — powiedział Olski.

— Po mojemu to tylko się przechwalał, panie poruczniku. Marzył sobie tak, jak w tym kawale o Brigitte Bardot. Zna pan porucznik?

— Nie, nie znam — Olski był wściekły.

Najwyraźniej wydarzenia wczorajszego wieczoru i zabójstwo sławnej pieśniarki rozbudziło wyobraźnię i zajęło myśli wszystkich pracowników teatru. Każdy z nich opowiadał mu jakieś głupstwa nie mające nic wspólnego ze śledztwem, nad którym pracował.

— Nie mam czasu na kawa'ly — powiedział oschle. — Czy pan myśli, że on ma coś wspólnego z zabójstwem?

— Wcale tak nie myślę, panie poruczniku. Chociaż tu wczoraj był.

— Było tu wczoraj dziewięćset osób — zauważył Olski. — A ja się spieszę.

Bileter pokręcił głową,

— Wszyscy się dzisiaj tylko śpieszą i śpieszą — powiedział z żalem. — A z pośpiechu, po mojemu, nie wynika nic dobrego.

Kapitan Rosta wrócił właśnie z zakładu kryminalistyki. Wczesnym rankiem przesłano tam na badanie pocisk wydobyty z ciała zamordowanej podczas sekcji zwłok. Orzeczenie lekarzy brzmiało: Paula Piano zginęła od strzału prosto w serce. Prowizoryczna ekspertyza pocisku pozwalała określić, że pochodził z broni małokalibrowej, typu sportowego. Na podstawie badań pocisku i rany wlotowej ustalono, że strzał był oddany z pewnej odległości, co najmniej kilkunastometrowej. Biegli przystąpili właśnie do eksperymentów pozwalających na określenie kierunku, z którego padł strzał, a także dokładniejszej odległości. O ich wyniku Rosta miał być natychmiast powiadomiony.

Rodzaj śmierci, jaką zadano artystce, śmiałość przedsięwzięcia, wreszcie wprawa we władaniu bronią kazały przypuszczać, iż sprawcą zabójstwa jest mężczyzna. Żadna kobieta nie odważyłaby się na taki czyn ani nie posiadałaby odpowiedniej zręczności. Chociaż... Nie, kobiet z góry wykluczyć mimo wszystko nie sposób. Podział na domeny męskie i kobiece praktycznie przestał istnieć. Kobiety budują domy, konstruują maszyny, prowadzą samochody i samoloty. Dlaczego nie miałyby dobrze strzelać? Ale kobieta nie podjęłaby tak ryzykownej decyzji. Wybrałaby raczej inną broń, prawdopodobnie truciznę, czekała na odpowiednią okazję, działała podstępem. To jednak mimo wszystko musiał być mężczyzna. Człowiek, który służył w wojsku, uczył się posługiwania bronią, wytrawny myśliwy albo ktoś, kto osiągnął wysoki kunszt w strzelectwie sportowym. Pod tym kątem trzeba będzie przesłuchiwać świadków i dokonać zawężenia grona osób, wśród których może być morderca.

Myśląc o tym wszystkim kapitan Rosta wpadł w nie najlepszy nastrój. W ciągu pierwszych godzin nie udało się nie tylko zatrzymać nikogo podejrzanego, mimo silnego patrolowania dzielnicy wokół Teatru Rewiowego, ale nawet wykryć w przybliżeniu motywów zbrodni. Komu zależało na śmierci

młodej, utalentowanej pieśniarki? Przyczyną zabójstwa mogła być chęć zemsty, spowodowana zawodem miłosnym, ale nie przemawiało za tym nic oprócz tego, że Paula Piano była ponętą młodą kobietą, która wzbudzała męskie namiętności. Z doświadczenia wiedział, że w obecnych czasach coraz mniej jest romantyków skłonnych do przeszywania rewolwerowym strzałem niewiernych serc kobiecych.

Rewizja przeprowadzona w mieszkaniu artystki też niewiele przyniosła. Olski i on znaleźli trochę kosztowności i dolarów zaoszczędzonych prawdopodobnie na zagranicznych wояażach, szufladę pełną listów od wielbicieli, w której nie brakowało epistoł miłosnych w stylu „ty albo żadna”, oraz kolekcję fotografii. Olski i Boczek mieli zająć się ustaleniem tożsamości osób, z którymi Paula Piano robiła sobie zdjęcia lub których fotografa kolekcjonowała. Byli wśród nich aktorzy i nie aktorzy, doprawdy pełne ręce roboty!

Usiadł wygodniej w fotelu i zaczął rekapitulować wiedzę, jaką zdobył na temat wczorajszego zabójstwa. Około godziny piątej po południu miał spotkać się z majorem Barteckim, aby wspólnie omówić sytuację. Poranna prasa zamieściła wiadomość o śmierci artystki, miasto trzęsło się od plotek. Paula Piano była osobą tak popularną, że wielu ludzi odczuło jej śmierć jak zgon kogoś bliskiego. Należało uspokoić wzburzoną opinię publiczną przez zwołanie konferencji prasowej i podanie pierwszych wyników śledztwa lub przynajmniej wydanie komunikatu, że milicja jest na tropie przestępcy. Na razie jedno i drugie było niemożliwe, co wprawiało kapitana Rostę w stan niezadowolenia z siebie, czego ogromnie nie lubił. A jak dotychczas wiedział naprawdę niewiele. Oczywiście Murkowski był podejrzany, rano wspólnie z majorem Barteckim zastanawiali się, czy nie należałoby go zatrzymać, odrzucili jednak tę myśl. Fakt, iż Murkowski przebywał wczoraj w mieszkaniu artystki, zdaniem Rosty — nie mógł być wystarczającą przyczyną takiego kroku. Dowodem nie było także owo pokwitowanie na sto osiemdziesiąt tysięcy, które znalazł.

Gdy wczorajszego wieczoru Murkowski zgubił ten dokument i

oni go znaleźli, wpadł w histeryczny gniew i początkowo odmówił wszelkich wyjaśnień. Usta rozwiązały mu się dopiero, gdy kapitan Rosta przywiózł go do komendy. Opowiedział wówczas, że przegrał mnóstwo pieniędzy w pokera. Był w krytycznej sytuacji i Paula zdecydowała się mu pomóc pożyczając tak znaczną sumę. Dał jej wówczas pokwitowanie, chociaż wcale tego nie żądała. Niedbale schowała je do książki, a on zapamiętał tytuł. Gdy dowiedział się o śmierci Pauli... Nie, to nieprawda, że poszedł tam tylko po to, żeby zabrać ze sobą ten kwit i uwolnić się od perspektywy zwrotu pieniędzy. Początkowo nie myślał o tym wcale, chciał po prostu znaleźć się w mieszkaniu, w którym przeżył tyle wspaniałych chwil. Dopiero później przypomniał sobie o kwicie i postanowił zabrać go wraz z książką.

Powtarzał wiele razy, 'że uważa zarówno to pokwitowanie, jak i swoją grę w pokera za kompromitujące. Niej brzmiało to zbyt mocno. Kapitan Rosta był zdania, iż Murkowski chciał uwolnić się od obowiązku spłacenia długu, co wprawdzie rzucało na jego sylwetkę nie najlepsze światło, ale też nie stanowiło dostatecznie silnej j poszlaki, że jest wplątany w zbrodnię. Zresztą aresztowanie Murkowskiego wywołałoby w mieście tak wiele j szumu, iż w żadnym wypadku nie mogła zapaść pochopna decyzja. Przypomniawszy sobie o Murkowskim, - kapitan Rosta postanowił sprawdzić, czy porucznik Olski wrócił już do komendy i jakie wieści przyniósł z teatru. Trzeba było też wyjaśnić, czy Murkowski posiada alibi na cały wczorajszy wieczór, czy istotnie gra w pokera stanowiła jego pasję, bo tego rodzaju wiadomość nie mogła przecież, pomimo największych starań, pozostać tajemnicą, a także czy kiedykolwiek miał do czynienia z bronią. Czasu było zresztą niewiele, gdyż przed godziną kapitan umówił się telefonicznie w kawiarni z dyrektorem Borysem. Sądził, że rozmowa przy pół czarnej da lepsze rezultaty niż formalne przesłuchanie. Myśli jego przerwało pukanie do drzwi. W progu stanął sierżant Boczek i przykładownie się zameldował.

— Czego chcecie, Boczek? — zapytał kapitan.

— Tu jest takich dwóch do pana kapitana — oświadczył

sierżant. — Domagają się osobistej rozmowy.

— Nie mam dziś czasu — powiedział kapitan. — Skierujcie ich do kogo innego.

— Kiedy oni powiadają, że mają ważne wiadomości związane ze śmiercią Pauli Piano. — Boczek stał wciąż wyprężony na baczność, z czego wynikało, że przywiązywał dużą wagę do tej wizyty.

— No to proście — odparł kapitan Rosta.

10

Do pokoju weszło dwóch młodych ludzi w roboczych kombinezonach.

— Dzień dobry, obywatelu kapitanie — powiedzieli jak na komendę i zbliżyli się do biurka.

— Co was do mnie sprowadza? — zapytał Rosta patrząc na ich pełne przejęcia twarze.

— My przynieśliśmy coś dla pana — powiedział starszy.

Sięgnął ręką do kieszeni i wyjął małe zawiniątko. Położył je przed kapitanem i czekał.

— Co to jest? — zapytał Rosta biorąc do ręki pakiecik owinięty w gazetę.

— Proszę zobaczyć — zachęcił robotnik — mnie się zdaje, że to może być ważne.

Kapitan Rosta rozwinął papier i oczom jego ukazał się kawałek metalu. Ależ tak, była to łuska. Na chwilę oczy mu roz błysły, ale nie okazał radości.

— Gdzie to znaleźliście? — zapytał.

— Jesteśmy zatrudnieni na budowie naprzeciwko Teatru Rewiowego — zaczął starszy z przybyłych. — Może pan kapitan wie, tam wykańcza się duży blok mieszkalny...

— Tak, wiem — przytaknął kapitan.

— Aktualnie kładziemy posadzki — wtrącił młodszy — w mieszkaniach na pierwszym piętrze. Dali nam nawet całkiem niezłą dębową klepkę, to i robota leci...

— Rozumiem — przytaknął kapitan, lekko zniecierpliwiony tą dygresją. — Ale gdzie to znaleźliście?

— Ano właśnie, cheę po kolei. Przyszliśmy rano do roboty, chcieliśmy kończyć kładzenie w jednym mieszkaniu. Wczoraj wyjątkowo nie pracowaliśmy po fajran- cie, a zwykle pracujemy, żeby wykonać plan przed terminem, bo za to kapnie premia...

— Powiedz panu kapitanowi co trzeba — wmieszał się starszy.

— To leżało na podkładzie tam, gdzie mieliśmy kłaść klepkę.

— Zobaczyłem i od razu poznałem, co to jest — ciągnął młodszy. — Było się przecież w wojsku, panie kapitanie... Więc wziąłem i lecę do majstra. A on do mnie: „ostrożnie, powiada, paluchami nie dotykaj, powiada, zawiń w co i do komendy.”

— Kiedy to znaleźliście?

— Będzie może z godzinę albo i więcej. Trochę czasu to my tu stracili, bo 'sierżant nie chciał do kapitana prowadzić, mówił, że pan mocno zajęty. A my nie chcieli pierwszemu lepszemu oddać. Ale to, obywatelu kapitanie, ani chybi jest łuska od tej kuli, która ją zabiła. Fajnie śpiewała, prawda?

— Prawda — skinął głową kapitan Rosta. — I bardzo wam dziękuję. Spełniliście swój obywatelski obowiązek.

— Obywatelu kapitanie, czy wiecie już, kto to zrobił? — zapytał starszy robotnik.

— Mam nadzieję, że wkrótce go znajdziemy — odparł kapitan.

— Ale tymczasem chciałbym wam zadać kilka pytań.

— Powiedzieliśmy wszystko — zapewnił młodszy.

— Oczywiście, ale mnie interesuje jeszcze kilka szczegółów. Chciałbym wiedzieć, jak to właściwie jest? Czy każdy ma wolny wstęp na waszą budowę w godzinach, kiedy się nie pracuje? Na przykład wieczorem?

— To jest tak, obywatelu kapitanie — przystąpił do wyjaśnień starszy. — Budynek jest na wykończeniu. Znaczy się, my teraz prowadzimy roboty pod dachem. Pracujemy my i stolarze.

— No dobrze, ale czy każdy może mieć wstęp na budowę?

— Obywatelu kapitanie, pewnie, że nie każdy. Tam jest cieć, to jest chciałem powiedzieć dozorca. On przychodzi pilnować, jak my schodzimy z pracy. Inaczej tu wszystko by ani chybi rozkradli.

— Czy dozorca czuwa również w nocy?

– Niby tak, ale przecie to starszy człowiek. Emeryt. On sobie tak dorabia, bo dla niego ważne te siedemset pięćdziesiąt złotych. Siedział w pakamerze i nie usłyszał, że ktoś wchodzi.

– Albo sobie przysnął — dorzucił młodszy. — Jemu już niedługo siedemdziesiątka stuknie, gdzie taki upilnuje dużej budowy.

– Uważacie więc, że wieczorem nie było trudno dostać się do środka budynku?

– Pewnie, że nie. Ktoś mógł przyjść wcześniej i gdzieś się schować. Teraz jesień, wcześniej robi się ciemno.

Znów rozległo się pukanie do drzwi i kapitan ujrzał w nich Olskiego.

– Za chwilę poproszę was do siebie — zwrócił się do porucznika.

Olski jednak nie odchodził.

– Przepraszam bardzo, obywatelu kapitanie — rzekł.

– Chciałem tylko coś wam pokazać — wszedł do pokoju i położył przed kapitanem niedużą białą kartkę.

Było to świadectwo lekarskie wystawione na nazwisko Floriana Murkowskiego, który nie mógł stawić się na dzisiejsze przesłuchanie z powodu przedzawałowego stanu serca.

Dyrektor Wiktor Borys siedział w westybulu hotelu Europejskiego, spełniającego zarazem rolę kawiarni dla hotelowych gości, i spokojnie przeglądał prasę. Nie znał kapitana Rosty, nie zareagował więc na jego wejście. Kapitan skierował się bezbłędnie w stronę dyrektora, choć przy stolikach siedziało wielu samotnych gości.

– Jestem Rosta — powiedział krótko, potrząsając dyrektorską dłonią: Nie spodobała mu się ta dłoń. Była duża, za ciepła, za miękka i odrobinę spocona.

Po krótkiej naradzie, czy zamówić kawę czy herbatę, i rozstrzygnięciu problemu na rzecz tej ostatniej, panowie pogrążyli się w rozmowie.

– Zetknęły nas z sobą bardzo przykre okoliczności — zaczął

dyrektor Borys. — Jestem głęboko poruszony tą śmiercią i chętnie przyjdę panom z wszelką pomocą. Wspominałem o tym już dziś porucznikowi Ołskiemu jeszcze przed pana telefonem!

— Słyszałem, dziękuję. — Kapitan podkreślił swoje słowa skinieniem głowy. — Pan jako dyrektor teatru będzie mógł z pewnością wiele mi powiedzieć o panie Piano, jej znajomościach i powiązaniach. To może być bardzo pomocne.

— Nie tak wiele, jak pan sądzi — zastrzegł się dyrektor Borys. — Z zasady nie interesuję się prywatnym życiem artystów. To jest oczywiście dopóki nie koliduje ono z ich obowiązkami zawodowymi. Stąd też wiem o Pauli Piano bardzo niewiele. Nigdy mi się nie zwierzała, a ja utrzymywałem z nią kontakty nie wykraczające poza te, jakie łączą dyrektora teatru z członkami zespołu.

— Paula Piano nie była chyba zwykłym członkiem zespołu — zauważył Rosta.

— Oczywiście. Można nawet powiedzieć, że była wybitną artystką. Jeśli jednak mam być szczerzy z panem, kapitanie, powiem, że była to gwiazda, której dodawano sztucznego blasku. Mamy inne pieśniarki wcale nie gorsze, a ostatnio odsunięte w cień. Psuło to atmosferę w teatrze i wywoływało wiele kwasów.

— Ma pan na myśli Beatę Kałską?

— Owszem, przede wszystkim zaś Ięę Amur. Moim zdaniem jest to osoba obdarzona zarówno świetnym głosem, jak i zdolnościami aktorskimi. Dotąd jednak nie uzyskała rozgłosu, którym cieszyła się Paula Piano. Ostatnio nawet zmuszony byłem udzielić zgody na jej gościnne występy w innym teatrze. U nas brakowało dla niej tekstów.

— Jak do tego doszło? Przecież pan jako dyrektor teatru miał wpływ na obsadzanie ról?

— Niestety, ograniczony. Naszym kierownikiem artystycznym i głównym reżyserem jest pan Ryszard Ankiewicz. On ma w tych sprawach decydujący głos.

— Chce pan powiedzieć, że popierał zmarłą?

Dyrektor Borys rozłożył ręce.

— To fakt.

— Z pewnością musiał wysoko ją cenić?
— Bo ja w'iem?
— Przypuszcza pan, że wchodziły w grę inne przyczyny?
— Wolałbym się nie wypowiadać na ten temat. Nie lubię wtrącać się w cudze sprawy.

— Nie przyszliśmy tu na towarzyską pogawędkę. Te sprawy cudze, jak pan powiada, mogą mieć znaczenie dla toczącego się śledztwa.

— Proszę nie sądzić, że chcę coś przed panem ukrywać. Wręcz przeciwnie, po prostu myślę, że Paula mu się podobała.

— I nic więcej?

Borys skrzywił się.

— Widzi pan, niekiedy przykro jest mówić o zmarłych. Ale nasza Paula nie należała do kobiet, które czynią mężczyznom trudności. Jeśli zechce pan zliczyć jej przyjaciół, nie będzie to łatwe, drogi panie kapitanie.

— Z Ankiewiczem łączyły ją też bliskie stosunki?

— Jest wiele powodów, które pozwalają tak przypuszczać. Ale któż to wie.

— Czy był pan wczoraj wieczorem w teatrze?

— Owszem, wyszedłem jednak przed zakończeniem przedstawienia. Kiedy Paula bisowała.

— Nie został pan do końca? — zdziwił się Rosta. — Przecież to była taka głośna premiera.

— Miałem do załatwienia małą wizytę rodzinną — wyjaśnił Borys.

— Nie wybierał się pan nawet na bankiet do „Krokodyla”?

— Owszem, zamierzałem zajrzeć tam później.

— Pan Ankiewicz oczywiście miał być na tym bankiecie?

— Spodziewam się. — Zabrzmiało to sarkastycznie.

Kapitan Rosta zamyślił się. Ten człowiek mu się nie podobał i nie budził w nim zaufania, choć nie potrafiłby wyjaśnić, z jakich przyczyn.

— Wspomniał pan — zaczął ostrożnie — że Paula Piano miała wielu przyjaciół. O kim pan myśli?

— Zbyt trudne dla mnie pytanie. — Borys nie pozbywał się swego ironicznego tonu. — Powiedziałem już, że było ich wielu.

— Panie dyrektorze, Paula Piano została zamordowana, a pan zadeklarował nam swoją pomoc. Czy nie zechciałby pan sobie przypomnieć konkretnych nazwisk?

— No cóż, poza Ankiewiczem wiem, że spotykała się z Kurmanem, z Murkowskim, bywało też u niej wielu aktorów z naszego teatru. Mężczyźni oczywiście. Miałem przez te romanse mnóstwo kłopotów i nieprzyjemności... — urwał, jakby się nad czymś zastanawiał.

— Czy nie słyszał pan nigdy, żeby ktoś, z kim panna Piano utrzymywała bliższe stosunki, pałał do niej szczególną niechęcią?

— Przypuszczam, że Murkowski. Pozbyła go się niemal z dnia na dzień, choć przez pewien czas stanowili nierozłączną parę. Miał do niej tyle żalu, że odmówił gościnnych występów w naszym teatrze, gdy mu je zaproponowałem. Nie chciał się z nią spotykać. Ankiewicz był z tego powodu raczej zadowolony. Nie lubiły jej także inne artystki. Przez nią czuły się pokrzywdzone, odsunięte od dobrych ról i tekstów. Przychodziły do mnie z żalami.

— Czy spośród wszystkich tych mężczyzn Pauli Piano na kimś szczególnie zależało?

Borys przez chwilę milczał.

— Jeśli mam być szczery — sędzę, że nie. Powiem panu bez osłonek, co o tym myślę. Piano była dziewczyną ze wsi, wychowaną w zwykłej chłopskiej chałupie. Pracowała w gospodarstwie i w polu jak inne gospodarskie córki. A potem niespodziewanie wzięła nagrodę w jakimś amatorskim konkursie. Tak się zaczęła jej błyskawiczna kariera. Uroda i powodzenie u mężczyzn były dla niej nie lada pomocą. Ankiewicz zobaczył ją i stracił głowę. Przywiózł dziewczynę tutaj, rezultaty pan zna. A jej kariera przewróciła w głowie. Przyjęła pseudonim, przecież ona naprawdę nazywała się Pelagią Kuć. Obrażała się jednak ciężko, jeśli ktoś o tym wspominał. Kiedyś nawet doszło między nią a Kalską do awantury z tego powodu. Wołała, że nie pozwoli się obrażać. Widzi pan sam, do czego może dojść taka dziewczyna.

— Zdaje się, że te dwie panie za sobą nie przepadały?

— Oczywiście, że nie. Kalska, panie kapitanie, to kulturalna osoba. Z kindersztubą. Drażnił ją brak wychowania Piano, jej prostactwo.

— Rywalizacja zdaje się nie jest niczym nadzwyczajnym w środowisku aktorskim.

— Tak samo jak i w innych — odciął się Borys. — O ile znam życie, wszędzie podobnie się dzieje. Ludzie wzajemnie podstawiają sobie nogę, byleby tylko wspiąć się o jeden szczebel wyżej.

Kapitan Rosta uznał, że rozmowa zaczyna schodzić na boczne tory.

— Doszły do mnie wiadomości — powiedział — że na kilka dni przed śmiercią Pauli miał pan z nią jakąś nieprzyjemną rozmowę.

Na twarzy dyrektora odbił się wyraz zdziwienia.

— Cóż — rozłożył ręce. — Taka jest moja dyrektorska dola. Nie zawsze mogę ludziom mówić rzeczy przyjemne.

— Chciałbym wiedzieć, o czym państwo wówczas rozmawiali.

— Po prostu zwracałem jej uwagę, że musi zmienić swoje zachowanie w teatrze. Mam na myśli to, że wynosiła się nad inne śpiewaczki i zawsze podkreślała swoją rolę. Koleżanki skarżyły się na nią...

— To był jedyny temat rozmowy? Mam informacje nieco inne.

Dyrektor Borys nie umiał ukryć zakłopotania. Zapalił kolejnego papierosa i milczał. Kapitan Rosta zauważył natychmiast, że jego ręce lekko drżą.

— Słucham pana, dyrektorze — powiedział po prostu.

— Nie chciałbym być źle zrozumiany — zaczął dyrektor Borys. — Doprawdy. Nie mam zamiaru nic przed panem ukrywać, kapitanie. Ale, widzi pan, jestem związany dyskrecją, no, po prostu dałem komuś słowo, a uważam się za gentlemana, który danego słowa dotrzymuje. Poza tym nie wydaje mi się, aby to, co mógłbym panu powiedzieć, miało jakikolwiek związek ze zbrodnią.

— Zobaczymy — chłodno zauważył Rosta. — Co się zaś tyczy słowa honoru i wszelkich innych zobowiązań, nie mają one znaczenia tam, gdzie w grę wchodzi wykrycie sprawcy

zabójstwa.

— Nie widzę tu żadnego związku... — zaczął dyrektor Borys. — A poza tym zaprosił mnie pan tutaj na swobodną rozmowę.

— Słucham pana, panie dyrektorze — powtórzy! kapitan Rosta.

— Dobrze — dyrektor Borys jeszcze z sobą walczył. — Powiem panu, ale mam nadzieję, że nikt się o tym nie dowie.

— Oczywiście — zapewnił kapitan.

— A więc pewnego dnia zgłosiła się do mnie do teatru pewna pani. No cóż, osoba na poziomie. Żona człowieka na wysokim stanowisku.

— Jak brzmi jej nazwisko? — zagadnął kapitan Rosta.

— O tym może za chwilę. Otóż ta pani, prosząc mnie o najgłębszą dyskrecję, oznajmiła, że przyszła właśnie w sprawie Pauli Piano. Mianowicie panna Piano nawiązała romans z jej mężem, afiszując się z nim i kompromitując go swoją natarczywością. Moja rozmówczyni bardzo nad tym bolała. Utrzymywała, że mąż jest romanssem tym zmęczony, nie potrafi go jednak zakończyć, jest zbyt delikatny, słowem, niezdolny do załatwienia po męsku sprawy z kobietą. Dlatego przyszła prosić mnie o pomoc.

— A pan jej odpowiedział, że nie interesuje się prywatnym życiem artystów występujących w pańskim teatrze, dopóki nie koliduje ono z obowiązkami zawodowymi?

— Nie mogłem tak jej powiedzieć — zachnął się Borys. — Okazała mi zaufanie.

— Oczywiście — przytaknął Rosta. — Jak zatem pan postąpił?

— Przyrzekłem jej, że się nad tym zastanowię.

— I tak państwo się rozstali?

— Powiem panu, panie kapitanie, że to jest kobieta z wielkim temperamentem. Nie pierwszej młodości, z pewnością przekroczyła czterdziesty rok życia, ale żeby pan zobaczył jej oczy! Dosłownie rzucały błyskawice. Powiedziała mi, że jeśli jej nie pomogę, ona sama rozprawi się z Paulą Piano, i to tak, że wszyscy wkrótce zapomną o jej istnieniu.

— No, no, no — mruknął kapitan Rosta.

— Dosłownie tak mi powiedziała: „Ja zgładzę ją i jej karierę”,

bo wie pan, kapitanie, skoro posunęliśmy się już tak daleko, zdradzę panu, że ona nie jest Polką. W jej żyłach płynie krew katalońska, a Katalończycy, podobno, nie zapominają i są mściwi. A jej mąż...

— Pan Adam — zaryzykował kapitan Rosta obserwując bacznie, jakie wrażenie to imię zrobi na jego rozmówcy.

Dyrektor Borys zamilkł i przez chwilę przyglądał się kapitanowi w milczeniu.

— Pan wie wszystko — powiedział zgnębnym głosem.

— Gdybym wiedział wszystko, nie spotykałbym się z panem.

— Ale wie pan przecież, że mówię przez cały czas o żonie profesora Adama Blacka, przedstawiciela na Polskę Międzynarodowego Komitetu Ochrony Naturalnego Środowiska Człowieka.

— Oczywiście — potwierdził spokojnie kapitan Rosta.

— No to pan rozumie. Człowiek związany z Organizacją Narodów Zjednoczonych nie może pozwolić sobie na skandal wywołany przez małą pieśniareczkę. Gdyby ta historia wyszła na światło dzienne, Black mógłby zostać odwołany.

— Hm, być może, ale dlaczego pana tak to obeszło : osobiście?

— Bynajmniej nie obeszło mnie osobiście. Chciałem tylko okazać pomoc kobiecie, która zwróciła się do mnie z całym zaufaniem w tak delikatnej sprawie.

— O ile mi wiadomo, Black posługuje się biegle językiem polskim — zauważył Rosta.

— Pan go nie zna?

— Nie.

— Jest pochodzenia polskiego. To jest można właściwie powiedzieć, że jest Polakiem. Jego rodzice pochodzili z rodzin polskich, które jeszcze przed pierwszą wojną światową wyemigrowały do Stanów. Ojciec Blacka nazywał się po prostu Czarnecki, ale potem zmienił nazwisko, aby zaadaptować się łatwiej w nowym kraju. W domu jednak rodzice profesora używali zawsze języka polskiego i stąd właśnie zna go tak dobrze. Sam mi opowiadał.

— Panowie utrzymują ze sobą stałe kontakty?

— Och, za dużo powiedziane. Widzieliśmy się kilka razy.

— Rozumiem. Wróćmy jednak do panny Piano. Czy rozmawiał pan z nią na temat Blacka?

Dyrektor Borys wykonał bezradny gest.

— Próbowałem. Bez rezultatu.

— Nie chciała podjąć tego tematu?

— Ach, nie. Po prostu odniosła się do sprawy ogromnie niemądrze. Trudno było właściwie po niej spodziewać się czegoś więcej.

— Co pan ma na myśli?

— Przedstawiłem jej sytuację. Spokojnie i rzeczowo. Wytłumaczyłem, że wywoła ogromny skandal, który może zwichnąć nie tylko przyszłość pana Blacka, ale i jej karierę. Powiedziałem, że nie ma żadnych szans, że musi przegrać.

— Jak na to zareagowała?

— Bardzo gwałtownie. Oświadczyła, że nic jej to nie obchodzi, że z Adama, to jest z profesora Blacka, nie zrezygnuje. Zakomunikowała mi jeszcze, że nie mam prawa wtrącać się do jej spraw, i wyszła trzasnąwszy drzwiami. Wspominałem już panu, że ta dziewczyna nie miała żadnego wychowania.

— Wspominał pan. Czy powtórzył pan tę rozmowę pani Black?

— Bardzo ogólnikowo. Nie chciałem jej rozdrażniać.

— To znaczy, że widział się pan z nią powtórnie?

— Nie umawialiśmy się. Jej mąż zaprosił mniema brydża. Nie miał oczywiście najmniejszego pojęcia o wizycie swojej żony w teatrze. Mogłem jednak zamienić z nią kilka słów na osobności.

— Często pan tam bywał?

— Och, dwa czy trzy razy. Nie łączyła mnie z Blackami żadna bliższa znajomość. Drogi panie kapitanie, treść tej rozmowy pozostanie oczywiście między nami.

— Mam nadzieję.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zaniepokoił się Borys.

— Pozostanie między nami. o ile nie będzie miała bezpośredniego związku z zabójstwem Pauli Piano.

— Ależ panie kapitanie, pan tak nie może myśleć, to wręcz nieprawdopodobne.

— Gdyby pan wiedział, jak często nieprawdopodobne bywa prawdziwe — westchnął kapitan Rosta.

Misza Bujnowicz zbiegał już po schodach do redakcyjnego samochodu, gdy w bramie natknął się na Krochmalskiego. Od trzech lat, odkąd młody dziennikarz dostał kawalerkę w bloku na osiedlu za Żelazną Bramą, mieszkali drzwami w drzwi, co dało początek ich znajomości. Wiesławowi Krochmalskiemu imponowała zażyłość z dziennikarzem, pracującym w jednym z najpopularniejszych tygodników stolicy. Bujnowicz natomiast polubił sąsiada, który nie tylko był zawsze pełen podziwu dla jego pierwszych publikacji i rozmaitych pomysłów, ale także znakomicie grał w szachy. Toteż i teraz, chociaż bardzo się spieszył, Bujnowicz na chwilę przystanął.

— Złapałem temat — powiedział. — Jeśli uzyskam informacje, na jakie liczę, tym razem będzie naprawdę bomba.

— O czym pan chce pisać? — zapytał Krochmalski.

— Sza, tajemnica. Ale właściwie panu mogę powiedzieć.

— Pewnie, że pan może — zgodził się Krochmalski.

— Zajmuję się sprawą zabójstwa Pauli Piano. Przygotowuję duży artykuł.

Przez twarz Krochmalskiego przebiegł cień.

— To jest dla pana ten bombowy temat?

— Panie Wiesławie! Czy pan wie, jak to interesuje ludzi? — zaczął Bujnowicz i nagle się zreflektował. — Och, przepraszam, zapomniałem, że pan ją lubił.

Krochmalski w milczeniu skinął głową.

— Pan, zdaje się, wspominał kiedyś, że poznał ją osobiście?

— Taka przelotna znajomość się nie liczy.

— Musi mi pan dokładnie opowiedzieć.

— Przecież pan się spieszy.

— Teraz tak, ale zobaczymy się wieczorem.

Kiedy stanął na ulicy rozglądając się za redakcyjnym autem, w którym powinien już być siedzieć Kurman, nasunęła mu się refleksja. Nie trzeba chyba tak bez ogródek mówić o śmierci Pauli Piano. Ludzie przepadali za nią, wraz z jej śmiercią coś ubyło z ich życia. On patrzy na to inaczej, profesjonalnie,

choć równieź lubił pieśniarkę i jej piosenki. Ale przecież dziennikarzowi nie co dzień zdarza się okazja napisania artykułu, który będzie na ustach wszystkich. Są tacy, którzy czekają na to lata, może nawet całe życie.

Nie miał więcej czasu na rozmyślania, bo właśnie zajęła redakcyjna Wołga z Kurmanem. Usiadł na tylnym siedzeniu obok starszego kolegi i przelotnie na niego spojrzął. Kurman nie zdradzał: chęci do rozmowy, był ponury, jakby postarzały. Misza Bujnowicz uznał, że lepiej się nie odzywać.

— Jesteśmy zamówieni do majora Barteckiego — powiedział redaktor Kurman dyżurnemu milicjantowi, po czym obaj weszli do wnętrza.

Musieli przez chwilę czekać, major Bartecki był zajęty. Usiedli w poczekalni ćmiąc papierosy.

— Nie wiedziałem, że pan interesuje się sprawami kryminalnymi — zaczął rozmowę Kurman. — Wydawało mi się, że raczej krytyką teatralną.

— Naturalnie — przytaknął Bujnowicz. — Ale uważam, że prawdziwy dziennikarz nie powinien puszczać dobrego tematu, który mu wpada w ręce. Ponieważ pan wyraził brak zainteresowania dla tej sprawy, redaktor Smulski...

— Nie musi się pan tłumaczyć — kwaśno uśmiechnął się Kurman. — Moim zdaniem pisanie o zabójstwach i ściganiu morderców należy pozostawić popołudniówkom. To są historie akurat dla nich, każdy chętnie poczyta sobie w tramwaju czy przy obiedzie o tym, jak ktoś inny zginął z ręki złoźyńcy, podczas gdy on cieszy się życiem i zdrowiem.

— Uważa pan, że nie trzeba zamieszczać informacji tego rodzaju?

— Tego nie powiedziałem.

— To dobrze — ucieszył się Bujnowicz. — Nie chciałbym, aby pan... dyskusję przerwało wejście sekretarki majora Barteckiego.

— Pan major prosi — rzekła.

Major Bartecki przyjął ich niemal serdecznie.

— Czytuję często pańskie recenzje — zwrócił się do Kurmana.

— Są doskonale. O ile sobie przypominam, był pan jednym z

pierwszych naszych krytyków, którzy wróżyli świetną przyszłość Pauli Piano.

Kurman wykonał nieokreślony gest ręką.

— Tego, co się stało, nie byłem w stanie przewidzieć.

— Tak. Ponura sprawa. Mało kto odchodząc z tego świata traci tak wiele jak ona. Młoda, piękna, sławna. Miała wszelkie dane, aby cieszyć się życiem.

— Publiczność wyjątkowo ją lubiła — wtrącił Bujnowicz.

— Bez wątpienia — przyznał major. — No cóż, stało się. Tego już nie jesteśmy w stanie odwrócić.

— Panie majorze, czy moglibyśmy się dowiedzieć, co ujawniło dotychczasowe śledztwo? — nie wytrzymał Misza Bujnowicz.

— Kolega Bujnowicz ma się zająć sprawą na polecenie naszej redakcji. Ze względu na wielką popularność Pauli Piano kierownictwo Meteora zdecydowało się informować naszych czytelników o postępach śledztwa — uzupełnił Kurman wypowiadając słowa jak aktor dobrze wyuczoną kwestię.

Nawet Bujnowicz zauważył, że nie przychodzi mu to bez trudu.

— Muszę panów rozczarować — oznajmił major Bartecki. — Nie mam na ten temat nic do powiedzenia.

— Jak to nic? — podchwycił Bujnowicz. — Niemożliwe.

— Po prostu nie udzielamy informacji, dopóki śledztwo nie jest zakończone. Dla jego dobra.

— Ale pan się z nami umówił — upierał się Bujnowicz.

— Owszem, umówiłem się, gdyż redaktor Kurman, którego tak dobrze znam jako czytelnik, o to prosił. Przedstawiciele prasy są zawsze mile widziani w komendzie, ale niekiedy nie możemy zaspokoić ich ciekawości.

— Przykro mi, że niepotrzebnie pana trudzimy — wtrącił Kurman.

— Nic nie szkodzi. Mogę panów zapewnić, że gdy tylko sprawa będzie wyjaśniona, zwołamy konferencję prasową i zaprosimy przedstawicieli wszystkich zainteresowanych redakcji, w tym oczywiście również i panów.

— Ale przecież coś już panowie wiecie, jesteście na jakimś tropie. — Bujnowicz za nic nie chciał wypuścić z rąk okazji.

- Trafnie pan to ujął — pochwalił go major Bartecki.
- A więc?
- Odłożymy jeszcze rozmowę.
- Pożegnamy pana, majorze. Nie chcemy zajmować czasu — w głosie Kurmana brzmiała wyraźna ulga.
- Chyba się pan nie spieszy — zapytał major Bartecki. — Chcieliśmy skorzystać z pana obecności w komendzie. Kapitan Rosta pragnie z panem zamienić kilka słów.

13

Kurman spojrział za Miszą Bujnowiczem, który odchodził z wyraźnym żalem malującym się na obliczu, po czym podążył za majorem Barteckim, który osobiście prowadził go do kapitana Rosty. Gdy panowie zawarli znajomość, a Kurman zajął miejsce przy niedużym stole, major dyskretnie opuścił pokój.

— Wiele o panu słyszałem — zaczął kapitan Rosta. — Że jest pan nie tylko znakomitym znawcą muzyki lekkiej, ale także wytrawnym myśliwym. Wiem, że jeździł pan kiedyś na polowania z moim kolegą kapitanem Mol- skim.

— I owszem, trochę polowałem w życiu — uśmiechnął się Kurman. — Ale teraz zarzuciłem ten sport. Dokucza mi serce —

— dodał tonem wyjaśnienia.

— Ach, serce, ileż przez nie kłopotów w życiu — zażartował kapitan Rosta.

Ale Kurman nawet się nie uśmiechnął. Siedział na krześle napięty i blady.

— Na co pan polował? — zapytał Rosta od niechcienia.

— Na dzikie kaczki, na zające, czasem na dziki.

— No tak — powiedział Rosta. — Mówią: piękny sport. Nie chciałbym pana urazić, ale nie gustuję w nim. Zabijanie dla przyjemności nigdy mnie nie bawiło.

— Myślistwo ma swoich zwolenników i przeciwników — wymijająco odpowiedział Kurman.

— Czy pan dobrze znał Paulę Piano? — Rosta nagle zmienił temat.

Kurman drgnął.

— Krytyk muzyczny zna śpiewaczki i pieśniarki, to jasne — odparł. — Mógłbym panu wiele powiedzieć o jej karierze zawodowej, a także o skali jej głosu.

Rosta skrzywił się.

— Mnie raczej interesuje jej prywatne życie.

— Nic o nim nie wiem — sucho odrzekł Kurman.

— Niech pan nie będzie taki skromny, redaktorze. — Rosta nie zamierzał zrezygnować. — Przecież łączyły pana z nią więzy przyjaźni.

— Myśli pan tak dlatego, że pisałem przychylne recenzje z jej występów?

— Myślę tak dlatego, że widywano ją z panem.

— Przyznaję, że kilka razy zaprosiłem pannę Piano na kawę, aby z nią coś omówić.

— Co mianowicie?

— Porozmawiać o jej planach, zapytać o wrażenia z festiwalu, na którym była. Czyż jestem w stanie pamiętać? Spotykam wiele osób.

— Z pewnością. Orientuje się pan chyba, co mówi się w środowisku teatralnym?

— Nie, nie orientuję się.

— Że łączyły pana panną Piano bliższe stosunki.

— To chyba niemożliwe...

— A jednak — nie ustępował Rosta.

— W środowisku teatralnym mówi się różne rzeczy, nie wszystko musi być prawdziwe.

— Rozumiem — zauważył domyślnie kapitan, — że chciał pan ten związek zachować w tajemnicy. Jest pan człowiekiem żonatym, mającym rodzinę...

— Czy jestem tu na przesłuchaniu?

— Ależ skądże, po prostu rozmawiamy. Gdyby było inaczej, musiałbym zatroszczyć się choćby o protokół.

— A jeśli nie mam ochoty na rozmowę o swoich osobistych sprawach?

— Nie musi pan jej prowadzić. Chciałbym tylko, jeśli to możliwe, aby odpowiedział mi pan na jedno pytanie. Dlaczego manifestował pan wczoraj swoją obecność na miejscu

wypadku, dręczył pytaniami lekarza, a nawet naszych ludzi. Zapomniał pan wówczas o swojej reputacji czy może... — kapitan zawiesił głos — chodziło panu o osiągnięcie pewnego celu?

— Nie rozumiem — Kurman zastygł na swoim krześle.

— O to, aby widziano pana na miejscu zbrodni... Czy tak?

— Jestem podejrzany? — nie wytrzymał Kurman.

— Dopóki zabójca nie będzie ujęty, podejrzanych jest wielu. Nie mówię, że pan do nich należy — uspokoił go kapitan Rosta.

— Byłem tam przez cały czas, widzieli mnie ludzie — Kurman zaczynał tracić panowanie nad sobą. — Jak pan to sobie wyobraża? Że na oczach znajomych wyjąłem pistolet i strzeliłem do dziewczyny?

— Skąd pan wie, że Paula Piano została zastrzelona z pistoletu?

— Pan chwyta mnie za słowa. Tak mi się powiedziało. Powiadam panu, że mam alibi. Wśród tych, którzy wczoraj wieczorem byli na Oleandrów, znało mnie osobiście co najmniej z pięćdziesiąt osób.

— Pan zbliżył się do grupy osób stojącej przed teatrem, gdy Piano już nie żyła. A przedtem?

— Telefonowałem z budki przed teatrem.

— A można wiedzieć, do kogo pan telefonował? Oczywiście jeśli to nie sekret.

— Do znajomych.

— Rozmawiał pan z nimi?

— Nie. Telefon był ciągle zajęty.

— No widzi pan, redaktorze, a tymczasem nieznanymi sprawca wszedł na teren budowy naprzeciw teatru, dostał się na pierwsze piętro i strzelił do wychodzącej z teatru artystki. Sądzę, że zajęło mu to nie więcej niż dziesięć minut. Ale niechże się pan nie denerwuje. Rozmawiamy przecież prywatnie.

— Ją zastrzelono z tej budowy? Z okna? — Kurman wyglądał na zaskoczonego.

— Cieszę się, że mogłem powiedzieć coś nowego tak świetnie poinformowanemu dziennikarzowi — kapitan Rosta wyglądał na zadowolonego z siebie.

Dzwonek zadzwonił tak delikatnie i lekko, że pani Murkowska w ogóle go nie usłyszała. Dopiero gdy zabrzmiał powtórnie, skierowała się do drzwi.

— Ja nie chcę nikogo widzieć — usłyszała z pokoju i głos syna.

— Nie wpuszczaj do mnie, mamó.

— Dobrze, dobrze — odparła pani Murkowska swoim jęśliwym głosem.

Była pewna, że ten, co stał za drzwiami, dokładnie słyszał słowa Floriana. Otworzyła i ujrzała Beatę Kalską.

— Dzień dobry pani — powiedziała Beata. — Przyszłam, bo dowiedziałam się, że Florian nagle zachorował.

— Syn bardzo źle się czuje — pani Murkowska nie zmieniła tonu.

Jej sposób mówienia, w którym wyczuwało się niezadowolone, spieszył Beatę.

— Może rozmowa ze mną mu nie zaszkodzi. Telefonował dzisiaj do mojego narzeczonego, ale Mariusz wyjechał na Wybrzeże na zjazd lekarski. Przypuszczam, że chciał zasięgnąć porady.

— Zaraz się dowiem — mruknęła pani Murkowska znikając w pokoju i po chwili Beata usłyszała uradowany głos Murkowskiego, zapraszający ją do środka.

Aktor leżał na tapczanie, wśród niedbale rozrzuconej . pościeli, która świadczyła o tym, iż trudno mu było uleżeć spokojnie. Na widok swego gościa uniósł się i wyciągnął do Kalskiej rękę.

— Leż! — zawołała — W teatrze mówią, że grozi, ci zawał, a ty podnosisz się i rzucasz.

— Mam stan przedzawałowy — ponuro odpowiedział Murkowski. — Dlatego pozostawiono mnie w domu.

— Chyba jesteś z tego zadowolony? — rzekła. — Tu masz przynajmniej spokój.

— Nie mam spokoju — powiedział płaczkliwie.

— Dlaczego?

- Dobrze wiesz, dlaczego.
- Masz na myśli Paulę, prawda? Bardzo ci współczuję, Florian, ale przecież i tak rozstaliście się.
- Nic nie rozumiesz.
- Staraj się nie myśleć o tym. Dla swego dobra.
- Nie potrafię, nie mogę...
- Wiesz, Florian, dziś jest czarny dzień w teatrach warszawskich — próbowała zmienić temat. — U nas przedstawienia odwołane aż na sześć dni, czuję w tym rękę Ankiewicza. Borys musiał być temu przeciwny. U was też spektakl odwołany i kasa zwraca pieniądze za bilety, bo zachorowałeś tak nagle, że nie ma cię kto zastąpić.
- Murkowski poruszył się i jęknął.
- Nie miała wątpliwości, że sprawa odwołanych przedstawień zupełnie go nie interesuje.
- Nie mogę się pogodzić z tym, co się stało z Paulą — westchnęła żałośnie.
- Stajesz się strasznie sentymentalny — zauważyła. — I chyba zapomniałeś, co mi sam powiedziałeś nie dalej niż dwa tygodnie temu na przyjęciu u Borysów.
- Nie przypominam sobie. Cóż takiego mogłem ci powiedzieć?
- Och, mój kochany. Byłeś wtedy po kilku ładnych wódkach. Masz prawo nie pamiętać. Tylko że przy trunku ludzie są bardziej szczerzy.
- No więc co ci powiedziałem?
- Że nienawidzisz Pauli. Jak nikogo na świecie.
- To były pijackie brednie.
- Wtedy mi się tak nie wydawało. To była wypowiedź człowieka, któremu bielmo spadło z oczu.
- Nie miałem za co jej nienawidzić.
- Może za to, że nie ty ją rzuciłeś, ale ona ciebie? Mężczyźni nie są w stanie tego wybaczyć.
- Nie chcę o tym mówić.
- Więc nie opowiadaj mr dziś o swojej rozpacz. Doskonale pamiętam, jak przeklinałeś Paulę i mówiłeś, że spotka ją kara.
- Murkowski znów usiadł na łóżku.

- Opowiadałaś o tym komuś?
- Jakiś ty nerwowy! Skądże! Leż spokojnie, proszę cię.
- Czy byłaś już na przesłuchaniu?
- Nie, nikt mnie nie wzywał.
- Wezwą cię, bądź spokojna. Wszyscy wiedzą, jak nie- .
nawidziłaś Pauli.
- Ale też wszyscy wiedzą, że nie mogę być w to zamieszana. Byłam wtedy przez cały czas z Mariuszem. Zresztą do nienawiści nie miałam powodu, choć nie lubiłam jej. Ale wiesz, właściwie było do przewidzenia, że jej powodzenie nie potrwa długo. Tylko ci, którzy mają. prawdziwy talent, mogą być przez lata u szczytu sławy.
- Ładnie to sobie wytłumaczyłaś – mruknął Murkowski.
- Mogłeś się w niej kochać, ale niepodona, żebyś wierzył...
- Dajmy temu spokój, Beata. Naprawdę źle się czuję. Dlatego dzwoniłem dziś do Mariusza.
- Wiem o tym i przyszedłam zobaczyć, co z tobą. Mariusz wyjechał na dwa dni.
- On musi mi pomóc. Chciałbym dostać się do kliniki kardiologicznej. Tu nie mam odpowiedniej pomocy.
- Wolisz leżeć w szpitalu niż w domu?
- Naturalnie. Tu jestem sam z matką staruszką. Nikt się mną zajmuje.
- Za to masz spokój.
- Wcale nie. Tylko tam mogę odciąć się od wszystkiego. Nikt nie będzie mnie niepokoił ani się mnie czepiał.
- A któż cię niepokoi?. Twoja matka ledwie mnie do siebie wpuściła. Innych z pewnością odprawia z kwitkiem.
- Powiem ci, Beata. Milicja chodzi mi po piętach. Już dziś miałem do nich wezw'anie.
- Nic w tym nie widzę nadzwyczajnego. Zawsze przesłuchuje się na pierwszy ogień mężów i kochanków. Powiesz, co wiesz, i koniec.
- Nie mogę, nie jestem w stanie. Naprawdę jestem chory i załamany. To mnie wykończy.
- Jesteś hipochondrykiem jak wszyscy mężczyźni. I okropnie przesadzasz.

— Beata, ja muszę pójść do szpitala. Tutaj dostanę zawału i się wykończę.

— Przecież Mariusz pracuje w klinice neurologicznej. Nie wiem, czy będzie mógł ci coś załatwić.

— Nie zawracaj głowy. Wszyscy lekarze znają się i idą sobie na rękę.

— Pogadamy, jak Mariusz wróci. Ale co chcesz przez to osiągnąć? Myślisz, że minie cię przesłuchanie?

— Przecież znajdują zabójcę. Jestem pewny, że stanie się to szybko. Sprawa jest tak głośna, że milicja zrobi wszystko, co w jej mocy. Otworzyłem radio — mówią o Pauli Piano. Otworzyłem telewizję — to samo. To jest sprawa prestiżowa.

— Myślisz, że znajdą go szybko, bo ty sobie tego życzysz?

— Beata, nie może być inaczej. Jestem przekonany, że ktoś od dawna czyhał na jej życie. Przecież wiesz, jaką mieliśmy przygodę na wakacjach?

— Mówisz o tym samochodzie, który zajechał wam drogę?

— To był zamach na Paulę, powiadam ci.

— Dlaczego nie na ciebie?

— Teraz jestem pewny, że to ją chciano zgładzić. Wtedy się nie powiodło, więc teraz.

— Wiesz, Florian, o tym zamachu najwięcej opowiadasz ty sam. Paula nie była wypadkiem bardzo przejęta. Dlaczego wszystko wyolbrzymiasz? A może ty coś wiesz?

— Nic nie wiem! — krzyknął Murkowski, a głos jego ze zdenerwowania zabrzmiał niezwykle cienko. — Przestańcie mi wmawiać, dlaczego wszyscy mi wmawiają?

Zerwał się z łóżka i stojąc przed Beatą wymachiwał jej przed nosem swymi zbyt krótkimi rękami.

— Prosiłam, żeby pani nie męczyła mojego syna — powiedziała pani Murkowska bezszelestnie stając w drzwiach.

Misza Bujnowicz wyszedł z komendy szczerze zgnębiony. Wizyta w milicji zawiodła go całkowicie, a w dodatku był przekonany, że nie stało się to przypadkowo.

Niepowodzenie swoje przypisywał Kurmanowi, podejrzewał, że starszy kolega, choć sam nie miał zamiaru zajmować się sprawą zabójstwa Pauli Piano, umyślnie pokrzyżował mu szyki. Za tym właśnie przemawiało zatrzymanie Kurmana w komendzie i zaproszenie do kapitana Rosty, które jego, Miszę Bujnowicza, ominęło. Kurman pozostał w gmachu komendy, aby wszystkiego spokojnie się "dowiedzieć, choć te wiadomości puści co najwyżej w obieg w warszawskich kawiarniach. Jemu, Miszy, odmówiono udzielenia wszelkich informacji, potraktowano go jak smarkacza. Do tego popołudnia szanował, a nawet lubił Kurmana, dziś ogarnęła go fala gwałtownej niechęci do tego człowieka. Kurman, mający ustaloną pozycję w zawodzie, Kurman, człowiek o siwych skroniach, który życie strawił na pracy dziennikarskiej, szkodzi młodemu koledze, mającemu wreszcie szansę poruszenia tematu, który chwyci i zapewne zwróci na niego uwagę czytelników. Tego rodzaju postępek uważał za niegodny, a nawet podły. Cóż, młodym rzuca się wszędzie kłody pod nogi — myślał z goryczą. W jego mniemaniu jedno słowo Kurmana, nawet jeden gest mógł sprawić, że i on byłby zaproszony do uczestniczenia w tej poufnej rozmowie. Starszy kolega nie uczynił jednak nic w tym celu, co więcej nie starał się nawet ukryć swego zadowolenia, że wizyta ich była bezowocna, a także, że Misza odchodzi.

Rozmyślał o tym, jak trudna jest praca dziennikarza, zwłaszcza początkującego, z którym nikt się jeszcze nie liczy. I postanowił sobie, że pomimo takiego początku i niespodziewanych trudności postara się czegoś dowiedzieć na własną rękę. Powinno mu się to udać, jeśli okaże energię i operatywność. „Prawdziwy dziennikarz potrafi wszędzie dotrzeć i wszystkiego się dowiedzieć” — powtarzał zawsze redaktor Smulski. Otóż właśnie nadeszła chwila, w której wypada pokazać, że się jest prawdziwym dziennikarzem.

Krótki spacer przez Ogród Saski zrobił mu doskonale. Uczucie zawodu złagodniało. Postanowił zacząć od wizyty w teatrze, gdzie prawdopodobnie uda mu się uzyskać parę ciekawych informacji. Za rogiem Królewskiej zatrzymał więc przejeżdżającą taksówkę i kazał się wieźć na Polną.

Dochodziła szósta po południu, zaledwie godzina dzieliła go od rozpoczęcia wieczornego spektaklu. Sądził, że o tej porze zastanie w teatrze wszystkich i będzie mógł odbyć z nimi wstępne rozmowy, które pozwolą schwytać jakąś nić.

Ale i tu czekało go rozczarowanie. Już na drzwiach wejściowych zauważył ogłoszenie zawiadamiające publiczność o odwołaniu dzisiejszego przedstawienia. Wedle repertuaru miała iść rewia Mocne uderzenie i nic dziwnego, że po tym, co zaszło dnia poprzedniego, została odwołana. Powinien był się domyślić. Pomimo to wszedł do opustoszałego holu, w którym znalazł portiera i kasjerkę nudzącą się za lśniąca taflą szyby. Uzyskał od niej jedynie informację, że wiele osób zgłosiło się po zwrot pieniędzy za bilety, a wszyscy niemal wypytywali o okoliczności śmierci Pauli. To samo powtórzył mu wysoki, chudy woźny. Gdy wspomniał, że jest z redakcji Meteoru, woźny stał się bardziej wylewny, ale jego rozmowność ograniczyła się do ubolewania nad losem zastrzelonej artystki.

— Jak pan myśli, kto to mógł zrobić? — zapytał Bujnowicz.

— Zbrodniarz, panie dziej u, tylko zbrodniarz — usłyszał w odpowiedzi i uznał prowadzenie dalszej rozmowy za zupełnie beznadziejne.

— Gdzie mieszkała pani Paula Piano? — zapytał woźnego, gdyż przyszło mu na myśl, że może czegoś mógłby się dowiedzieć od jej rodziny.

— My nie podajemy adresów naszych artystów — usłyszał w odpowiedzi.

— Dlaczego? — zapytał Misza.

— Bo ludzie by ich nachodzili i niepokoiili w domu — wyjaśnił woźny.

— Przecież panny Piano niepokoić już nie można — perswadował Misza, ale woźny wciąż kręcił głową.

— Takie mam polecenie od pana dyrektora, panie dzieju — upierał się również i wtedy, gdy Misza zademonstrował mu legitymację dziennikarską. Zawahał się jednak, gdy ujrzał w ręku Bujnowicza czerwony banknot. — Panie, po co to panu? — powiedział bez przekonania. — Co wart jest adres kogoś, kto nie żyje? — a potem oglądając się w stronę kasjerki, zajętej

załatwianiem interesantów, dorzucił półgłosem: — Wyjdźmy przed teatr.

Gdy znaleźli się na ulicy, woźny skręcił w lewo w Oleandrów i stanął przed bocznym wejściem. Misza ukradkiem podał mu banknot stużłotowy, który ten pospiesznie wsunął do kieszeni.

— Ona mieszkała na Kruczej, pod numerem trzydzieści trzy — powiedział — ale niech pana ręka boska broni, żeby się kto dowiedział, że to ode mnie...

— Niech pan będzie spokojny — zapewnił Misza.

— Ją zabili przed tymi drzwiami — powiedział woźny. — Niech pan popatrzy. A dziś całe popołudnie jacyś tu mierzyli i liczyli, liczyli i mierzyli, panie dzieju, ale czego się tam mogą doliczyć, kobieta nie żyje...

— Dziękuję panu — powiedział Misza.

Teraz mu było spieszo. Na Kruczą postanowił pójść pieszo.

Im bardziej zbliżał się pod wskazany adres, tym większa ogarniała go niepewność. O sytuacji rodzinnej Pauli nie wiedział nic. Kogo zastanie w mieszkaniu, kto też j otworzy mu drzwi? Może matka zmarłej? Z nią rozmowa byłaby najtrudniejsza. A może mąż? Co im powie, jak wytłumaczy swoje wścibstwo? Nie wolno się cofać, trzeba zachować zimną krew.

Na Kruczej pod trzydziestym trzecim na liście lokatorów nie znalazł Pauli Piano. Dozorczyni, niemłoda już tęga kobieta, którą zastał przy kuchni, popatrzyła na niego podejrzliwie.

— U panny Piano nie ma nikogo — burknęła. — Milicja mieszkanie zapieczętowała.

— Kiedy? — chciał wiedzieć.

Kobieta nie była jednak usposobiona rozmownie.

— Nie pański interes — ucięła krótko.

— Hm, widzi pani — zaczął Misza. — Ja też interesuję się tą sprawą zawodowo.

Popatrzyła na niego podejrzliwie i znów pochyliła się nad garnkiem.

— Pan z milicji? Wasi ludzie obserwują dom. Dlaczego nie zwróci się pan do nich?

— Nie — powiedział Misza. — Ja jestem dziennikarzem.

Zbieram materiał do reportażu w Meteorze. Zna pani nasze pismo?

— Owszem, widziałam. Takie z kolorową okładką. To po co pan tu przyszedł? Niech pan idzie po informacje gdzie indziej.

Misza bez słowa wyjął z kieszeni banknot pięćdziesięciozłotowy i położył na stole. Dozorczyni ukradkiem spojrzęła w tę stronę i złagodniała.

— Panie, ja naprawdę nic nie wiem. Przyszli wczoraj wieczorem, zanim usłyszałam, co się stało. Siedzieli prawie całą noc i zapieczętowali mieszkanie. A jeszcze przedtem wyprowadzili stamtąd jednego.

— Z mieszkania Pauli Piano?

— Przecie mówię.

— Kogo?

— A bo ja wiem. Jakiegoś mężczyznę.

— Aresztowali go?

— No chyba, a po co by go prowadzili do samochodu?

— Nigdy go pani przedtem nie widziała?

Dozorczyni nie odpowiedziała.

— Może pani mówić śmiało. Ja nikomu nie powiem.

— Tylko pan napisze w tej swojej gazecie. Boję się was, redaktorów.

— Ale dlaczego?

— Dlaczego i dlaczego. Same pytania pan zadaje. Dobra, powiem panu. Jak raz mój stary zadarł ze swoim kierownikiem i poszedł się poskarżyć do gazety, to a jakże, przyjechali panowie dziennikarze na budowę, wszystko jak trzeba opisali, tylko mego starego wywalili z pracy. Przez pół roku nigdzie się zaczepić nie mogłem, tylko z tego żyliśmy, co zarobiłam, bo mu zrobili opinię rozrabiacza. Od tamtej pory powiedziałam sobie; niech mnie opatrność broni od dziennikarzy.

— Bardzo mi przykro, proszę pani, ale to zupełnie inna sprawa.

— Ano jeszcze gorsza. Ani myślę tracić dozorcówkę przez pana.

Misza Bujnowicz uznał, że nic więcej nie wskóra. Przez chwilę stał na ulicy przed domem i palił papierosa. Dyskretnie rozglądał się dokoła sądząc, że zauważy kogoś z owej obstawy,

o której wspomniała dozorczyńni. Wokół jednak nie było nikogo, tylko jakaś matka z dzieckiem weszła na klatkę schodową. Postanowił odejść, zwłaszcza że już i tak uzyskał ważną wiadomość. Milicja aresztowała kogoś w sprawie zabójstwa Pauli Piano, choć major Bartecki nie chciał o tym powiedzieć.

Oczywiście wyobraźni ujrzał tytuł niewielkiej, ale tym bardziej intrygującej notatki. „Milicja na tropach zabójcy z ul. Oleandrów”. Jutro zamyka się numer i taką notatkę można by jeszcze wcisnąć, jeśli Smulski się zgodzi. Nazwisko aresztowanego w końcu nie jest konieczne, można by pominąć je milczeniem, ze względu na dobro śledztwa. Tak, zdaje się, wyraził się major Bartecki, aby usprawiedliwić swoją odmowę. Postanowił zadzwonić z domu do redaktora Smulskiego. Ciekawe swoją drogą, czy Kurman już się z nim porozumiał i powiedział coś o postępkach śledztwa, o których zdołał się dowiedzieć za jego, Miszy, plecami.

Zdecydował się pójść pieszo i po drodze dokładnie wszystko przemyśleć. Pogoda była piękna, a Bujnowicz lubił chodzić wieczorami po ulicach Warszawy. Spacer odświeżał go, dawał chwilę wytchnienia po dniu spędzonym w zadymionych pomieszczeniach, wyzwalał nową energię. Szedł wolno oglądając wystawy i myśląc o tym, że gdyby mu się powiodło, historia Pauli Piano mogłaby stać się przełomową w jego życiu. Myśląc o tym odczuł nagle coś na kształt lekkiego wyrzutu sumienia. Śmierć sławnej pieśniarki miała dać mu do ręki szansę. Jemu, a także wielu innym. Choćby śpiewaczce, która zajmie jej miejsce. Albo oficerom śledczym, jeśli wyróżnią się sprawnością w poszukiwaniu zabójcy. Nie umiał sprecyzować swoich myśli, ale było w tym coś niepokojącego. Nieszczęście czy klęska jednych — dla innych staje się szczeblem do kariery. Chyba ten świat jest źle urządzone — rozważał. Trudno przecież, aby miał winić sam siebie za to, że pragnie zostać znanym dziennikarzem, takim, którego nazwiska ludzie będą szukać, przerzucając szpalty czasopism.

Był już niedaleko domu, gdy poczuł chęć wypicia filiżanki kawy. Rozejrzał się za najbliższą kawiarnią i przypomniał sobie malutki barek kawowy na rogu ulicy Marchlewskiego i

Siennej. Wstępował tam czasami, gdy szedł do redakcji. I teraz skierował swe kroki w tamtą stronę.

Kawiarka podała mu filiżankę wonnego napoju z pianką, wrzucił cukier i usiadł na barowym stołku przed taflą szyby. Machinalnie rozejrzał się po wnętrzu, jak to czynił zawsze w kawiarni szukając znajomych, choć tym razem wiedział z góry, że ich nie znajdzie. Obok niego dwaj gentlemani powoli sączyli winiak pogrążeni w rozmowie, prowadzonej sciszonym głosem. Z przyzwyczajenia zawodowego lubił słuchać rozmów zupełnie obcych ludzi, wyławiać z nich jakieś strzępy czy poszczególne zdania w bliżej nieokreślonej nadziei, że mogą mu się do czegoś przydać. Ci dwaj mówili o interesach, co nie wydawało się ciekawe. Za nimi dojrzał starszą panią z dziewczynką, przed którą stał spory talerzyk ciastek. Nagle niespokojnie poruszył się na stołku i utkwiał zdumiony wzrok w kąt salki. Pod ścianą siedziała czarnowłosa dziewczyna. Była bardzo młoda, wyglądała najwyżej na lat dwadzieścia. Nie widział dobrze, zasłaniał ją siedzący obok mężczyzna, ale chwilami profil jej był widoczny. Ten sam owal twarzy, ten sam leciutko zadarty nos! Cóż za podobieństwo do Pauli Piano. Bujnowicz głośno westchnął. Albo to wyjątkowy zbieg okoliczności, albo po prostu wszystko wokół kojarzyło mu się z Paulą Piano i nie był zdolny myśleć o niczym innym. Wpadam w obsesję — zganił sam siebie, dopił kawę do końca i zeskoczył ze stołka, nie spuszczając wzroku z nieznajomej. Jakby wyczuła jego natarczywe spojrzenie, odwróciła głowę, gdy sięgnął do kłamki. Spojrzenia ich skrzyżowały się na krótką chwilę. Nie, nie mylił się. Paula oczywiście była efektowniejsza, a jej uroda pełna blasku. Ta dziewczyna wyglądała skromnie, a nawet szaro, ale przecież ani niegustowna chabrowa czapeczka, ani niedbała fryzura i tandetny makijaż nie mogły zaćmić jej urody. Gdyby jeszcze umiała śpiewać — pomyślał nie bez ironii Bujnowicz. — Im bardziej jednak oddalał się od kafejki maszerując w stronę swojego domu, tym mocniej nabierał przekonania, że uległ złudzeniu. Doszedł już do takiego stanu nerwowego napięcia, że pierwsza lepsza ciemnooka brunetka z zadartym nosem wydawała mu się sobowtórem Pauli Piano.

W domu od razu rzucił się na telefon. Redaktor Smulski wydał mu się jakiś roztargniony i w tym stanie ducha nie przywiązywał większej wagi do rewelacji Bujnowicza. Najspokojniej oświadczył, że należy czekać do czasu, kiedy milicja udzieli prasie bliższych informacji i nie można polegać na relacji dozorczyńni. Propozycję zamieszczenia notatki zbył wymijającą odpowiedzią, co Bujnowicz uznał za uprzejmą odmowę.

Był wściekły. Usiadł w fotelu i otworzył telewizor w nadziei, że oderwie go od własnych drażniących myśli. Upłynęła zaledwie chwila, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. W progu stał Krochmalski z pudełkiem szachów pod pachą.

— Przyszedłem do pana, bo myślałem, że zagramy sobie partyjkę — zaczął. — Moja córka chora, gdzieś się zaziębiła i dostała gorączki, w domu od razu rwetes, wie pan, jak to jest, kiedy dziecko zachoruje. Postanowiłem więc wpaść do pana.

Misza nie był szczególnie zachwycony tymi odwiedzinami. Skoro jednak Krochmalski już się zjawił, nie wypadało odmówić.

— Partyjkę z przyjemnością — powiedział głośno. — Ale nie wdęcej. Mam dziś jeszcze coś do napisania.

— Doskonale — odrzekł Krochmalski. — Mnie też nie wypada długo siedzieć, kiedy córka chora, a żona zdenerwowana. Wpadłem tylko na chwileczkę. A i pan ma robotę...

— Właśnie — przytaknął Bujnowicz.

— Chce pan pisać coś o tym zabójstwie? — indagował Krochmalski.

Bujnowicz machnął ręką.

— Chciałem, panie Wiesławie, ale jak na razie nie wychodzi.

— Nic się pan nie dowiedział?

— Milicja nie chce puścić farby. Powiadają, że jeszcze za wcześnie, że trzeba czekać, aż go złapią.

— No, na pewno — przytaknął Krochmalski.

— Rzecz w tym, że oni już kogoś mają, a mówić nie chcą.

— Kogoś mają? — zdumiał się Krochmalski. — Tak szybko. No, no. nie przepadam za milicją, ale muszę przyznać, że spisali się na medal.

— Może nie są całkiem pewni? Może ten gość się nie przyznaje?

— Nie musi się przyznać — zauważył Krochmalski. — Wystarczy, jeśli mu udowodnią.

— Na to chyba rzeczywiście trzeba czasu, panie Wiesławie — smętnie zauważył Bujnowicz.

— A skąd pan wie, że oni już kogoś mają? — Krochmalski był tym tematem wyraźnie zainteresowany. — Skoro nie chcieli z panem gadać?

Bujnowicz zastanawiał się przez chwilę. Ten człowiek zawsze okazywał mu wiele bezinteresownej życzliwości. Opowiedział więc o wizycie w komendzie milicji, o swojej wyprawie do teatru i do domu, w którym mieszkała Paula Piano.

— Ona mieszkała na Kruczej? — zdziwił się Krochmalski.

— Tak, oczywiście — potwierdził Bujnowicz.

— Panie Misza, czy ktoś pana nie nabrał?

— Skądże, rozmawiałem przecież z dozorczynią. Potwierdziła, że Piano tam mieszkała.

Krochmalski nad czymś się głęboko zastanawiał.

— I stamtąd zabrali tego faceta?

— Przecież przed chwilą mówiłem.

— Hm... ciekawe — mruknął Krochmalski.

— Wie pan co — zwrócił się do Miszy. — Niech pan to zostawi. To chyba zbyt trudne zadanie dla jednego człowieka — rozwiązanie takiej łamigłówki.

— Może ma pan i rację — westchnął Misza. — Niech mi pan powie, pan ją przecież znał.

Krochmalski machnął ręką.

— Bardzo przelotnie. Takich znajomych ona miała na pęczki. A ją każdy pamięta.

— Niechże mi pan powie,, jak to było.

— Na co to panu?. — Krochmalski jakby się zasepił. — Nie chciałbym, aby kto z tego zrobił sensację.

— Do mnie pan pije? Przecież zaledwie przed chwilą opowiedziałem panu, jak wygląda moja praca. Nalatom się, nabiegam, ze skóry wychodzę, żeby coś znaleźć, a nikt tego nie ceni. Sekretarz redakcji sprawiał wrażenie wręcz znudzonego, kiedy do niego zadzwoniłem. Kurmanowi, temu krytykowi muzycznemu, nie chciało się w komendzie otworzyć ust, żeby ich jakoś przekonać. Nikogo nic nie obchodzi, panie Wiesławie... A ludzie chcą mieć coś do czytania.

— Pan myśli, że opisy zbrodni są ciekawe?

— Słyszysz pan chyba, że dziś w Warszawie nie mówi się o niczym innym. No więc niech mi pan powie: jaka naprawdę była ta Piano?

— Obawiam się, że pana rozczaruję. Nie mam wiele do opowiedzenia. W ubiegłym roku byłem na urlopie nad morzem, w Międzyzdrojach. I ona też tam przyjechała. Pewnego dnia padał deszcz, więc zamiast na spacer poszedłem na fajf. Siedziała na sali z jakimiś dwoma mężczyznami. Była opalona, wyglądała jakoś inaczej niż na scenie, tak że w pierwszej chwili jej nie poznałem. Ale potem przyjrzałem się bliżej — nie ulegało wątpliwości że to była ona. Orkiestra zaczęła grać do tańca, więc poprosiłem dziewczynę siedzącą samotnie przy sąsiednim stoliku. Ona też zaczęła tańczyć z jednym z tych dwóch, co z nią przyszli. Aż nagle poczułem, że coś chrzęści mi pod nogą. Nachyliłem się, a to był srebrny łańcuch z jakimś brelokiem, który ona nosiła na szyi. Podniosłem, schowałem do kieszeni, a po tańcu podszedłem do jej stolika, ukloniłem się i mówię: „Zwracam pani zgubę”. Ona podziękowała, patrzy na mnie i nic. A jeden z tych gości, którzy z nią siedzieli, widząc, że ciągle stoję, odezwał się do niej: „Ten pan czeka na nagrodę”. „Czym mogłabym zrobić panu przyjemność?” — zapytała wtedy. Ukloniłem się i poprosiłem, żeby zaśpiewała.

— I zaśpiewała?

— Ale gdzie tam, pochichotała coś z jednym i z drugim, no i odmówiła. Tak mnie to rozgniewało, że zabrałem się i wyszedłem z lokalu.

— Nie spotkał jej pan potem?

– Widziałem ją z daleka raz czy dwa – ociągając się powiedział Krochmalski.

– No to rzeczywiście żadna znajomość – zgodził się Bujnowicz.

– Uprzedzałem pana, że nie wiem nic ciekawego. Nic, co by mogło trafić na szpalty Meteora.

– A ja właśnie czegoś takiego szukam – z rozpaczą w głosie zawołał młody dziennikarz.

Upłynęło następne parę dni i śledztwo niewiele posunęło się naprzód. Kapitan Rosta i porucznik Olski, zamknięci w pokoju kapitana w komendzie, zastanawiali się wspólnie nad dotychczasowymi ustaleniami i możliwie skutecznym sposobem szybkiego rozwikłania sprawy. Porucznik Olski, który dostał polecenie zajęcia się małżeństwem Black, przyniósł właśnie zwierzchnikowi garść uzyskanych informacji. Otóż państwo Adam i Martine Black przybyli do Polski mniej więcej przed dwoma laty i zamieszkali w obszernym mieszkaniu przy Alei Róż. Profesor Black rozwinął energiczną działalność przy tworzeniu przedstawicielstwa na Polskę Międzynarodowego Komitetu Ochrony Naturalnego Środowiska Człowieka, co pozwoliło mu w krótkim czasie na zawarcie wielu znajomości w różnych środowiskach. Starał się pozyskać do prac komitetu nie tylko lekarzy i biologów, lecz także humanistów, co wymagało częstych kontaktów z przedstawicielami środowisk kulturalnych i artystycznych. Pomagała mu w tym żona, osoba o wielkich ambicjach towarzyskich, która chętnie zapraszała do swego domu ludzi o znanych w mieście nazwiskach. Przyjęcia i brydże w domu Blacków słynęły ze swej elegancji. Bywało też na nich parę osób ze świata teatralnego. Oprócz dyrektora Borysa i jego żony, uważanych za bliskich znajomych państwa Black, w domu ich bywał reżyser Ankiewicz, Florian Murkowski a także redaktor Kurman. Niemal nigdy natomiast zaproszeń nie otrzymywały młode aktorki. Wedle wiadomości, jakie uzyskał Olski, pani

domu nie chciała widzieć u siebie młodych i ładnych kobiet z uwagi na pewne skłonności swego męża. Przed przyjazdem do Polski prof. Black był przewodniczącym jakiejś międzynarodowej komisji w Abidżanie na Wybrzeżu Kości Słoniowej, skąd został odwołany przed czasem wskutek skandalu, jaki wywołał jego romans z murzyńską tancerką. Pani Martine miała więc wszelkie powody, aby być szczególnie wrażliwą w kwestiach, które dotyczyły tej strony życia jej męża.

— Moim zdaniem nie można traktować poważnie jako potencjalnego zabójcy ani jej, ani jego — zauważył kapitan Rosta. — Choć oczywiście musimy niezwykle skrupulatnie sprawdzić wszystko.

— Nie powiedziałem wam jeszcze jednej rzeczy, obywatelu kapitanie — Olski patrzył w swój notatnik. — Zarówno on jak i ona są doskonałymi strzelcami. Brali udział w wielkich polowaniach w Afryce, tu również polują w tym samym kole łowieckim co Borys i Kurman. Pani Black była w Abidżanie członkiem sportowego klubu Diana i parokrotnie otrzymała nagrody za osiągnięcia w strzelectwie. Podobno nie tylko doskonale posługuje się bronią, ale cechuje ją wyjątkowa celność oka. Opowiadano mi, że w Afryce ocaliła życie jakiemś Anglikowi, którego w buszu niespodziewanie zaatakował pyton. Pani Black powaliła go jednym strzałem z dość znacznej odległości.

— Ulica Oleandrów ma równo dziewiętnaście metrów szerokości — powiedział w zamyśleniu kapitan Rosta. — Strzał z pierwszego piętra budynku po przeciwległej stronie biegł po przekątnej dwudziestu kilku metrów. Miejsce znalezienia łuski pozwoliło na ustalenie, w którym oknie stał sprawca. Wiemy też, z czego strzelał. Był to pistolet FN kaliber 6.35. Dziś otrzymałem ekspertyzę zakładu kryminalistyki. Celne oddanie takiego strzału wymagało oczywiście wprawnej ręki, ale nie ręki mistrza.

— Tym bardziej nie można wyeliminować Blacków - zauważył Olski.

— Macie rację, wyeliminować nie można. Tylko jaki on mógł mieć w tym cel? Jeśli interesował się dziewczyną, nie miał

powodu do niej strzelać...

— Może stała się uciążliwa... — wtrącił Olski.

Znalazłby mnóstwo innych sposobów pozbycia się jej. Zaś co do pani Martine Black nie mogę zmienić przekonania, że tej zbrodni nie popełniła kobieta.

— Motyw byłby dość oczywisty...

— Motyw... motyw! Gdyby wszystkie kobiety miały zabijać swoje rywalki, wkrótce wymordowałyby się wzajemnie. Czy zna pan wiele wypadków, w których kobieta zabiła z zazdrości? Kobiety cierpią, płaczą, robią sceny, ale nie zabijają.

— Tak jest, obywatelu kapitanie.

— Jedźmy dalej. Swoją drogą Blacków trzeba będzie przesłuchać. Rzecz jasna, bez żadnych wezwań, w formie uprzejmej rozmowy. Musimy pamiętać o ich statusie dyplomatycznym. Pójdę do Blacka do Komitetu i tam spróbuję z nim pogadać. Sprawdził pan, czy oni byli wtedy w teatrze?

— Sprawdziłem. Nie byli.

— Ta okoliczność praktycznie nie ma większego znaczenia, biorąc pod uwagę, że między zakończeniem przedstawienia a wyjściem Pauli Piano upłynęło przeszło dwadzieścia minut. Tyle zajęło jej zejście ze sceny, zmycie makijażu i przebranie. Przez ten czas można było doskonale dostać się na teren budowy, czy to przez bramę sąsiedniego domu na ulicy Oleandrów, czy przez podwórka przy Polnej, i wejść na pierwsze piętro. A potem wydostać się tą samą drogą, zanim minęło pierwsze zamieszanie i przyjechali nasi ludzie. To było dosyć proste, a wymagało tylko zimnej krwi i odwagi.

— Czy mogę coś powiedzieć, obywatelu kapitanie? — zapytał porucznik Olski po chwili namysłu.

— Naturalnie.

— Nie wiem, czy pomyśleliście o tym, ale mnie się wydaje, że ten, co strzelał do Piano, zrobił to naumyślnie w taki właśnie sposób.

— Z pewnością nie zabił jej przypadkiem.

— Jasne. Ale w tym zabójstwie jest coś teatralnego. Zabójca wybrał odpowiedni dzień, odpowiedni moment, chciał mieć widownię i załatwić to z pompą.

– Hm, może macie rację...

– Dlatego chyba jedynym motywem, jaki mógł nim kierować, była chęć zemsty. Mając do dyspozycji broń ten człowiek mógł przecież zupełnie inaczej rozprawić się z ofiarą. Z pewnością był to dobry znajomy Pauli Piano, mógł gdzieś ją zwabić, załatwić rzecz po cichu, nie ryzykując tak bardzo.

– Owszem i ja brałem pod uwagę te okoliczności. Będę z wami zupełnie szczerzy, kolego. Bardzo się lękam, że Piano zabił jakiś człowiek chory psychicznie, którego cieszyło podobne widowisko. A jeśli tak, niełatwo nam będzie natrafić na sprawcę. Odszukanie przestępcy, który nie ma żadnych powiązań z ofiarą, bywa zwykle najtrudniejsze.

– Może nie będzie tak źle, obywatelu kapitanie...

– Tak, macie rację, nie deprymujmy się sami. W końcu i to wydaje się mało prawdopodobne. Zwłaszcza, że mamy jeszcze Murkowskiego.

– Historia z pieniędzmi jest podejrzana. Ale wtedy w nocy miałem wątpliwości. Nie ryzykowałby dla pokwitowania nawet i na tak dużą sumę, gdyby to zrobił. Dopiero ta choroba...

– Murkowski się boi.

– Czego, jeśli jest niewinny?

– Wiecie kolego, myśmy się przyzwyczaili do takich różnych oklepanych poglądów i gotowi jesteśmy bezkrytycznie je przyjmować. Na przykład właśnie, że niewinny się nie boi, bo nie ma czego. To bzdura. Widziałem w życiu niewinnych ciężko przestraszonych, wierzcie mi. Byli przerażeni, bo poczuli się osaczeni, nie wiedzieli, jak dowieść swojej niewinności. Znacnie takie powiedzenie: dowiedz, że nie jesteś wielbłądem. W tym coś tkwi. Albo inna brednia: że zbrodniarz zawsze wraca na miejsce zbrodni. Gdyby tak było, jakże dziecinnie łatwą byłaby nasza praca.

– Ale Murkowski? Chłop jak tur, czyżby naprawdę wzięły go te przeżycia.

– Musimy kilka dni odczekać. Nie ma rady. Potem pošlemy do niego urzędowego lekarza.

– Obywatelu kapitanie, niejasna jest też historia z kluczami. Piekutowa mówiła, że Murkowski oddał je Piano, a on nic o

tym nie wspomniał.

— Trzeba przesłuchać go raz jeszcze na tę okoliczność. Klucze mógł jej zwrócić, a potem znów je dostać.

— Pozostaje jeszcze jego alibi. W Teatrze Satyry przedstawienie skończyło się o godzinie dziewiątej piętnaście. Murkowski nie bardzo umiał wytłumaczyć, co robił, zanim znalazł się w mieszkaniu Piano.

— Oczywiście i to wymaga wyjaśnienia. Tylko wiecie kolego o alibi starają się przeważnie ci, którzy wiedzą, że będzie im potrzebne. Inni o tym nie myślą. Cóż, nie jest to łatwe śledztwo. Nie możemy liczyć, że ktoś do nas przyjdzie, położy swoje FN na biurko i powie: zabiłem Paulę Piano. Musimy dojść do tego mrówczą pracą, bo chociaż mówi się, że oficer śledczy powinien mieć wyobraźnię i wycucie, to przede wszystkim musi być człowiekiem cierpliwym, pracowitym, układającym całość z drobnych, drobnusieńkich fragmencików. Prawda, kolego Olski?

18

Na korytarzu do porucznika Olskiego podszedł sierżant Boczek.

— Przyjechała matka Pauli Piano, chce porozmawiać — rzekł ściszym głosem wskazując porucznikowi niemłodą już kobietę w czarnej chustce, siedzącą na korytarzu.

— Trzeba powiedzieć o tym kapitanowi Roście — odparł Olski.

— Szedłem meldować, ale obywatel porucznik właśnie wyszedł.

Olski wrócił do pokoju zwierzchnika. Kapitan Rosta wybierał się na konferencję do zakładu kryminalistyki i zlecił przeprowadzenie rozmowy młodszemu koledze.

— Pani jest matką panny Pauli Piano? — zapytał porucznik, gdy kobieta zajęła miejsce po przeciwnej stronie jego biurka. Patrzył na jej bladą, zniszczoną twarz, na której nie dostrzegł śladu łez.

— Najrodzeńszą — powiedziała. — Ino się inaczej nazywam.

Kuć Józefa.

— Pani przyjechała do nas spod Krakowa? — nie bardzo wiedział, jak zacząć rozmowę.

— Spod Myślenic — poprawiła go.

Zapanowało kłopotliwe milczenie. Porucznik Olski nie umiał nigdy znaleźć właściwego tonu w urzędowej rozmowie z rodzinami ofiar. Cóż mógł powiedzieć tej kobiecie tak ciężko dotkniętej przez los?

— Serdecznie pani współczuję — zaczął po chwili. — Pani ból i żalobę rozumiemy tym lepiej, że wszyscy ogromnie lubiliśmy Paulę Piano. Po prostu trudno sobie wyobrazić, że zabrakło nam jej i jej piosenek.

— Piosenki... — westchnęła pani Kuć. — Potrzebne jej to było.

— Pani chyba cieszyła się powodzeniem córki?

— No tak... nie można powiedzieć. Cieszyłam się. Ale dziś myślę, że bez tego śpiewania byłaby może szczęśliwsza...

W oczach matki zakręciły się łzy. Wyciągnęła chustkę do nosa z kieszeni płaszcza.

Padło pytanie, którego Olski przez cały czas się obawiał.

— Wiecie już, kto to zrobił? Macie go?

Porucznik potrząsnął głową.

— Jeszcze nie, proszę pani. Robimy wszystko, co w naszej mocy.

— Cokolwiek zrobicie, córki mi nikt nie wróci — powiedziała głucho. — Ale chciałabym, żebyście go mieli, chociaż mnie nic już z tego nie przyjdzie. Dla sprawiedliwości.

— Znajdziemy go.

— Może mi pan przysiąc? Co ja głupia mówię. To przecie nie tylko od pana zależy, panie władzo. Nawet wy nie jesteście wszechmogący.

— Tak — przyznał Olski. — I nam zdarzają się niepowodzenia. Ale wierzę, że go znajdziemy.

— Przyjechałam tu, chociaż nie lubię wielkich miast. Przyjechałam, bo tu zabili moje dziecko. Ale ciało chciałabym z sobą zabrać i pochować na naszym cmentarzu. Tam, gdzie się Pelasia urodziła.

— Postąpi pani zgodnie ze swoją wolą — odrzekł Olski. —

Zdaje mi się, że córka lubiła jeździć na wieś. Do pani.

— Nie przyjeżdżała często. Nie chciała, żeby w teatrze o tym wiedzieli. Śmieli się z niej, że ona ze wsi.

— Chyba nie — zaprotestował.

— Ja to panu mówię, stara kobieta. Kto mógł, to Pelasi wypominał, że jest wsiowa. Byle tylko łatkę przyczepić.

— Nic w tym złego — obruszył się Olski. — Ja też pochodzę ze wsi.

— Stąd taką pan ma twarz szczerą, panie władzo. Miejskie ludzie są zazdrosne i fałszywe.

— Gorycz przez panią przemawia...

— Dziwi się pan? Straciłam tu najlepsze swoje dziecko. Pan nawet nie wie, jaka Pelasia była dobra, jak mnie pomagała.

W tej chwili na biurku Olskiego odezwał się telefon. Podniósł słuchawkę i usłyszał głos Krystyny. Ogarnęła go radość i twarz mu się na chwilę rozjaśniła, choć zganił siebie za to. Krystyna zapytała, co porabia i czy nie mógłby się z nią na chwilę spotkać. Była zdania, że powinni porozmawiać, i przyznała się, że jest jej go brak. Tyle mówi się o intuicji kobiecej — pomyślał z przykrością Olski — a ona dzwoni właśnie teraz, kiedy nie mogę jej powiedzieć nawet paru ciepłych słów.

— Jestem bardzo zajęty — powiedział urzędowo. — Skomunikujemy się później.

Usłyszał dźwięk słuchawki rzuconej na widełki. Westchnął i spojrzał na panią Kuć.

— Mówi pan, że go jeszcze nie macie? — powtórzyła swoje pytanie. — A kiedy go będziecie mieli? Ludzka sprawiedliwość boskiej nierówna, ale przecie i ona się liczy.

— Szukamy go — odrzekł.

— Gdzie, w Warszawie?

— W Warszawie przede wszystkim.

— A może go źle szukacie?

Porucznik Olski rozłożył ręce.

— Milicja ma praktykę w tych sprawach — powiedział. — Wie, gdzie szukać.

— A dlaczego nie w naszych stronach?

— Czy pani kogoś podejrzewa? — zapytał.

— Ja tam nie wiem, panie władzo, ale przed tygodniem w naszej wsi zginęła jedna dziewczyna, co była najlepszą przyjaciółką Pelasi. Bronia Kukułka. Znaleźli ją rozjechaną na torach kolejowych. Ludzie we wsi rozmaicie gadają, ale nie wierzą, że to wypadek.

— Pani córka utrzymywała z nią kontakt?

— Teraz nie. Ale zanim wyjechała z domu, zawsze we dwie chodziły. Jak tylko Bronka zginęła, jakieś złe przeczucie mnie chwyciło i za gardło ścisnęło. Śniła mi się moja matka, że woła Pelagię do siebie. A pan wie, to zły znak, jak umarli przychodzą nocą. Czułam, że Pelasię nieszczęście spotka.

— Ale dlaczego?

— Bo one kiedyś razem wieczorem widziały, jak z chałupy sąsiadki ucieka mężczyzna. I poznały go. A potem rano córka przyjechała i znalazła ją martwą.

— Zabił ją kto?

— Zabił, nie zabił, mówię, że nie żyła. Lekarz stwierdził zgon na serce, ale ci, co ją widzieli, powiadali, że miała siniaki na rękę i twarzy. Ten mężczyzna nie przyznał się do niczego, a Pelagia i Bronka najpierw powiedziały, że go widziały, a potem, że nie są całkiem pewne.

On się, teraz za to mści, bo parę miesięcy przesiedział, a żona mu tymczasem z innym uciekła.

— Kiedy to, było? — zapytał Olski.

— Będzie cztery roki.

— Dopiero teraz miałby się mścić? Niech pani pomyśli, pani Kuć, po co tyle czasu czekał?

— Bo w ciupie siedział, panie władzo. Za kłusownictwo i postrzelenie człowieka. Będzie ze dwa tygodnie, jak go puścili. Pokazał się na wsi, zakręcił i pojechał nie wiedzieć gdzie.

— Jak on się nazywa?

— Michutek. Michutek Władysław.

— Sprawdźmy to — zapewnił porucznik.

— Ledwie na wolność wyszedł, jedna ginie, potem druga. Co ja mam o tym myśleć, panie władzo? Że to zwykły traf?

— Wszystko wyjaśnimy — powiedział Olski. — Dobrze, że pani do nas przyszła.

— Dobrze... dobrze. Czy w takim nieszczęściu może być dobrze? — zapytała pani Kuć i długo powstrzymywany szloch chwycił ją za gardło.

19

Beata. Kalska sięgnęła po filiżankę i wysączyła łyk kawy.

— No powiedz, co o tym myślisz? — zwróciła się do Kurmana, który milczał głęboko zaciągając się papierosem.

— Sytuacja jest kłopotliwa — wtrącił Piwkowski. — Elektrokardiogram nic nie wykazuje, koledzy zapewnili mnie, że on jest zdrow.

— Człowiek, który nie chce wyjść ze szpitala — dorzuciła Beata. — Człowiek, który nie chce wrócić do domu... w tym musi coś być.

— Wiecie, jak jest w klinice. Chorzy ludzie czekają na miejsca. Przecież lekarze nie mogą przetrzymywać Murkowskiego tylko dlatego, że jemu nagle zachciało się leżeć w szpitalu. Zajmuje łóżko komuś, kto naprawdę potrzebuje pomocy.

— On myśli, że w ten sposób uniknie przesłuchania. To po prostu śmieszne. A poza tym czego się boi? My w teatrze wszyscy byliśmy przesłuchiwani.

— I ty też? — zapytał Kurman.

— Pewnie, że ja też.

— Co im powiedziałaś?

— Mój drogi, a cóż ja wiem? Tylko tyle, że strzał rewolwerowy przeciął życie znakomitej naszej gwiazdy.

— Pytali cię, czy podejrzewasz kogoś?

— Pytali, pytali, a jakże. Powiedziałam, że nikogo nie podejrzewam, i kropka. W sumie nic strasznego.

— Nie powiem, żeby takie przesłuchania były przyjemne — wzdrygnął się Kurman.

— Wy, mężczyźni, o tej smutnej porze roku zastępujecie nam mimozę. Wszyscy zrobiliście się okropnie wrażliwi — zauważyła Beata.

— Tak czy inaczej — powiedział Piwkowski — ja nie mam już na tę sprawę żadnego wpływu. On jutro będzie wypisany. Może

pan porozmawiałby z Murkowskim i powiedział mu, żeby się wziął w garść?

— Nie nadaję się do tej roli — bez entuzjazmu zauważył Kurman. — Nie mówiąc już, że mam, pilną pracę.

Jutro muszę oddać artykuł do numeru, więc zaraz będę zmuszony was pożegnać. Zresztą nic tu nie wymyślimy. Proponuję, Beato, żebyś wzięła to na siebie. Jako kobiecie będzie ci łatwiej.

— Nie lubię męskich hysterii — skrzywiła się Beata.

— W każdym razie ja się pragnę wyłączyć z tej sprawy. Sam jestem lekarzem i nie trzymałbym na swoim oddziale człowieka zdrowego. Załatwiłem to miejsce, bo ty prosiłaś mnie o to i uwierzyłem ci, że on jest chory. Teraz umyvam ręce.

— Jak zawsze ja jestem wszystkiemu winna — nadąsała się Beata. Piwkowski ją drażnił i nie potrafiła tego ukryć. Przy stoliku zapanowała cisza.

— Matka Murkowskiego wierzy, że on jest bardzo chory — odezwała się po chwili. — Jeśli wróci do domu i coś się stanie, ja nie chcę mieć tego na swoim sumieniu.

— Przecież robiono mu badania — powtórzył Piwkowski. — Sam przeglądałem wyniki.

— Doprawdy nie wiem, po co ściągnęliście mnie tutaj — cierpko zauważył Kurman. — Ja z tym wszystkim nie chcę mieć nic wspólnego.

— Chciałem usłyszeć pańskie zdanie. Beata nalega, żebym się opiekował jej chorym kolegą, który wcale nie jest chory. Pragnąłem przedstawić panu sytuację.

— Słuchajcie — Beata zastanawiała się nad czymś. — Czy naprawdę żaden z was nie pomyślał, czego on się boi? Nie uwierzę, że tylko tego sympatycznego porucznika, który ze mną rozmawiał.

— Co masz na myśli? — ostro przerwał Kurman.

— To samo co i ty, mój drogi, — odrzekła patrząc na niego. — Wiesz dobrze, że Paula go rzuciła.

— Opanuj się — wtrącił Piwkowski. — Zostaw dla siebie swoje domysły. Zupełnie zresztą nieprawdopodobne.

— Pan Mariusz ma rację — Kurman wziął stronę Piv-

kowskiego. — Najłatwiej jest rzucać na kogoś podejrzenie. Przypominam ci, że i ty nie lubiłaś Pauli. Można nawet powiedzieć, że do pewnego stopnia przeszkadzała ci w karierze.

— Mnie? — powiedziała Beata z tłumioną złością. — Chyba żartujesz? Zresztą ja nawet nie umiem strzelać.

— Cóż to znów za kryterium! Każdy kto umie strzelać jest podejrzany, czy tak?

— Przestańcie — wtrącił Piwkowski. — Powtarzam wam, ja umyvam ręce. Nie powiem ani słowa więcej w sprawie pozostawienia Murkowskiego w szpitalu.

— Mnie na tym nie zależy — mruknął Kurman. Rozglądał się po niewielkiej salce kawiarni „Roksana” z miną wyraźnie zniecierpliwioną. I bez cienia uśmiechu odpowiedział na ukłon młodego człowieka, który wraz z drugim mężczyzną wszedł właśnie do wnętrza.

— Kto to? — chciała wiedzieć Beata.

— Misza Bujnowicz — wyjaśnił Kurman. - Młody adept dziennikarstwa polskiego.

— Przystojny — stwierdziła krótko. — Tego drugiego już-gdzieś widziałam.

— Redaktor Bujnowicz interesuje się ogromnie sprawą zabójstwa Pauli Piano. Marzył, żeby napisać o tym wielki artykuł — powiedział Kurman z przekąsem.

— I pisze? — zainteresowała się Beata.

— Wyszła z tego cała afera — powiedział. — Milicja odmówiła mu udzielenia informacji, ze względu na dobro śledztwa. Ale on zdobył wiadomość, że w sprawie tej ktoś został aresztowany, i próbował wepchnąć ją do Echa, bo u nas nie miał szans. Zrobiła się z tego straszna heca, milicja dowiedziała się o tej notatce, poleciła zatrzymać druk numeru i wiadomość zdjęć. Naczelnny Echa wściekł się i Bujnowicz stracił redakcję, gdzie mógł sobie od czasu do czasu pochałturzyć. Może się oduczy wsadzać palce między drzwi.

— Czy wiadomość była fałszywa? — zainteresowała się Beata.

— Czy tylko przedwczesna? A w ogóle kim był ten rzekomy aresztowany? Bujnowicz ci nie mówił?

— Nie mam pojęcia - wzruszył ramionami Kurman.

— Chyba ktoś z naszego środowiska — ciągnęła Beata. — Ale wtedy rzecz nie dałaby się ukryć.

— Dlaczego przypuszczasz, że był z naszego środowiska — zdenerwował się Kurman.

— Czy mogę przeszkodzić panu na chwilę? — Bujnowicz odszedł od swego stolika i zbliżył się do Kurmana. — Chciałem zapytać czy będzie pan jutro w redakcji?

— Będę — odpowiedział niechętnie Kurman - Dlaczego pan pyta?

— Czy nie moglibyśmy jeszcze raz zatelefonować do komendy?

— Może pan telefonować, jeśli pan nie ma dość. Mnie to nie interesuje — sucho odrzekł Kurman.

— Przepraszam pana bardzo. Czy... czy... mógłbym przedstawić się pani Kalskiej?

— Jeśli pan chce — głos Kurmana nie brzmiał zachęcająco. — Beato, pozwól — zwrócił się do pieśniarki. — Mój młodszy kolega.

— Miło mi — powiedziała, podając mu dłoń do pocałunku.

Bujnowicz pochylił się nad jej ręką patrząc gdzieś ponad głową młodej kobiety. Wyraz twarzy miał roztargniony.

— Może pan siądzie? — proponowała Beata wskazując mu wolne krzesło. — Prosimy.

— Chwileczkę — z roztargnieniem powiedział Bujnowicz.

Wyprostował się i patrzył w kierunku drzwi wejściowych. Zajrzała przez nie czarnowłosa, smukła dziewczyna. Kurman zauważył ją od razu i jakiś skurcz przebiegł przez jego twarz. Jakże była podobna... Towarzysz Bujnowicza spostrzegł ją także. Jak zahipnotyzowany wstał od stolika i szedł w jej kierunku. Był najwyżej dwa metry od niej, gdy dziewczyna odwróciła się gwałtownie i wybiegła, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Tamten wypadł za nią na ulicę. Bujnowicz podążył za nim nie spojrzawszy nawet na Kalską.

— Twój kolega redakcyjny nie jest najlepiej wychowany — cierpko zauważyła artystka.

Kapitan Rosta wszedł do przestronnego gabinetu prof. Blacka nie bez pewnej ciekawości. Informacje jakie zdobył o profesorze były dość z sobą sprzeczne, co wydawało mu się interesujące. Jedni mówili, że jest to człowiek całkowicie pochłonięty swoją pracą i ochroną przyrody przed współczesną, coraz bardziej zaborczą cywilizacją. Wedle tej opinii prof. Black nie lubił życia towarzyskiego i cały swój wolny czas poświęcał nauce, poza nielicznymi dniami, kiedy wyrwał się na polowania, stanowiące jego pasję. Inni utrzymywali, że prof. Black przywiązuje wielką wagę do przyjemności i uciech, że lubi dobre trunki, wesołe towarzystwo, piękne kobiety, traktując swoje godności jako doskonałą platformę do ułożenia sobie przyjemnego życia. Byli i tacy, którzy kwestionowali jego wiedzę, utrzymując, że sprowadza się, głównie do umiejętności wygłaszania banalnych i pozbawionych treści odczytów. Tak czy inaczej, była to postać kontrowersyjna, co intrygowało kapitana.

Na progu gabinetu powitał go wysoki, mocno szpakowaty mężczyzna. Kapitan Rosta nigdy nie przywiązywał wagi do męskiej urody, nie zauważał jej po prostu. Tym razem jednak przyznał od razu w duchu, że profesor Adam Black jest bardzo przystojnym mężczyzną. Pociągła twarz, szlachetnie wykrojone usta i szare oczy patrzące łagodnie i życzliwie spod krzaczastych brwi nadawały mu wygląd pociągający. Ale było przecież w tej twarzy coś miękkiego, niemal niemęskiego, czego nie lubił Musiał być od Pauli Piano co najmniej dwadzieścia pięć lat starszy, ale właściwie nie było w tym nic dziwnego, że jego właśnie wybrała spośród tuzina tych, którzy jej nadskakiwali.

Siedzieli w fotelach, nieco zbyt nowoczesnych na gust Rosty, i od kilku minut prowadzili kurtuazyjną rozmowę o niczym. Prof. Black uprzedzony o wizycie czekał zapewne na pierwsze pytania, kapitan Rosta myślał, jak by tu zręcznie zmienić temat.

— Przykro mi, że zajmuję panu czas, panie profesorze —

powiedział wreszcie — prowadzimy jednak pewną sprawę, w której pan, jak sądzę, może nam być pomocny.

— Z całą przyjemnością panu służę — odparł profesor. — Gotów jestem udzielić panu wszelkich dostępnych mi informacji, choć oczywiście nie należy to do moich tutaj powinności.

— Bardzo jestem panu wdzięczny — odrzekł Rosta przechodząc do porządku nad uwagą profesora. — Słyszałem, że pan w czasie pobytu u nas interesuje się nie tylko przyrodą, ale także i sztuką.

— Oczywiście — przytaknął Black. — Jak każdy kulturalny człowiek. Jestem w tej szczęśliwej sytuacji, że nie dzieli mnie od was bariera językowa, która w czasie moich licznych podróży utrudniała mi kontakt z miejscowym społeczeństwem.

— Mówi pan doskonale po polsku — zauważył Rosta.

— W gruncie rzeczy to mój język ojczysty — profesor poparł swoje słowa wymownym gestem. Miał bardzo smukłe dłonie o długich białych palcach.

„Wypiełgnowane — pomyślał Rosta. — Oto dłonie człowieka, który w życiu nie próbował fizycznej pracy.”

— Miło mi to słyszeć — odezwał się głośno. — Może pan zatem chodzić na ciekawsze imprezy kulturalne.

— Często to robię — przytaknął Black.

— Słyszałem też, że zna pan sporo ludzi z naszego świata artystycznego.

— Owszem — w głosie profesora brzmiała nuta powściągliwości. — Znam kilka osób. Grono to nie jest jednak szerokie, gdyż po prostu brak mi czasu na rozległe kontakty towarzyskie.

— Czy znał pan Paulę Piano?

— Tak, to jest do pewnego stopnia. Wszyscy ją znali. Z ubolewaniem przeczytałem wiadomość o jej śmierci.

— To wielka strata — powiedział Rosta. — Chciałem jednak zapytać, czy znał ją pan osobiście?

— Owszem, poznałem ją po jakimś przedstawieniu.

Znalazłem się w towarzystwie dyrektora Borysa, który mnie jej przedstawił.

- Czy potem widywał pan ją jeszcze?
- Tylko na scenie. Nie miałem więcej przyjemności rozmawiać z nią osobiście.
- Jest pan tego pewien?
- Najzupełniej, drogi kapitanie — profesor Black nie ukrywał zdziwienia.
- To ciekawe. Otrzymaliśmy informacje, że widywano ją w pańskim towarzystwie.
- To doprawdy nieporozumienie. Nie widzę w nim zresztą nic złego. Panna Piano była piękną kobietą i wyobrażam sobie, że mężczyźni chętnie się z nią spotykali — głos profesora był tak spokojny i naturalny, że kapitan Rosta w duchu się zdziwił. Przyjmując nawet, że ani Black, ani jego żona nie mieli z tą sprawą nic wspólnego, dla człowieka na jego stanowisku ujawnienie romansu z pieśniarką nie mogło być rzeczą przyjemną. Zwłaszcza po historii w Abidżanie.
- Panie profesorze. Wierzę, że nasza rozmowa jest szczerą, a zarazem zapewniam pana, że pozostanie między nami — powiedział z naciskiem Rosta.
- Gdyby nawet była najszczersza, nie mógłbym powiedzieć nic innego poza tym, co pan słyszał. Czy doprawdy przypuszcza pan, że ja mam czas na kontakty tego rodzaju? Że spotykałbym się z dziewczyną, która mogłaby być moją córką?
- Takie rzeczy już się zdarzały.
- Owszem, z pewnością, ale nie mnie. Wie pan o tym, że jestem tu z żoną, mamy dorosłego syna, który kształci się we Francji. Sprawy, o których pan myśli, od dawna są poza mną.
- Pan chyba przesadza, profesorze. Daleko panu do wieku, w którym mężczyźni przestają interesować się kobietami. Może nawet nie przestają nigdy...
- To co pan mówi brzmi optymistycznie, kapitanie.
- Wspomniał pan o swojej żonie. Czy ona знаła pannę Piano?
- Ze sceny, oczywiście.
- Miałem na myśli znajomość osobistą.
- Nie, skądże. Nigdy nie zamieniła z nią słowa.
- Jest pan tego pewien?
- Oczywiście. Doskonale orientuję się, kogo zna moja żona i

w czym towarzystwie spędza czas.

— Zdaje mi się, że państwo oboje utrzymują kontakt z dyrektorem Borysem?

— Owszem, ale to nie znaczy, że znamy ludzi z jego zespołu. Dyrektor Borys był tak miły, że wkrótce po naszym przyjeździe zaprosił nas na samochodową wycieczkę na Mazury. Od tej pory jeżdżę tam stale, cóż za przepiękna okolica. I jeszcze dzika. Mam nadzieję, że będziecie ją chronić przed zniszczeniem.

— Tak sędzę — uśmiechnął się Rosta. — Ale to nie moja dziedzina.

— Domyślam się. Pana praca jest niewątpliwie również ogromnie zajmująca — profesor Black ani na chwilę nie wypadł z formy.

— Czasami tylko nuży — westchnął kapitan Rosta. — Szczególnie wtedy, kiedy musimy udowadniać ludziom rzeczy, które pragnęliby przed nami ukryć.

Major Bartecki przechadzał się po swym pokoju szybkim krokiem, co było u niego nieomylną oznaką złego humoru.

— Tak więc jesteśmy w martwym punkcie — powiedział do kapitana. Rosty. — Od śmierci Pauli Piano upłynęło już tyle dni, a my jak nie mieliśmy, tak nie mamy zabójcy. Choć z tego, co zreferowaliście mi tu przed chwilą, podejrzanych jest kilku, poszlaki na których się opieracie są jednak zbyt nikłe, żeby podjąć jakiegokolwiek energiczniejsze kroki. A tymczasem opinia publiczna o mało nie została wprowadzona w błąd nieodpowiedzialną notatką tego, no, jak mu tam, Bujnowicza. Ludzie czekają na informacje. Paskudna sytuacja.

— Ogłoszenie takiej notatki to może być niezły trick — zauważył kapitan Rosta. — Ogłoszenie, że się ma zabójcę lub przynajmniej poważnie podejrzanego, może dać rezultaty.

— Ciekaw jestem jakie?

— Wydaje mi się, że w takiej sytuacji przestaje się bać prawdziwy zabójca. A w każdym razie, się odpręża. Sądzi, że

uwaga jest zwrócona na kogo innego, a on sam czuje się bezpieczny. Wtedy staje się mniej uważny, może nawet czymś się zdradzić.

— Teoretycznie może i macie rację, ale wasze argumenty nie trafiają mi do przekonania. Nie uspokajajmy się, że sprawy rozwiną się dla nas pomyślnie, bez naszego udziału. Daleko jeszcze do tego. Wasza lista osób podejrzanych rośnie, ale wszystkie wątki się rwą. Chyba zgodzicie się ze mną, kapitanie Rosta?

— Wyjaśniamy wszystko bardzo szczegółowo, badamy każdą poszlakę. Interesowaliśmy się nawet wypadkiem jaki Paula Piano miała w lecie, ponieważ w teatrze wiele się o tym mówiło. Niestety prokuratura w Gdańsku umorzyła śledztwo, gdyż nie udało im się ustalić numeru wozu, który miał zajechać Piano drogę. Zresztą zdaniem tamtejszego prokuratora był to zwykły wypadek zajechania drogi, jaki często się zdarza. Koncepcja iż chodziło tu o ukartowany zamach nie trafia mu do przekonania. Zresztą skoro wówczas nie udało się odszukać tamtego wozu, dziś szansa jest znacznie mniejsza. Sprawdzałem również fakty, o których opowiadała matka Pauli Piano. Rzeczywiście w ich rodzinnej wsi zginęła dziewczyna, z którą Piano przyjaźniła się przed laty. Prokuratura Powiatowa w Myślenicach uważa jednak, że przyczyną jej śmierci był zamach samobójczy. Dziewczynę porzucił młody gospodarz, za którego miała wkrótce wyjść za mąż. Władysław Michutek w ogóle nie jest podejrzany o dokonanie tego czynu. Rzeczywiście wyszedł ostatecznie z więzienia, ale od razu, nie widząc się z nikim poza najbliższą rodziną, wyjechał do stryja w Opolskie, gdzie dotychczas przebywa. Dlatego też podtrzymuję swoje zdanie, że zrobił to ktoś tutejszy, ktoś z bliskiego otoczenia, komu Piano przeszkadzała, albo kto miał z nią jakieś porachunki.

Kapitan Rosta umilkł, nad czymś się zamyślił.

— Dajcie mi jeszcze parę dni czasu, majorze — powiedział po chwili. — Może wtedy będę mógł jaśniej przedstawić wam sytuację niż obecnie. Chciałbym dokonać jeszcze kilku czynności.

— Zastanówmy się wspólnie nad sytuacją — odezwał się

major Bartecki. — Co dwie głowy to nie jedna. Zdajecie sobie sprawę, jakie znaczenie ma szybkie ukończenie tego śledztwa.

— Ukończenie — westchnął kapitan Rosta. — Nie widzę, aby mogło ono nastąpić rychło.

— Co się dzieje z Murkowskim? — zapytał major Bartecki. — Czy ciągle jest tak chory, że nie może złożyć zeznań?

— Przedstawił zaświadczenie lekarskie. Obecnie znajduje się w szpitalu. Mam wprawdzie poufne informacje, że nie jest tak ciężko chory jak by to wynikało z początkowych opinii lekarskich. Ale przecież nie mogę z nimi polemizować. Prawdopodobnie lekarze wolą zachować ostrożność na wszelki wypadek. Murkowski sprawia na mnie wrażenie histeryka, a w końcu histeria też może być chorobą. Obserwujemy go dyskretnie i mam nadzieję, że jutro, najdalej pojutrze albo zostanie wypisany ze szpitala, albo uzyskam zezwolenie lekarza na rozmowę z nim. Wiem, że chcą mu zrobić raz jeszcze badania kontrolne, bo on skarży się na silne bóle serca.

— Będzie się skarżył dalej, a oni będą dalej się z nim bawić. I my też.

— Przyznajcie jednak, obywatelu majorze, że trudno wkraczać w to brutalnie i przesłuchiwać go wbrew zakazowi lekarskiemu. Ciekawe jest jednak, kto opiekuje się Murkowskim i odwiedza go w szpitalu.

— Kto taki? — zapytał niechętnie major Bartecki.

— Beata Kalska. Wiecie, że to główna antagonistka Piano. Z tego, co wiem od dyrektora Borysa i innych osób, te dwie kobiety się nie znosiły. To jest mówiąc ściślej Kalska nienawidziła Piano, ponieważ uważała, że ona zajmuje należne jej miejsce w zespole. Kalska nie krępowała się wcale w wypowiedziach, że Piano to miernota, która umie zdobywać sobie poparcie i chodzić koło swoich interesów.

Pozbyła się rywalki — zauważył major Bartecki. — Ciekawe, czy jest z tego zadowolona.

— Olski z nią rozmawiał. Dowiedział się niewiele. Kalska była zresztą bezpośrednim świadkiem zabójstwa Piano. W stosunku do Olskiego zachowała się ogromnie powściągliwie. Nie powiedziała nic złego o zmarłej, przeciwnie, wyrażała żal z

powodu tego, co się stało.

— Zapewne poza — zauważył Bartecki.

— Ciekawe — ciągnął Olski — że według informacji, jakie Boczek zdołał uzyskać od obsługi szpitalnej, doktor Piwkowski, narzeczony Kalskiej, zabiegał o umieszczenie Murkowskiego w szpitalu. Jest lekarzem, wprawdzie innej specjalności, musiał jednak zdawać sobie sprawę, że stan naszego gwiazdora nie jest taki ciężki.

— Co przypuszczacie? — zapytał major.

Kapitan Rosta rozłożył ręce.

— Nie mam jeszcze w tej sprawie jasnego poglądu — powiedział. — Może to być po prostu przyjacielska przysługa. Kalska zaprzyjaźniła się z Murkowskim w ostatnim okresie, po jego zerwaniu z Piano. Kto wie, może u niej szukał pocieszenia? Nie wykluczam jednak, że to zupełnie świadoma pomoc w uchylaniu się od odpowiedzialności karnej.

— Tak — w zamyśleniu przytaknął major Bartecki. — Murkowski odbył w swoim czasie służbę wojskową, a więc strzelać umie. Mógł nienawidzić Piano choćby za to, że go rzuciła dość ostentacyjnie.

— W tym środowisku nie jest to niczym nadzwyczajnym. Ludzie wiążą się z sobą, potem rozchodzą. Nikt nikomu nie ma tego zbyt za złe.

— Zapewniam was, że i tam zdarzają się wielkie namiętności. Wszelkie generalizowanie bywa bardzo niebezpieczne. A zresztą był i inny motyw. Piano żywa — wcześniej czy później upomniałaby się o pieniądze. Jeśli Murkowski tak lubił gry hazardowe, zwłaszcza pokera, potrzebował dużo, pieniędzy, może nawet bardzo dużo, i mógł nie mieć z czego oddać.

— Owszem, sprawdzaliśmy to. W pokera grywał, ale nie tak hazardowo, jak to nam przedstawił. Nie zwierzał się też nikomu, że ma z tego powodu kłopoty materialne.

— Nie musiał o tym rozpowiadać, jeśli Piano pożyczyła mu pieniądze — odparł Bartecki. — A więc motywy są. Zawiedziona miłość, konieczność spłaty dużego długu. Mógł pragnąć śmierci tej kobiety. Jeśli dodać do tego jego dziwne zachowanie...

— Nie tylko on miał powody, aby chcieć pozbyć się Pauli

Piano.

— Macie na myśli Blacków? Oczywiście każde z nich mogłoby pragnąć zniknięcia tej dziewczyny. Przynaj

mniej z tego, co mi opowiadaliście. Oboje są też strzelcami...

— Właśnie dlatego proszę was jeszcze o parę dni. W tym czasie wyjaśni się zarówno sprawa choroby Murkowskiego, jak też mam nadzieję, że zaznajomię się bliżej z małżonkami Black. Sprawa Kurmana też nie jest całkowicie wyjaśniona. Na dobrą sprawę on mógłby mieć te same powody co Black.

— To ciekawe — powiedział w zamyśleniu major Bartecki. — Młoda, piękna dziewczyna z doskonałą pozycją zawodową i być może wielką przyszłością. Po co jej było wplątywać się w historie z kilkoma mężczyznami naraz.

— Czy ja wiem? Nigdy nie potrafiłem zbyt dobrze zrozumieć kobiet. Myślę, że ją jednak wykoleiło życie w wielkim mieście i błyskawiczna kariera. Pragnęła uwielbienia, pragnęła hołdów i nigdy nie miała ich dość.

— Zapewne to ją zgubiło — zauważył major.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Ukazał się w nich porucznik Olski.

— Wybaczcie, obywatelu majorze — zaczął. — Czy mógłbym zamienić słowo z kapitanem Rostą?

— Wejdźcie, wejdźcie — zachęcił go major Bartecki. — I mówcie, co tam macie nowego?

Porucznik Olski zbliżył się do biurka, przy którym rozmawiali obaj oficerowie, i położył fotografię. Pochylili się nad nią. Zdjęcie przedstawiało mężczyznę i kobietę, siedzących razem na trawie w cieniu drzew. Mieli twarze szczęśliwe i roześmiane. Mężczyzna obejmował ramieniem obnażone plecy dziewczyny.

— No tak — powiedział jakby z odcieniem ulgi kapitan Rosta.

Gdy po rozmowie ze zwierzchnikami porucznik Olski szedł do swego pokoju, zauważył na korytarzu dziwną scenę. Młody sierżant pełniący służbę przy wejściu tłumaczył coś podniesionym głosem młodej dziewczynie, a z tonu porucznik

odgadł, że nie była to zwykła rozmowa. Dziewczyna najwyraźniej przy czymś się upierała i zamierzała wdrzeć na korytarz komendy, który sierżant stanowczo zagroził ramieniem. Nie dawała jednak za wygraną i o czymś, usiłowała go przekonać wymachując mu przed nosem trzymanym w rękę pismem. Zauważył, że była bardzo ładna, młoda i zdenerwowana, gdyż na policzki jej wystąpiły ciemnokrwiste wypieki. Porucznik Olski zbliżył się do tych dwojga wciąż jeszcze sprzeczących się zażarcie.

— Co panią do nas sprowadza? — zapytał uprzejmie.

Dziewczyna odwróciła się w jego stronę i Olski aż się zdrygnął. Była zaskakująco podobna do Pauli Piano, miała te same czarne włosy i czarne ogromne oczy, a także ten sam wyraz lekkiego zdziwienia na twarzy. Takie kobiety o naiwnodziecięcym wyglądem zawsze podobały mu się i trochę go wzruszały. Jest w nich jakaś bezradność, która skłania mężczyzn do okazywania im opieki.

— Chciałabym mówić z komendantem — powiedziała dziewczyna. — Ale ten pan nie chce mnie wpuścić.

— W jakiej sprawie? — zapytał Olski, ale nim zdążyła odpowiedzieć, do rozmowy wmieszał się sierżant:

— Obywatelu poruczniku, ta pani mówi, że się boi, bo ktoś jej grozi. Poradziłem, żeby z tym poszła na komendę dzielnicową, to ich sprawa, nie nasza.

— Panie poruczniku, niech mnie pan wysłucha — powiedziała dziewczyna.

Olski zawahał się przez chwilę. Miał przed sobą jeszcze szereg zajęć, a godzina była już spóźniona. Tej dziewczynie jednak nie potrafił odmówić. W oczach jej była nadzieja pomieszana z prośbą o pomoc. No i to podobieństwo... Wprost nie do uwierzenia.

— Niech pani pozwoli ze mną — powiedział głośno.

Przepuścił ją przed sobą i wskazał drogę do swego pokoju. Rozejrzała się trwożnie obrzucając kolejno spojrzeniem biurko, krzesła i mały okrągły stolik pod oknem. Olski obserwował ją.

— Niech pani siada — powiedział. — W czym mogę pani pomóc?

Ją jednak opuściła cała energia i elokwencja okazywana jeszcze przed chwilą. Patrzyła na porucznika i milczała. W ręce trzymała wciąż ten sam papier, który przed chwilą demonstrowała sierżantowi.

— Słucham panią — powtórzył. — Chciała pani przecież zwierzyć się tu komuś z jakiegoś swojego kłopotu.

— Panie poruczniku — zaczęła. — Ja się boję, lękam się o swoje życie...

— Ależ dlaczego, proszę pani? Jestem przekonany, że będzie pani żyła długo i szczęśliwie.

— Ktoś mi grozi, ktoś pisze, że mnie zabije...

— Kto taki?

— Nie wiem... nie wiem...

Bez słowa podała mu papier, który trzymała w ręku. Rył to kancelaryjny arkusz w kratkę, którego środkową część wypełniało wielkie, nierówne pismo.

— „Zginiesz — czytał Olski. — Dni twoje są policzone, chcę, żebyś o tym wiedziała. Nie myśl, że skryjesz się przede mną. Znajdę cię wszędzie. Wykorzystuj każdy dzień, każdą godzinę, bo to twoje ostatnie”. Podpisu nie było żadnego. Porucznik raz jeszcze przebiegł pismo wzrokiem.

— Czy ma pani kopertę? Proszę mi ją pokazać. Chciałbym wiedzieć, skąd list jest nadany — odezwał się.

— Proszę — powiedziała dziewczyna podając mu ją. — Ja sprawdzałam. Na poczcie głównej.

Obrócił kopertę w dłoniach. — Pani Julia Gałcz — zapytał. — Więc tak się pani nazywa?

— Tak — przytaknęła.

— Cóż mogę pani powiedzieć. Ja nie wiem, oczywiście, od kogo mogła pani dostać ten anonim, ale pani zapewne się domyśla.

— Nie mam pojęcia — wyszeptała dziewczyna. — To właśnie najwięcej mnie przeraża.

— Ejże, proszę pani. Trudno mi uwierzyć, że tak zupełnie nikt nie przychodzi pani na myśl.

— Naprawdę nie. Zupełnie nikt. Nie wiem, kogo powinnam się obawiać, przed kim strzec. Dlatego przyszedłam pana prosić...

czy... czy nie mógłby pan dać mi jakiejś ochrony?

— Proszę pani — Olski wrócił do tego samego. — Przecież pani wie, jakich ma wrogów.

— Ja nie mam żadnych wrogów.

— Może źle obeszła się pani z jakimś chłopcem? Proszę się nie wstydzić i powiedzieć mi o tym szczerze.

— Ależ nie. Nic takiego się nie zdarzyło.

— Czy ma pani kogoś? Męża, narzeczonego, sympatię?

— Tak, owszem. Mam kogoś.

— Od dawna?

— Od kilku miesięcy. Zamierzamy się pobrać.

— I jesteście w najlepszej zgodzie.

— Naturalnie.

— A może przedtem był ktoś w pani życiu, z kim się pani źle rozstała i kto zachował żal?

— Nie, nie było nikogo takiego. Z nikim nie byłam związana...

Drzwi pokoju porucznika Olskiego otworzyły się i zajrzał kapitan Rosta. Cofnął się jednak, gdy ujrzał porucznika pogrążonego w rozmowie, i to nie przy biurku, ale przy małym stoliku.

— Wejdźcie do mnie, gdy będziecie wolni — powiedział tylko.

Porucznik Olski przeprosił dziewczynę i podążył za szefem.

— Chciałem, żebyście pojechali do szpitala, w którym leży Murkowski, i dowiedzieli się o stan jego zdrowia — powiedział Rosta. — Po tym, co znaleźliście w czasie rewizji w jego mieszkaniu, jest to naprawdę pilne. Czy to ktoś z rodziny?

— Nie, obywatelu kapitanie. Dziewczyna, która dostała anonim z pogrózkami. Chciałem prosić, żebyście zobaczyli, jaka jest podobna do Piano. Trudno uwierzyć własnym oczom.

— Dajcie z tym spokój, kolego — odrzekł kapitan. — Rozumiałbym wasze poruszenie, gdyby nagle stanęła przed wami sama gwiazda. Odeślijcie dziewczynę gdzie trzeba i nie traćcie na to czasu.

— Tak jest, obywatelu kapitanie — powiedział Olski wracając do pokoju.

— A więc mówi pani, że nie jest to list od zawiedzionego mężczyzny — odezwał się — Trzeba zatem szukać autora gdzie

indziej. Może w miejscu pracy. Gdzie pani pracuje?

— W biurze pisania podań — odparła. — Jestem maszynistką.

— Czy ma pani konflikty w pracy?

— Żadnych, absolutnie żadnych. Żyję w przyjaźni z moimi koleżankami. Kierownik jest dobry...

— A w domu? Żadnych nieporozumień?

— Mieszkam tylko z mamą. Mój ojciec nie żyje. Bardzo się boję. Także o mamę. Niech pan mi pomoże. Proszę przysłać kogoś, kto zapewni mi bezpieczeństwo.

— Niestety, proszę pani, to niemożliwe. Zresztą z tego wszystkiego, co pani mówi, zaczynam przypuszczać, że ktoś zrobił pani głupi kawał i teraz ma wcale dobrą zabawę.

— To nie jest kawał! To wcale nie jest kawał! — reakcja dziewczyny była gwałtowna.

— Skąd pani może wiedzieć? — zapytał Olski. — Chyba, że pani coś przede mną ukrywa.

— Absolutnie nic.

— Proszę pani, wszystko, co mogę dla pani zrobić, to przekazać anonim naszej sekcji operacyjnej. Będzie pani z nimi w kontakcie, gdyby pogróżki się powtórzyły.

— A pan... — w głosie Julii Galcz dzwięczała nuta zawodu, której nie próbowała ukryć.

— - Żałuję, proszę pani — rzekł porucznik. — Ale my tu zajmujemy się czym innym.

Poczęstował dziewczynę papierosem, ale odmówiła. Było mu jej rzeczywiście trochę żal. Taka ładna, chociaż zapewne okropnie egzaltowana. Jeżeli to, co mówi, jest prawdą, a jej życie biegnie spokojnie i bez żadnych konfliktów, można przypuszczać, że ktoś z niej zadrwił. Przez głowę przeleciała mu myśl, jak by było przyjemnie z taką ładną dziewczyną wybrać się na kawę albo na dansing. Jej podobieństwo do Pauli Piano sprawiało na nim niesamowite wrażenie, ale przez to wydała mu się jeszcze bardziej intrygująca.

— Pan nic nie może dla mnie zrobić?

W milczeniu potrząsnął głową. Natarczywość, z jaką się w niego wpatrywała, była krępująca. Czuł się tak, jakby odmówił pomocy tonącemu.

— To naprawdę nie wygląda groźnie — zapewnił ją. — Proszę wierzyć mojemu doświadczeniu.

Ledwie jednak wypowiedział te słowa, odczuł lekki niepokój. Czy powiedziałby to samo Pauli Piano, gdyby zgłosiła się do niego przed tygodniem?

— Zaprowadzę panią do sekcji operacyjnej — odezwał się.

— Dziękuję panu — powiedziała. — Będzie lepiej, jeśli pan mnie tam poleci. A czy gdyby... gdyby zdarzyło się coś, co potwierdziłoby moje obawy, będę mogła przyjść do pana? Nie wiem dlaczego... ale ufam panu i gdy z panem rozmawiam, mniej się boję.

— Jeśli pani sobie życzy — odrzekł z wahaniem. — Jestem jednak przekonany, że nic takiego się nie zdarzy.

— Chciałabym w to uwierzyć — powiedziała dziewczyna, ale jej głos zabrzmiał smutno i żałośnie.

23

Gdy pod wieczór porucznik Olski w asyście sierżanta Boczka zjawił się w mieszkaniu Murkowskiego, matka aktora od drzwi przyjęła ich lamentem.

— Za co panowie prześladowacie mojego syna? — szlochała. — Ledwie ze szpitala wrócił. Tam nie chcą trzymać chorych, bo powiadają, że brak miejsc, tu po piętach depta mu milicja. Coście zrobili z naszym mieszkaniem... A syn jest chory, ciężko chory...

— Postaram się go nie zmęczyć — pojednawczo zaczął Olski.

— Wyście go już zmęczyli... I za co?... Nie umiecie znaleźć winnego, to czepiacie się niewinnych.

Florian Murkowski leżał na tapczanie. W pokoju było prawie ciemno, tylko w rogu paliła się mała lampka i Olski nie mógł dokładnie mu się przyjrzeć.

— Jak się pan czuje? — zapytał. — Chciałbym z panem chwilę porozmawiać. Lekarze w szpitalu powiedzieli mi, że nie ma przeciwwskazań.

— Powiedzieli panu... Ich pacjent nie obchodzi, myślą tylko, jak się go pozbyć.

— Po prostu uważali, że stan pana nie wymaga leczenia szpitalnego.

— Pan też się na tym zna? Wy, milicjanci, znacie się na wszystkim. Chciałbym wiedzieć, dlaczego wywróciliście mi dom do góry nogami. Jakim prawem?

— Mieliśmy nakaz prokuratora.

— W czasie mojej nieobecności. Bardzo pięknie. Działacie panowie podstępem i zza węgła. A zasłaniacie się przepisami jak parawanem!

— Była przy tym pańska matka i dozorca domu. Zresztą może pan złożyć zażalenie — chłodno zauważył Olski.

— Mogę. Wiele rzeczy mogę. Tylko że jestem chory, a pan nie wstydzi się mnie nachodzić...

— Wyszedłbym stąd wcześniej, gdybyśmy przystąpili do rzeczy.

Murkowski zamilkł.

— Pytaj pan — odezwał się po chwili znużonym głosem.

— Przypomina pan sobie — zaczął Olski — wieczór, kiedy spotkaliśmy się w mieszkaniu pani Piano?

— Tak — mruknął aktor.

— Pytaliśmy pana wówczas, jak pan się dostał do tego mieszkania. Chciałbym powtórzyć to pytanie.

— Mówiłem wam przecież. Potem męczyliście mnie jeszcze w komendzie i wszystko pan sam zapisał w protokole. Zgubił pan ten protokół? Czego pan jeszcze chce?

— Nie zgubiłem protokołu, tylko nie wszystko mi się zgadza.

— Wam się w ogóle nic nie zgadza. Gdybyście szukali jak należy, dawno mielibyście zbrodniarza i mnie dali święty spokój — Murkowski wpadł w swój dyskant.

— Mam przy sobie klucze, które pan nam wtedy oddał — odezwał się Olski. Wsunął rękę do kieszeni, wyjął kopertę, w której zapakowane były klucze. Czy to te?

Murkowski spojrzał z roztargnieniem.

— Niech pan się im dobrze przyjrzy.

— Niby po co? Przecież je znam.

— Bo to nie są klucze fabryczne, które się kupuje razem z zamkiem jako komplet.

— Nie rozumiem — mruknął Murkowski.

— Zaraz panu wytłumaczę — głos porucznika brzmiał łagodnie, chociaż drażnił go ten naburmuszony i rzucający się co chwila facet. — Po prostu to są klucze dorabiane na zamówienie w warsztacie ślusarskim. Teraz pan rozumie?

— Co mnie może obchodzić, czy to są klucze fabryczne, czy też dorabiane — warknął Murkowski. — Powtarzałem już kilka razy, że dostałem je od Pauli. Tylko ona mogłaby wytłumaczyć, po co je kazała dorobić. Prawdopodobnie powiedziałyby, że dla mnie.

— To nie Paula Piano kazała dorobić te klucze.

— Nie pojmuję, do czego pan prowadzi...

— Naprawdę? Przecież pan załatwiał to sam.

— Ja?! — zerwał się Murkowski. — Nie pozwolę sobie wmówić. Mnie klucze dała Paula.

— Owszem — przyznał Olski. — Dała. Oczywiście. Potem jednak, kiedy stosunki między panem a nią się popsuły, zażądała, żeby pan je oddał.

— Mogła coś wspominać o tym w jakiejś sprzeczce, ale nigdy mi ich nie odebrała.

— Pan zwlekał z oddaniem kluczy, ale potem je zwrócił, i to przy świadku. Postąpił pan tak, gdyż klucze nie były już panu potrzebne, ponieważ zamówił pan sobie inną parę.

— Bzdury — głos Murkowskiego stawał się coraz cieńszy i piskliwszy. — To, co pan mówi, jest prowokacją.

— Panie Murkowski. Zagrajmy w otwarte karty. Milicji udało się znaleźć ślusarza, u którego obstalował pan te klucze. On pana doskonale pamięta i rozpozna w razie potrzeby. W każdej chwili możemy zrobić konfrontację.

W pokoju zaległa ciężka cisza. Tylko Boczek siedzący w przedpokoju zaszurał nogami. Murkowski leżał na wznak, z rozrzuconymi rękami i ciężko dyszał.

— Co pan chce powiedzieć na ten temat? — odezwał się Olski odczekawszy chwilę.

— Ja jestem chory — płaczkliwie powiedział Murkowski. — Jestem bardzo chory. Porozmawiamy, kiedy poczuję się silniejszy.

— Nie jest pan wcale ciężko chory — odparł Olski. — Jeśli pan ma zamiar uchylać się od złożenia zeznań, polecimy zbadać pana przez lekarza sądowego, który wyda opinię o pana stanie zdrowia.

— Czego pan chce ode mnie? Dlaczego mnie pan dręczy? — desperował Murkowski.

— Chciałbym jedynie, żeby pan mi odpowiedział na parę pytań. Na przykład skąd pan ma to zdjęcie? — położył na stoliku koło leżącego fotografię przedstawiającą mężczyznę i kobietę siedzących razem na trawie w cieniu drzew. Mieli twarze szczęśliwe i uśmiechnięte.

— Zapalę górne światło — dodał — żeby się pan mógł lepiej przyjrzeć.

Murkowski nie zaprotestował. Uniósł się na łokciach i spojrzął na zdjęcie kątem oka.

— To Paula Piano — powiedział słabo. — Przecież pan doskonale wie.

— A ten mężczyzna? — indagował Olski.

— I to pewnie pan wie. To zdjęcie zabraliście z mojego mieszkania. Jakim prawem?...

— Panie Murkowski — powtórzył porucznik Olski. — Czy zechce mi pan powiedzieć, kto to jest ten pan?

— Adam Black. Dyrektor polskiej sekcji Komitetu Ochrony Naturalnego Środowiska Człowieka.

— Jak się domyślam, łączyły go bliskie więzy z Paulą Piano?

— Nie wiem — burknął Murkowski.

— Pan doskonale wie. A skąd fotografia znalazła się u pana?

— Nie pamiętam — mruknął Murkowski.

— Może dała ją panu Paula Piano? — podsunął porucznik.

— Może. Powiedziałem, że sobie nie przypominam.

— To jest zdjęcie zrobione z ukrycia, panie Murkowski. Pan zrobił je wtedy, kiedy tych dwoje nie wiedziało o tym, że są fotografowani. Chciał pan mieć dokument.

— To nieprawda! Śledziłem ją, przyznaję, i każdy mężczyzna zrobiłby to na moim miejscu. Kochałem ją i byłem zazdrosny. Czy pan nie pojmuje? Nie mogłem znieść, że zadawała się z tym starcem, dla którego rzuciła mnie. Stary obleśnik!

— Pojmuję — Olski przerwał lawinę gwałtownych słów. — A dlaczego dorobił pan sobie klucze do jej mieszkania? Czy z tych samych powodów?

— Trudno mi w pełni zdać sobie z tego sprawę — Murkowski mówił teraz szybko i nerwowo. — Uczyniłem to pod wpływem impulsu. Ona nie przyznawała mi się do niczego. Mówiła, że nikogo nie ma, że jej przyjaźń z Kurmanem się nie liczy. I wtedy dowiedziałem się o tamtym. Chciałem kiedyś wejść do niej niepostrzeżenie i zastać ich razem. Mógłbym wtedy dowieść, że kłamie, że mnie oszukuje i krzywdzi.

— Co by to panu dało? — zapytał porucznik Olski.

— Satysfakcję. Rzuciłbym jej w twarz, co o niej myślę.

— To, co pan mi tu produkuje — zauważył Olski — brzmi dość naiwnie. Wynika z tego, że nie ma pan najlepszej opinii o milicji. Zdjęcia, znaleźliśmy ich więcej, w zestawieniu z pana listem do panny Piano znalezionym w jej mieszkaniu, pozwalają przepuszczać, że miał pan zamiar ją szantażować i plan ten zaczynał wprowadzać w życie. Jak mogę inaczej rozumieć słowa, które pan do niej pisał? Sięgnął do kieszeni i wyjął list w długiej białej kopercie. Rozwinął go i zaczął czytać: „Mam dowody, które zachęcą cię do rozmów ze mną. Znajdziesz wkrótce czas, żebyśmy mogli się zobaczyć i dojść do rozsądnego porozumienia”. — To pana pismo, panie Murkowski, prawda? Uprzedzam pana lojalnie, że zaprzeczanie na nic się nie zda. Zrobiliśmy ekspertyzę grafologiczną tego listu, który podpisał pan tak skromnie małą literką F.

— Nie mam zamiaru niczego się wypierać — tonem obrażonej godności podjął Murkowski. — Pisałem do niej rzeczywiście. Chciałem się z nią spotkać i prosić, żeby do mnie wróciła. W ostatnim czasie tak głupio mnie unikała...

— Nie miał pan chyba trudności w znalezieniu jej, skoro mając klucze od jej mieszkania mógł pan jej złożyć nieoczekiwaną wizytę?

— Nie chciałem tego robić. Czekałem.

— Myślę, panie Murkowski, że byłoby dla pana lepiej, gdyby pan był z nami bardziej szczerzy.

— Zmusza mnie pan do mówienia o rzeczach bardzo

osobistych, o których nie chcę mówić — Murkowski był śmiertelnie blady.

— Nie ma spraw osobistych tam, gdzie toczy się tak poważne śledztwo — odrzekł spokojnie porucznik Olski.

24

Kapitan Roman Rosta wjechał windą na ostatnie piętro eleganckiej kamienicy przy Alei Róż i zadzwonił do drzwi. Otworzyła mu kobieta w średnim wieku, ubrana w czarną suknię i biały fartuszek. Nie sprawiała wrażenia zdziwionej odwiedzinami, gdyż kapitan był w cywilnym ubraniu. Wzięła go po prostu za kogoś z licznych znajomych państwa Black.

— Dzień dobry pani — przywitał ją Rosta. — Czy mógłbym widzieć się z panią Martine Black?

— Pani nie ma, proszę pana — odrzekła gosposia.

— A kiedy można zastać? — zapytał uprzejmie.

— Nie wiem. Pani Black wyjechała.

— A to szkoda — zmartwił się kapitan. — Można wiedzieć kiedy?

— Przedwczoraj rano.

— Czy mogłaby pani powiedzieć mi dokąd? Mam dość ważną sprawę i chciałbym koniecznie skontaktować się z panią Black.

— Pani daleko pojechała — wyjaśniła kobieta. — Do syna, do Paryża.

— A kiedy wróci?

— Nic nie mówiła. Ale pan profesor będzie wiedział.

— Czy mogę wejść? — zapytał Rosta postępując krok naprzód.

— Pana profesora też nie ma w domu — odrzekła zasłaniając sobą wejście. — Może pan się umówi z panem profesorem i wtedy przyjdzie.

Fakt nieobecności profesora bynajmniej kapitana nie zaskoczył. Nie przypadkowo pragnął porozmawiać z panią Black podczas nieobecności męża. Ten nagły wyjazd był mu ogromnie nie na rękę. Sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej legitymację służbową. Kobieta patrzyła na nią i nie rozumiała.

— Jestem z milicji — wyjaśnił. — Niech pani przyjrzy się tej legitymacji i pozwoli mi wejść.

— Ale po co, kiedy nie ma ani pani, ani pana? — opierała się.

— Chciałbym porozmawiać właśnie z panią — odrzekł Rosta.

— Ze mną? — zdziwiła się. — O czym mielibyśmy rozmawiać, pan i ja?

— Powiem, jeżeli pani pozwoli mi wejść.

— Proszę — powiedziała niechętnie, obserwując go spod oka.

— Ale widzi mi się, że pan i ja nie mamy z sobą o czym mówić.

Wprowadziła go do niedużego saloniku utrzymanego w tonacji orzechowo-złotej i wskazała miejsce na fotelu. Sama przysiadła na skraju drugiego, tak jakoś na brzeżku, nieśmiało, jakby nie zwykła była rozsiadać się w fotelach podczas nieobecności państwa.

— Jestem kapitanem milicji — powiedział. — I prowadzę pewną sprawę, o której pragnąłem porozmawiać z panią Black. Skoro jej nie ma, chciałbym, aby pani udzieliła mi kilku informacji.

— Słucham pana — powiedziała potulnie.

— Dlaczego pani Black wyjechała? Słyszała pani coś o tym?

— Nie, proszę pana. Państwo nic nie mówili. Wyjechała nagle. Weszła do kuchni już w płaszczu, powiedziała, że wyjeżdża i żebyśmy dbali o pana i o dom, aż wróci.

— Mówiła, dokąd jedzie?

— Nie, nic nie mówiła.

— A skąd pani wie, że do Paryża?

— Słyszałam, jak profesor mówił do kogoś przez telefon. Mieli zaproszenie i pan tłumaczył, że pani nie przyjdzie, bo jej nie ma.

— Czy pani Black zawsze wyjeżdżała tak nagle?

— A bo ja wiem? Różnie wyjeżdżała.

— Zawsze przychodziła do kuchni w ostatniej chwili, już ubrana do drogi i dopiero wtedy mówiła, że wyjeżdża?

— No nie, zwykle wiedziałam wcześniej. Bo pani prosiła, żeby jej to czy tamto przygotować w podróż albo pomóc w pakowaniu.

— Niech mi pani powie, była pani zaskoczona ostatnim

wyjazdem pani Black?

— Ja? Mnie tam wszystko jedno.

— Pytałem o co innego. Czy pani się zdziwiła, że pani Black tak nagle wyjeżdża.

— Ja się nie wtajemniczałam.

— Proszę pani — tonem perswazji przemówił Rosta. — Zadaję pani pytania po to, aby usłyszeć odpowiedź. A pani mi daje odpowiedzi takie, żebym po nich nie był mądrzejszy niż przedtem. Dlaczego?

— Bo pan mnie ciągnie za język a ja nie wiem, po co i na co. Ja coś powiem nie tak jak trzeba, pan potem powtórzy memu państwu i będą niezadowoleni. Mnie na tej pracy zależy, bo to dobra praca, takiej nie znajdę...

— Nic nikomu nie powtórzę — przyrzekł Rosta. — To, o czym mówimy, zostanie między nami. Ani pani Black się o tym nie dowie, ani pan.

Kobieta patrzyła na niego nieufnie.

— Każdy tak mówi — powiedziała wreszcie. — A potem inaczej robi.

— Nie ma pani zaufania do milicji?

— Mam, i owszem, tylko nie chcę stracić pracy.

— Nie straci pani — zapewnił. — No więc niech mi pani powie o tym wyjeździe pani Black. Zdziwił panią?

— Pewnie, że zdziwił — powiedziała wreszcie. — Tak na łapu capu jeździć w obce kraje. Przedtem wcale się nie wybierała.

— Skąd pani wie?

— Ja wiem wszystko, co się dzieje w domu — odparła z godnością. — Przecie jak tu jestem, to słyszę i widzę, no nie? Chociaż oni wciąż ze sobą gadają po francusku.

— Pani Black jest Francuzką — powiedział kapitan.

— Widać dlatego ją tak do tego Paryża ciągnie. Mnie by do Warszawy też ciągnęło. Gdzie bym nie była. Jak po powstaniu przez rok mieszkałam w Piotrkowie u ciotki, to tak mi się cniło, że przyjechałam tu, chociaż wszystko się nam spaliło i przyszło tulać się po obcych. Mamie mojej wtedy się zmarło i tak już u obcych zostałam.

— Doskonale panią rozumiem — w głosie kapitana brzmiała

życzliwość. — Sam też jestem urodzonym warszawiakiem i nigdzie poza Warszawą nie czuję się dobrze.

— My warszawskie ludzie, my się rozumiemy... — westchnęła kobieta.

— Pani Black też pojechała tam, gdzie rozumieją ją lepiej, niż u nas.

— Kto ją tam zrozumie? — gosposia wzruszyła ramionami.

— Dlaczego, proszę pani? — spytał Rosta.

— Bo jest kłótniwa i skąpa — wyjaśniła. — I zawsze wszystkich podejrzewa...

— Panią o coś podejrzewała?

— A uchowaj Boże. Dla mnie była jak trzeba. Widać też nie chciała, żebym sobie poszukała innej posady.

— Z pewnością — przytaknął kapitan.

— Tylko do pana miała stale pretensje i o kobiety go podejrzewała. Powiadam panu, prawdziwe kino.

— Bardzo ciekawie — starał się, aby to wypadło zachęcająco.

— On mi dawał koszule do prania, zamoczyć nie zdążyłam, a już biegła patrzeć, czy nie powalane szminką. Raz znalazła czerwoną plamkę, to piekło było nie z tej ziemi. Strasznie krzyczała, ale po francusku. Stale wąchała jego ubrania, czy nie pachną perfumą od innej.

Jeździła za nim samochodem, żeby wyszpiegować, czy się z kim nie spotyka.

— A pan Black rzeczywiście lubił kobiety?

— Który z was nie lubi, no niech pan sam przyzna?

— Racja — uśmiechnął się kapitan. — To słabość nas wszystkich.

— Mój pan, chłop jak się patrzy, tyle że już nie pierwszej młodości. Ale są takie, co to lubią. Głowa siwa, ale za to pełny portfel, no i stanowisko.

— Przed panią nic się nie ukryje — brzmiało to jak komplement.

— Jak się na świecie żyje, to się życie zna — powiedziała filozoficznie. — Na niejedno się już napatrzyłam, proszę pana. Zazdrosne kobiety też widziałam, ale nigdy takiej jak ona.

— Często się sprzeczali?

— Bez przerwy. Nieraz myślałam, że z niego święty człowiek. Ale już ostatnio były coraz gorsze awantury i tak sobie miarkuję, że miał dość.

— Ale dlaczego? Był kimś zajęty?

— Ja tam nie wiem, mnie nie mówił ani nigdy żadnej nie widziałam, przecie ich tutaj nie sprowadzał.

— Nic pani nie słyszała?

— Oj, panie kapitanie — roześmiała się. — Pan to lubi plotki, zupełnie jak kobieta.

— Lubię — przyznał Rosta. — Ogromnie, tylko nie z każdym mogę sobie pogadać tak jak z panią.

— Wie pan, mnie trudno się w tym wszystkim połapać, mnie nikt nie wtajemniczy, no nie? Ale raz słyszałam, jak z jedną rozmawiał przez telefon. Ona zadzwoniła i coś chciała, a on jej tłumaczył, żeby do mieszkania nie telefonowała. Wszystko słyszałam, bo akurat sprzątałam jadalnię, a on rozmawiał w gabinecie.

— A pani Black?

— Nie, jej nie było w domu. Poszła na pływalnię czy coś takiego.

— Podobno uprawia sporty?

— A tak, okropnie jest sportowa. Stale się tu o tym mówi. Jak pływa, jak gra w tenisa i poluje. Roboty przy tym mam, me daj panie Boże. W sezonie ciągle zające oprawiam, a to kuropatwy, a to dzikie kaczkę. Dużo z tym pracy, a jedzenia mało.

— Umie pani robić pasztet z zająca?

— A jakże, i to jaki, palce lizać.

— Wyobrażam sobie — westchnął Rosta. — Przepadam za pasztetem z zająca.

— Akurat nie mam — powiedziała z żalem. — Wszystko zjedli, a teraz jak ona wyjechała, to nie wiem, czy pan profesor pojedzie na polowanie.

— Pani Black lubiła bardziej polowanie od męża?

— Chyba tak. Zawsze ona najwięcej dziczyzny, ubiła. Tak przynajmniej mówili, że ma szczęśliwą rękę.

— Rzadko która kobieta umie tak dobrze strzelać.

— Ano właśnie i ja tak sobie myślałam. Nieraz przychodziło

mi do głowy, że jeszcze kiedy w złości zastrzeli pana.

— Co też pani opowiada, pani... dotychczas nie wiem, jak się pani nazywa?

— Wątróbska Maria. Ale w domu nazywali mnie Marylą.

— Okropne rzeczy mi pani opowiada, pani Mario. Skąd takie pomysły? Czyż pani Black byłaby zdolna do czegoś podobnego?

— Panie kapitanie, pan jej nie widział w złości. Jak ją opętało, to zupełnie jakby zły w nią wstąpił. Nie ta sama kobieta. Ostatniego wieczoru przed jej wyjazdem to się sama jej przestraszyłam i uciekłam do swojego pokoju.

— Była jakaś awantura?

— Z panem. Ale ja nic nie rozumiałam.

— Nie domyśla się pani, o co się kłócili?

— Pewnie o jaką babkę. Zresztą licho ich wie.

— I nazajutrz pani Black wyjechała?

— Mówiłam panu. Widać w nocy sama się spakowała. Ja tu panu takie rzeczy opowiadam, gdyby oni się dowiedzieli, ani chwili bym tu już miejsca nie zagrzała.

— Niech pani będzie spokojna. Nikt się o naszej rozmowie nie dowie.

— Pan dotrzyma słowa? Chyba milicyjne słowo się liczy?

— Zawsze dotrzymuję słowa. Proszę pani, czy pani słyszała kiedy od swoich gospodarzy o Pauli Piano?

— Niby o tej artystce, co ją zastrzelili?

— Tak — przytaknął Rosta. — O nią pytam.

— Nie, chyba nic nie słyszałam. Panie kapitanie, czy pan wie, kto ją zabił?... Zaraz, zaraz, coś sobie przypominam. Raz ona śpiewała w telewizji, pan słuchał, ja zbierałam naczynia specjalnie wolno, bo też lubię sobie posłuchać, ładnego śpiewania, a tu nagle pani wyskoczyła, zgasiła telewizor i coś do pana powiedziała. Nie zrozumiałam, o co jej się rozchodzi, bo ona ciągle po francusku, ale musiało to być coś nieprzyjemnego, bo pan tylko zmiął gazetę i wyszedł z pokoju.

— Nigdy więcej nie było mowy o Pauli Piano?

— Chyba nie. Ale kto ją zabił? Pan mi nie powiedział.

— Bardzo bym chciał jak najprędzej odpowiedzieć pani na to pytanie — odrzekł kapitan Rosta wstając. — Zapewne jeszcze

się zobaczymy.

— A niech pan kiedy do mnie zajdzie. Może będę miała kawałek pasztetu z zająca — powiedziała przymilnie.

25

Gdy porucznik Olski następnego dnia przyszedł do komendy, nie bez zdziwienia dostrzegł, że na jego widok podnosi się wysoka młoda dziewczyna czekająca na korytarzu.

— Panie poruczniku... zaczęła, gdy zbliżył się do niej.

— Panna Julia Gałcz? — zapytał zaskoczony tym, że głos jego zabrzmiał odrobinę za ciepło. — Znów jakieś

kłopoty? Czy moi koledzy z sekcji operacyjnej nie zajęli się panią jak trzeba?

— Ja proszę, błagam, o minutę rozmowy... znów dostałam list — wyszeptwała.

— Chodźmy — powiedział, zły na siebie, że od razu nie skierował jej pod właściwy adres. Postanowił być rzeczowy i oschły.

Znów siedziała naprzeciwko przyglądając mu się w taki sposób, jakby od niego zależały jej dalsze losy. Wyglądała mizernie, a jej łagodne czarne oczy zdawały się jeszcze większe.

— Czy pani wie, że jest pani bardzo podobna do Pauli Piano? — zapytał niespodziewanie dla siebie samego.

— Ja... nie... to niemożliwe — wybąkała spłoszona. — Pan po prostu jest uprzejmy.

— Nikt pani tego przedtem nie mówił? — indagował Olski.

— Nie... no skądże...

— Proszę mi pokazać ten list — rzekł.

Wyjęła z torebki arkusz takiego samego papieru w kratkę jak za pierwszym razem. Teraz jednak tekst był krótszy. — „Twoja śmierć już blisko — pisał nieznany autor. — Czas na rachunek sumienia”.

— Czy nadal nie domyśla się pani, kto to może pisać?

— Nie mam pojęcia, ale boję się coraz bardziej.

— Niechże się pani nad tym zastanowi. Absolutnie żadnej idei?

— Nie wiem, lękam się wychodzić z domu. Po południu nie opuszczam mieszkania. Ale przecież muszę chodzić do biura, trzeba z czegoś żyć.

— Przekażemy i ten anonim sekcji operacyjnej. Niech go pani zostawi.

— Ja proszę, bardzo proszę, niech mi pan da ochronę.

— To niemożliwe — powiedział. — Chce pani, żeby nasi ludzie pilnowali pani dzień i noc?

— Wtedy czułabym się bezpieczna.

— Taką ochronę daje się osobom, którym grozi konkretne niebezpieczeństwo. Nie wydaje mi się...

— Ależ mnie grozi konkretne niebezpieczeństwo — przerwała mu. — Mnie zabiją!

— Pewnie ktoś tylko panią straszy.

— Nie, nie...

— Proszę pani, dlaczego pani zwraca się z tym do mnie? — zapytał nieco zniecierpliwiony. — Mówiłem pani, że ja zajmuję się innymi sprawami.

— Pan budzi we mnie zaufanie. Wtedy tylko pan wysłuchał mnie uważnie. Proszę mi pomóc.

— Postaram się. Spróbujemy ustalić, kto napędza pani takiego stracha. Ale to musi potrwać kilka dni.

— Ja nie wytrzymam — powiedziała z rozpaczą w głosie.

— Zobaczymy, co da się zrobić. Tymczasem odeślę panią do domu naszym wozem — przyrzekł, niezadowolony z siebie, że tak jej ulega. Kto swoją drogą znajduje przyjemność w prześladowaniu takiej ładnej dziewczyny? — Radziłbym pani trochę wyjechać. Wziąć kilka dni urlopu, odpocznie pani nerwowo.

— Nie mam już urlopu — powiedziała. — A zresztą on napisał, że przed nim nie ukryję się nigdzie...

— On, jednak on — powtórzył z naciskiem Olski. — Jakoś nie podejrzewa pani o autorstwo tych listów kobiety?

— Tak mi się powiedziało — spojrzała na niego spłoszona. — Ja przecież nie wiem nic, nic, nic...

Przez następne kilka dni kapitanowi Roście nie udawało się spotkać z profesorem Blackiem. Raz profesor umówił się z nim wprawdzie w swój normalny sposób, jakby ponowna wizyta kapitana miała mu sprawić osobistą przyjemność, ale na godzinę przed spotkaniem odwołał je przez sekretarkę zapewniając, że wypadły mu niespodziewane i pilne zajęcia. Rosta zadzwonił następnego dnia i wówczas dowiedział się, że profesor wyjechał w podróż po Polsce z jakimś zagranicznym gościem.

Tymczasem śledztwo nie posuwało się naprzód, co denerwowało zarówno kapitana Rostę, jak i majora Barteckiego. Sprawy wyklarowały się o tyle tylko, że Damian Kurman wyeliminowany został z grona podejrzanych. Wprawdzie prowadzący śledztwo byli zgodni co do tego, że brakło zrozumiałych motywów, jakie miałyby go pchnąć do tak straszego czynu, ale sprawę przesądził ostatecznie fakt, że znaleźli się świadkowie, którzy krytycznego wieczoru widzieli go rzeczywiście w budce telefonicznej kolo Teatru Rewiowego. Byli to: scenograf teatru wraz z żoną, którzy również pragnęli załatwić jakiś telefon przed udaniem się na bankiet do „Krokodyla”. Potem, gdy Kurman w tłumie znajomych, obecnych na premierze, szukał świadków, którzy mogliby potwierdzić prawdziwość jego słów, tych dwoje zgłosiło się i złożyło w komendzie odpowiednie zeznania.

Obok Blacków, a raczej pani Black, na liście podejrzanych wciąż pozostawał Murkowski, który doszedł do przekonania, że nie ma sensu dłużej leżeć w łóżku, i zgłosił się na kolejne przesłuchanie. Rosta i Olski rozmawiali z nim i osiągnęli wcale niezłe wyniki. Murkowski przyznał się mianowicie, iż miał zamiar załatwić pewne sprawy finansowe z Paulą Piano pod groźbą rozpowszechnienia jej zdjęć z Blackiem, choć gwałtownie wzbraniał się nazwać takie postępowanie szantażem. Wyznał też, że krytycznego wieczoru udał się do mieszkania Pauli Piano, skoro tylko dowiedział się od reżysera Ankiewicza o tym, co zaszło. Miał klucze, sądził, że dostanie się

tam niepostrzeżony i zdoła odnaleźć kwit, który nie tylko go w jakimś sensie kompromitował, ale także stawiał wobec konieczności zwrócenia znacznego długu rodzinie zmarłej. Przy okazji Rosta i Olski wysłuchali długiego monologu na temat nierówności zarobków aktorskich oraz traktowania i nagradzania artystów. Paula Piano należała do uprzywilejowanych, najlepiej zarabiających. Przez pewien czas pomagała Murkowskiemu, gdyż знаła jego słabostki. Oprócz pokera aktor namiętnie grywał w ruletkę, od czasu do czasu również w towarzystwie profesora Blacka. Potem jednak artystka znudziła się najwidoczniej nim samym, a pewnie też miała dość jego kosztownych rozrywek. Murkowski utrzymywał, że kochał ją do końca, choć były chwile, kiedy jej postępowanie, a zwłaszcza zmienność, budziło w nim głęboką urazę. Nigdy jednak — zapewniał — nie byłby w stanie wyrządzić tej kobiecie najmniejszej krzywdy.

Wprawdzie relacja Murkowskiego, przeplatana jak zwykle wybuchami jego złego humoru, obnażała pewne nie najlepsze strony charakteru aktora, brakło jednak dowodów, że to on strzelił do Pauli Piano. Nie mówiąc już o tym, iż nader wątpliwe wydawało się, aby wybrał właśnie taki ostentacyjny rodzaj zabójstwa. Pomimo dalszych energicznych poszukiwań nie natrafiono na ślad pistoletu, z którego zastrzelono aktorkę, w miejscu oddania strzału nie znaleziono też, prócz łuski, żadnych śladów, które mogłyby naprowadzić na osobę sprawcy. Dlatego major Bartecki i kapitan Rosta byli przeciwni aresztowaniu aktora, choć wciąż zajmował miejsce na liście podejrzanym.

— Wpierw trzeba mieć niezbita dowody. Nie można aresztować, a potem zwalniać — powtarzał bezustannie major Bartecki.

Nie wypadalo też zbyt obcesowo obchodzić się z Blackami. Po pierwsze nie pozwalał na to ich status dyplomatyczny, po drugie nie należało przedwcześnie ich płoszyć. I w tym wypadku potrzebne były dowody. Zdobycie ich musiało nastąpić w sposób niepostrzeżony, nie zwracający niczyjej uwagi.

Przeprowadzenie rozmowy z profesorem było jednak konieczne. Rosta ucieszył się więc szczerze, gdy po paru nieudanych telefonach udało mu się zastać Blacka i po raz wtóry z nim umówić. Profesor tłumaczył zwłokę nadmiarem zajęć, był uprzejmy jak zwykle, niemal serdeczny. Rosta postanowił przyjąć ten sam ton.

Gdy jednak spotkali się znów w gabinecie profesora, przyszła chwila, kiedy kapitan uznał, że czas wyłożyć karty na stół. Tylko zaskoczenie mogło skłonić Blacka do mówienia. Rosta był przekonany, że ten człowiek nade wszystko obawia się kompromitacji.

— Panie profesorze — zaczął kapitan. — Przykro mi, ale ostatnim razem nie był pan ze mną zupełnie szczerzy.

— Czy być może? — zdumiał się Black. — To chyba jakieś nieporozumienie.

— Szanuję pana intencje. Jest pan z natury człowiekiem dyskretnym, który nie ma zwyczaju zdradzać sekretów ani własnych, ani tym bardziej cudzych. Zwłaszcza sekretów kobiet.

— Nie bardzo pana rozumiem — wtrącił Black. — Czy nie zechciałby pan wyrażać się jaśniej?

— Zaraz to uczynię. A więc, panie profesorze, raz jeszcze zmuszony, jestem zapytać, jakie kontakty łączyły pana z Paulą Piano.

Black zachnął się.

— Ach, zamierza pan wrócić do tego tematu. Jak się domyślam, ciągle macie panowie trudności z ujęciem sprawy. Ale to chyba nie powód, aby pan odwiedzał mnie powtórnie i zadawał mi te same pytania.

— Niezmiernie mi przykro, że zajmuję panu cenny czas. Ale taka jest właśnie nasza praca: nużąca, mrówcza, często niewdzięczna.

— Rzeczywiście, jeśli prowadzi pan tak drobiazgowo śledztwo i parokrotnie rozmawia nawet z tymi, którzy znali pieśniarkę tylko przelotnie... Współczuję panu.

— Pan podtrzymuje swoje twierdzenie, że znał ją pan tylko przelotnie? — nacierał Rosta.

— Jakże mogło być inaczej? — Black rozłożył ręce.

— Tak... panie profesorze, to doprawdy niemiła dla mnie sytuacja. Jestem w posiadaniu dowodów, że znał ją pan bardzo dobrze.

Black uśmiechnął się ironicznie.

— Ciekaw jestem, jakie to dowody.

Kapitan Rosta bez słowa otworzył teczkę i wyjął kilka zdjęć fotograficznych. Wziął jedno z nich i położył przed Blackiem na niewielkim stoliczku, który ich dzielił. Black pochylił się nad zdjęciem, Rosta patrzył, jak zmienia się jego twarz. Widział żyły występujące na szyi nad nieskazitelną bielą kołnierzyka. Trwało chwilę, zanim przemówił.

— Skąd pan to ma? — zapytał nieswoim głosem.

— To obojętne — rzucił niedbale Rosta. — Nie zaprzeczy pan chyba, że na fotografii jest pan z Paulą Piano. W sytuacji wskazującej na dość bliski charakter znajomości. Podobnych zdjęć mam więcej.

Wyjmował je i kolejno kładł przed profesorem. Paula i Black trzymając się za ręce wychodzą z jeziora, Paula i Black siedzą przy stoliku w kawiarence pod gołym niebem, Paula i Black koło samochodu przed motelem.

— Kto to robił? — zapytał profesor ochryplym głosem. — Milicja? Jestem tu śledzony?

— Niech się pan uspokoi, profesorze — powiedział Rosta. — Nikt pana nie śledził poza pewnym panem, któremu Paula Piano zrobiła zawód. Nie przewidział, że te zdjęcia mogą do nas trafić.

— Ciekawe — mruknął Black.

Rosta obserwował go i podziwiał, z jakim wysiłkiem stara się zapanować nad swoim wzburzeniem.

— Jestem też w posiadaniu pewnego liściku, który napisał pan do zmarłej. — Rosta znów grzebał w swojej tezcze. — Proponował pan jej spotkanie w piątkowe popołudnie.. Był to już piątek, którego nie dożyła.

Black ujął podaną sobie kartkę i przyglądał się jej bezmyślnie.

— Co pan chce wiedzieć? — zapytał w końcu.

— Pragnę — Rosta starał się nadać swemu głosowi

uspokajające brzmienie — aby mi pan opowiedział historię waszej przyjaźni. Widzi pan, dla nas jest ważny każdy szczegół.

Black nie odpowiadał.

— Domyśla się pan, że nie chciałbym, aby ta historia nabrała rozgłosu — powiedział wreszcie. — Wyobrażam sobie, jaką sensację mogłaby wywołać w pewnych kręgach. A gdyby trafiła do prasy...

— Nic z prowadzonego przez nas śledztwa nie przenika do prasy, chyba pan to zauważył. I w tym wypadku mogę zapewnić panu całkowitą dyskrecję.

— Cóż — odparł Black — zmuszony jestem panu wierzyć. Zresztą wie pan już tyle... Niewiele mam do dodania. Paulę Piano poznałem rzeczywiście za pośrednictwem dyrektora Borysa, jak to panu zresztą opowiadałem. Spodobała mi się i zapragnąłem znów ją zobaczyć. Zatelefonowałem do niej do teatru i umówiliśmy się. Przyjechałem po nią po przedstawieniu, zaparkowałem wóz w odpowiedniej odległości, nie chciałem być widziany, i czekałem. Przyszła, pojechaliśmy na spacer i tak się zaczęło. Moja sytuacja w tutejszym środowisku naukowym zmuszała mnie do utrzymywania tej znajomości w całkowitej tajemnicy, Paula na szczęście to rozumiała. Nie pokazywaliśmy się razem nigdzie, nigdy też nie chodziłem do jej mieszkania, byłem więc przekonany, że przy zachowaniu takich środków ostrożności ta zażyłość pozostanie wyłącznie naszą sprawą.

— Gdzie się pan z nią spotykał?

Black znów się wahał, jakby z sobą walczył.

— Cóż, powiem panu i to — odezwał się po chwili. — Wynająłem w tym celu pokój na Grochowie. Widywaliśmy się tam dwa razy w tygodniu. Umawialiśmy się najczęściej przez telefon, parę razy listownie. Ostatni bilecik, ten, który pan tu ma, posłałem do teatru. Kilka razy też z nią wyjeżdżałem. W takich wypadkach spotykaliśmy się zawsze już za miastem. Unikałem hoteli, a jeśli czasem przyszło nam gdzieś nocować, udawaliśmy, że przyjeżdżamy oddzielnie. Paula pomagała mi w tej konspiracji, choć chwilami wydawało mi się, że ją to męczy. Ta dziewczyna przywiązała się do mnie.

— A pan nie miał jej zbyt wiele do zaoferowania. Czy zastanawiał się pan kiedyś, jak to się skończy?

— Takie rzeczy przecież zawsze jakoś się kończą. Dopóki trwają, staram się o tym nie myśleć. Próbowałem też wynagrodzić Pauli sytuację, w jakiej znalazła się przeze mnie. Nie była to dziewczyna, która potrzebowałaby pomocy materialnej, ale widziałem, że różne dowody pamięci ją cieszą.

— Zwłaszcza kwiaty... kosze czerwonych róż — wtrącił Rosta.

— Tak, róże. Lubilem posyłać jej róże.

— O przyszłości nie rozmawiali państwo nigdy? Paula nie poruszała tego tematu?

— Panie kapitanie, ja nie dysponuję swoją przyszłością. Jestem żonaty od dwudziestu czterech lat i nie zamierzam opuścić mojej żony. Paula doskonale o tym wiedziała, choć nigdy wyraźnie jej tego nie powiedziałem.

— Sądzi pan, że znosiła to pogodnie? Nie dochodziło nawet do aluzji na temat pana sytuacji osobistej?

Black splótł ręce i położył je na kolanach. Myślał o czymś i zastanawiał się, jak sformułować tę myśl.

— Nie chciałbym wspominać — rzekł wreszcie. — Doprawdy, przychodzi mi to ciężko, ale ja nie krępowałem Pauli w niczym. Wiedziałem, że ma rozmaitych wielbicieli, przyjaciół...

— I nie czynił jej pan wyrzutów z tego powodu? — domyślił się Rosta.

— Nie, nigdy.

— To bardzo szlachetnie z pana strony — głos kapitana nie pozbawiony był ironii. — Będąc w tak bliskiej przyjaźni z Paulą Piano, orientował się pan również zapewne, jakich ma wrogów?

— Nie, o tym nie rozmawialiśmy. Ale nie sądzę, żeby ich miała.

— Nie przypuszcza pan chyba, że zabił ją przyjaciel.

— To oczywiste. Wie pan, ta sprawa jest dla mnie ogromnie zagadkowa, niewytłumaczalna...

— Panie profesorze, czy pańska żona nie była zazdrosna o Paulę Piano? — zapytał nagle kapitan Rosta.

— Moja żona? — zachnął się Black. — Skądże! Przecież ona

nic o tym wszystkim nie wiedziała.

Rosta przyglądał mu się z powątpiewaniem.

— Kobiety w takich sprawach mają szósty zmysł — powiedział wolno.

— Martine... to jest moja żona, absolutnie nie domyślała się niczego — upierał się Black. — Opowiadałem panu przed chwilą, jakie zachowywałem ostrożności, żeby się niczego nie dowiedziała. Nie chciałem zakłócać jej spokoju — mówił gorączkowo. — Kobiety w wieku mojej żony znoszą bardzo źle flirty męża z młodymi dziewczętami. Stąd szczególna moja troska, aby ukryć przed nią stosunek z Paulą. Powtarzam panu, Martine nie wiedziała o niczym, absolutnie o niczym... — Black mówił teraz nerwowo, niemal gorączkowo. Rosta przyglądał mu się z zainteresowaniem.

— Dlaczego w takim razie pańska małżonka wyjechała tak nagle? — zapytał.

— Och, nie rozumiem, dlaczego kojarzy to pan z osobą Pauli — Black mówił ciągle zbyt szybko. — Przecież tu nie ma żadnego logicznego związku. Gdyby wiedziała cokolwiek, wyjechałaby raczej za jej życia.

— Pani Black należy do -kobiet, które w takich sytuacjach usuwają się w cień? — indagował Rosta.

Myślał o tym, co przed paru dniami powiedziała mu gospodyni Blacków.

— Nie było żadnej potrzeby, aby usuwała się w cień — Black wydawał się nieco urażony. — Jest przecież moją żoną...

— Dlaczego w takim razie wyjechała?

— Żona bardzo często jeździła do Paryża — zapewnił Black. — Mamy tam syna. Po prostu zapragnęła go zobaczyć. Nic bardziej naturalnego u matki. Pańskie zainteresowanie jej wyjazdem nie ma doprawdy związku ze sprawą, którą pan prowadzi. Podobnie zresztą jak i to, co mnie łączyło z Paulą Piano. Nie bardzo pojmuję, dlaczego przy okazji prowadzenia śledztwa wyciąga się sprawy osobiste, wręcz intymne. Chce pan ująć zbrodniarza — w porządku. Ale dlaczego zapomina pan o szacunku nawet dla zmarłej?

— Nie jest to zajęcie miłe również i dla mnie — zapewnił

kapitan Rosta. — Ale należy do moich obowiązków. Kiedy prowadzimy jakąś poważną sprawę karną, zawsze staramy się poznać życie zarówno sprawcy, jak i ofiary. W wielu wypadkach pomaga nam to w odnalezieniu bardzo istotnych wątków.

— W tym wypadku jedno z drugim nie ma nic wspólnego — upierał się Black. — Stara się pan dowiedzieć wszystkiego o Pauli Piano. Nawet rzeczy, które ona sama pragnęłaby zachować w tajemnicy. Najzupełniej niepotrzebnie.

Rosta uznał, że pora odejść.

— Tak — odrzekł. — Różnimy się w poglądach na tę kwestię. Ale my mamy swoje zasady postępowania, podyktowane potrzebami śledztwa.

— Doceniam te intencje i starałem się panu pomóc.

— Dziękuję w imieniu służby — odrzekł kapitan Rosta.

Czyżby ten człowiek również podejrzewał swoją żonę? — rozmyślał kapitan Rosta wracając do komendy. Za taką koncepcją przemawiał sposób, w jaki Black osłaniał żonę i dążył do usunięcia jej osoby na daleki plan. Kto wie, może to on sam namówił ją do wyjazdu uważając, że lepiej będzie, jeśli zniknie z pola widzenia? Czy rozmawiali otwarcie na ten temat? Nie miał możliwości dowiedzenia się tego, pomimo niewątpliwej gadatliwości pani Wątróbskiej. Musiał poprzestać na domysłach i podejrzaniach. Nie wykluczone też, że Black po prostu obawiał się wybuchu skandalu i nieopanowanego zachowania żony. W świetle tego, co wiedział na temat Martine, było to zupełnie prawdopodobne. Już fakt ujawnienia jego romansu, który ukrywał z taką pieczołowitością, musiał wytrącić profesora z równowagi. Rosta zastanawiał się, czy samemu Blackowi również nie przyjdzie do głowy, że wyjazd i dla niego będzie najlepszym wyjściem. Nie było to wprawdzie proste, ale lepsze od kompromitacji, którą wywołałby fakt zamieszania jego i żony w sprawę zabójstwa. Zatrzymanie Blacka w Polsce było praktycznie niemożliwe; z racji swego statusu dyplomatycznego nie podlegał, podobnie jak żona,

sądom polskim i mógł odpowiadać za swój czyn jedynie w kraju, którego jest obywatelem. Naturalnie w razie zgromadzenia niezbitych dowodów winy. Dowodów takich wciąż brakło i Rosta nie miał wielkiej nadziei na ich odnalezienie. Definitywnym rozwiązaniem sprawy mogłoby być odszukanie pistoletu FN kaliber 6.35. A na to nie było wielkich szans. Jeśli Martine Black posłużyła się swoją sportową bronią, z pewnością zatroszczyła się również o jej zniszczenie. Martine Black. Mogła być gwałtowna, awanturnicza i chorobliwie zazdrosna, czy jednak zdolna była do pociągnięcia za spust pistoletu, aby zgładzić dziewczynę, która była jedną z wielu w życiu jej męża? Nie miał tej pewności i obsesyjnie niemal powracał myślą do koncepcji strzelającego mężczyzny. Ale znów przeciw Martine Black przemawiało tak wiele... A przede wszystkim jej powszechnie znane sukcesy w strzelectwie, o których wiedziała nawet gosposia. Czy porwałaby się jednak na podobny czyn? Zwłaszcza po pogroźkach rzucanych w obecności garderobianej? Czy kiedykolwiek sprawa wyjaśni się do końca, nawet jeśli Martine Black wróci do Polski?...

Prosto z miasta kapitan Rosta wstąpił do majora Barteckiego. Major wysłuchał go w milczeniu i popadł w zadumę.

— Cóż — przemówił wreszcie. — Obawiam się, że będziemy musieli zastosować drastyczne środki. Zbyt wiele przemawia za Martine Black. Nawet to, że jest kobietą, ułatwiło jej wejście na budowę i przedostanie się z powrotem już po oddaniu, strzału. Nikt nie zwrócił uwagi na dystygowaną starszą panią, nawet jeśli musiała przedrzeć się przez tłum.

— Trzeba postarać się o zdjęcie Martine Black — wtrącił Rosta — i pokazać je świadkom, którzy kręcili się koło miejsca zbrodni. Może ktoś ją sobie przypomni.

— Na premierze jej nie było — powiedział major Bar-tecki. — To też mogło być celowe, bo należy przypuszczać, że Borys jak zwykle ich zaprosił. Tego wieczoru pani Black nie chciała być widziana...

— Jeśli ona z własnej i nieprzymuszonej woli nie wróci do Warszawy — zauważył Rosta — nic to wszystko nie da. A jeśli wróci, wątpliwe, czy przyzna się do czegokolwiek.

— Przeprowadzenie rewizji u Blacków nie wchodzi w rachubę — ciągnął major. — Choć nie jestem pewny, czy nie znaleźlibyśmy w jakiejś szufladzie spokojnie leżącej małokalibrowej efenki.

— Osobiście wątpię — odrzekł Rosta. — Obywatelu majorze, mam pewien pomysł... .

— Pomysł? — podchwycił Bartecki.

— Pamiętacie tego młodego dziennikarza — on się nazywa, zdaje się, Bujnowicz — który był tu z Kurmanem natychmiast po zabójstwie Piano?

— Pamiętam — przytaknął Bartecki. — To ten, który o mało nie przysporzył nam kłopotów notatką w Echu?

— Ano właśnie. Proponuję, żebyśmy go wykorzystali.

— Ale do czego? — zdziwił się major.

— Myślę, że byłoby dobrze — kontynuował swą myśl Rosta — gdyby on teraz zamieścił taką notatkę na podstawie informacji, których mu udzielimy. Powiemy mu, że mamy kogoś mocno obciążonego, kto został aresztowany, a on to ogłosi.

— Hm, ryzykowna gra... — mruknął major Bartecki.

— Taka notatka nie będzie przecież wiele mówiła, a uspokoi osoby, które mają powody do lęku. Mam na myśli przede wszystkim Blacków. Skoro podejrzany będzie ujęty, uznają sprawę za skończoną. To może wiele dać. Black poinformuje o nowej sytuacji swoją żonę a ona zapewne wróci tu wtedy, aby do reszty rozwiać wątpliwości.

— Może macie rację — zastanowił się major Bartecki. — Wiecie, kolego, to chyba da się zrobić.

— Zadzwońię do redakcji Meteora, aby znaleźć Bujnowicza — rzekł kapitan Rosta sięgając po słuchawkę telefoniczną. — Ta wiadomość może ukazać się jeszcze dziś w wydaniu wieczornym.

Porucznik Olski studiował właśnie ekspertyzę nadesłaną przez zakład kryminalistyki. Przesłana tam łuska pistoletowa była przyrównywana do dwóch pistoletów FN o tym samym

kalibrze, które niedawno odebrano u sprawców napadu na bank w D. W ostatnim okresie przeszukano mieszkania wielu ludzi ze świata przestępczego, a także paru stałych recydywistów, którzy po odcierpieniu kary znaleźli się na wolności. Poszukiwanego pistoletu nigdzie jednak nie udało się odnaleźć. Zabójca zapewne postarał się o to, by go odpowiednio ukryć lub zniszczyć, i Medytacje Olskiego na ten temat przerwał sierżant Boczek, który zapukał do drzwi.

— Obywatelu poruczniku — powiedział. — Interesantka. Upiera się, że chce mówić tylko z wami.

— Kto to taki? — zapytał porucznik Olski. unosząc głowę znad papierów, choć pytanie było właściwie zbędne.

— Taka ślicznota, co tu już przychodziła — odparł sierżant Boczek, przymrużając jedno oko, co zirytowało Olskiego. — Oczywiście w sprawie służbowej.

— Prosić — powiedział krótko.

Jak się spodziewał, do pokoju weszła Julia Gałcz. Stała w progu stremowana jak zwykle, czekając na słowo zachęty.

— Co nowego — powitał ją Olski. — Znowu dostała pani pocztę? Widzę, że pani życzy sobie| abym przeglądał całą jej korespondencję — zażartował.

— Nie chciałam naprzykrzać się panu — powiedziała zbolalym głosem. — Wczoraj byłam tu także i wcale do pana nie wstąpiłam. Zniosłam list prosto do operacyjnego. Ale tamci panowie nie przejmują się tym wcale. Patrzą na mnie tak jakoś dziwnie. Jakbym była niespełna rozumu.

— Wczoraj też dostała pani list? — machinalnie zapytał Olski.

— Dostaję codziennie albo prawie codziennie — poprawiła. — Nie mogę tak żyć...

Przysiadła na krzeselku przed jego biurkiem i widział, że drżą jej kąciki ust.

— Znikąd pomocy, znikąd rady — poskarżyła się. — Matce nic nie mówię, nie chcę jej straszyć, ona myśli, że jestem chora, bo już jeść nie mogę, a w nocy ciągle się budzę.

— To niedobrze — dobrodusznie zganił ją Olski.

— Czy miałby pan apetyt, gdyby czyhała na pana śmierć?

— Niech no pani pokaże ten list — odezwał się wyciągając do

niej rękę.

Otworzyła torebkę i wyjęła kopertę zaadresowaną tym samym, znajomym pismem.

„Może myślisz, że to żarty, bo darowano ci jeszcze parę dni — pisał autor anonimu, jakby czytając w myślach porucznika. — Jednego możesz być pewna. Zginiesz z mojej ręki”.

— Dalej pani niczego się nie domyśla?

Potrząsnęła głową.

— Czy pan... pan ciągle odmawia mi swojej pomocy? Czy nie może pan przydzielić kogoś, kto zapewni mi bezpieczeństwo choć na parę najbliższych dni?

— Zastanowię się nad tym — powiedział Olski sięgając po słuchawkę telefoniczną.

Połączył się z grupą operacyjną i usłyszał głos porucznika Niebory.

— Jest u mnie pani Gałcz — powiedział. — Znów kieruję ją do was. Pani Gałcz otrzymała nowy anonim.

— Człowieku — usłyszał głos kolegi — to jakaś rozhisteryzowana babka. Sprawdziliśmy różne rzeczy, nic jej nie zagraża. Jeżeli wpadniesz do mnie na dwie, trzy godzinki, wytłumaczę ci, dlaczego.

— Dobra — odparł krótko Olski. — Ale teraz ją przyjmij.

— Dla ciebie, stary, gotów jestem i to zrobić. Zresztą chętnie oglądam ładne buzie.

— Cześć — powiedział Olski i odłożył słuchawkę.

Dziewczyna swoim zwyczajem wpatrywała się w niego.

— Może zechce pani przejść do pokoju, w którym była pani wczoraj — powiedział.

Jej spojrzenie krępowало go i męczyło, choć obecność tej dziewczyny bynajmniej nie była mu przykra. Gdy sprawa się wyjaśni — pomyślał — nie będzie chyba nic niewłaściwego w zaproszeniu jej na kieliszek wina...

— Czy nikt, nikt się mną nie zaopiekuje? — znów powtórzyła swoje pytanie.

— Pomyślę o tym — obiecał. — Niech pani będzie spokojna.

Po jej wyjściu wezwał sierżanta Boczka.

— Chciałbym, abyście zajęli się dziewczyną, która tu była

przed chwilką — powiedział. — Nazywa się Julia Gałcz i mieszka na Wilczej 69. Sprawdźcie, który z naszych wywiadowców jest wolny. Niech zwróci uwagę, czy kto nie obserwuje jej i nie kręci się kolo domu.

— Tak jest, obywatelu poruczniku — powiedział Boczek. — Postaram się, by jej strzegł jak najcenniejszego skarbu.

— To nie jest okazja do żartów, Boczek — surowo powiedział Olski. — Tej dziewczynie, być może, grozi niebezpieczeństwo.

— Tak jest — powtórzył Boczek.

— Aha, jeszcze jedno. Nie mówcie o tym chwilowo nikomu — dorzucił Olski, gdy sierżant był już w drzwiach.

29

Misza Bujnowicz wchodził na schody swojego domu z cicha podśpiewując. Jego dobry humor wzmagał alkohol szumiący w żyłach. Pił rzadko i tylko przy specjalnych okazjach, ale dziś okazja właśnie się nadarzyła. Wychodząc z redakcji Echa, zaprosił więc na ćwiartkę pannę Krysie, śliczną maszynistkę, która przepisywała dostarczoną przez niego notatkę.. Choć naczelny odniósł się do rewelacji Miszy początkowo nieufnie, nastawienie jego uległo radykalnej zmianie po krótkiej rozmowie z komendą. Major Bartecki zapewnił go, że osobiście udzielał Miszy informacji i że nie ma przeszkód, aby były one wykorzystane w Echu. Wzbraniał się tylko przed podaniem nazwiska podejrzanego, ale przyrzekł, że gdy tylko stanie się to możliwe, poda je do wiadomości czytelników popularnej popołudniówki. Przedtem jeszcze zapewnił Miszę, że uzyska wszelkie informacje, jakich tylko komenda będzie mogła udzielić w trakcie toczącego się śledztwa. Młody dziennikarz zaczął więc już sobie wyobrażać artykuł o śmierci Pauli Piano, który wstrząśnie Warszawą. Wprawdzie, jak to zazwyczaj bywa, sensacja przycichła i przesłoniły ją inne wydarzenia, tajemnica zabójstwa słynnej pieśniarki nie przestawała jednak nadal interesować ludzi. Wokół tragedii z ulicy Oleandrów narosły rozmaite plotki i legendy, a każdy na swój sposób starał się rozwiązać tę ponurą zagadkę.

Gdy otwierał z klucza mieszkanie, ujrzał uchylające się naprzeciw drzwi Krochmalskiego. Sąsiad patrzył na niego i wyraźnie na coś czekał. Misza ucieszył się, że wieczór nie jest jeszcze skończony.

— Niech pan wejdzie — zachęcił. — Coś panu powiem.

— Co takiego?

— Jutro rano w Echu ukaże się sensacyjna wiadomość.

— Och, a jaka? — zainteresował się Krochmalski.

— Ja im ją dałem.

— Ale nie mówi pan, o czym.

— O sprawie Pauli Piano. Wie pan, mają już zabójcę.

— Już raz mi pan to mówił — na twarzy Krochmalskiego odbiło się rozczarowanie.

— Teraz wiem na pewno — Misza rozsiadł się w fotelu i patrzył na sąsiada z wyższością.

— Prowadzi pan dalej śledztwo?

Misza strzepnął palcami.

— Gdzie tam. Milicja zwróciła się do mnie. Powiedzieli, że im przykro, że mi wtedy zatrzymali taką fajną wiadomość, i że teraz mogą ją ogłosić, bo naprawdę kogoś mają.

— Powiedzieli panu, kogo? — indagował Krochmalski.

— Chwilowo nie. Ale wkrótce będę wszystko wiedział.

— Przyznał się? — Krochmalski wydawał się ogromnie zaciekawiony.

— Widać od razu, że pan nigdy nie miał z nimi wiele wspólnego, panie Wiesławie. Panu się wydaje, że oni odpowiadają na pytania. Nic podobnego. „Chwilowo nie podamy do wiadomości publicznej dalszych informacji. Więcej ujawnić nie możemy” — oto wszystko, co usłyszałem.

Ale i tak sukces jest.

— Naturalnie — przyznał Krochmalski. — Szczerze panu wieszczę, teraz będzie mógł pan przystąpić do pisania swojego artykułu. Uzyska pan dane z pierwszej ręki.

— Napijemy się? — zapytał Misza.

— Kieliszeczek nie zawadzi — odparł Krochmalski. — Dobrze, że go już mają.

— Pewnie, że dobrze. Taka zbrodnia w środku wielkiego

miasta, na oczach tylu ludzi nie może przecież pozostać bezkarna.

— Pewnie, że nie, to obraża poczucie sprawiedliwości.

— Wyraża się pan pompatycznie, panie Wiesławie. Lepiej napijmy się — zachęcił Misza napełniając kieliszki i podając jeden z nich Krochmalowskiemu.

— Za ten pana artykuł. Żeby się ukazał jak najprędzej.

— Przedtem śledztwo musi być skończone — pouczył go Misza. — Ale jestem pewny, że to nastąpi już niedługo. Inaczej nie puszczałiby farby.

— Ma się rozumieć — przytaknął Krochmalowski. — A wie pan, już się bałem, że go nie znajdą... tego przestępcy.

— Dlaczego tak się panu zdawało?

— I tak czasem bywa. Wtedy mówi się o zbrodni doskonałej.

— Widzę, że pan obczytał się w kryminałach, panie Wiesławie. Takie wypadki zdarzają się najczęściej w powieściach. W życiu trudniej zatrzeć po sobie ślady. A zresztą każdy przestępca popełnia jakiś błąd, który go zdradza.

— Może ma pan i rację, panie Misza — przytaknął Krochmalowski. — Ale o tym błędzie to pan chyba też przeczytał w jakiejś książce.

Bujnowicz znów napełnił kieliszki. Wziął swój i uniósł do góry.

— Ciekaw jestem, kto to jest ta dziewczyna, taka podobna do Pauli Piano? — odezwał się po chwili. — Nie udało mi się jej więcej spotkać.

— Pan chyba przesadza z tym podobieństwem — odparł Krochmalowski. — Czarna jak tamta i wysoka, ale to wszystko.

— A jednak jej widok na pana także zrobił wrażenie. Aż pan za nią polecał... — upierał się Misza.

— W pierwszej chwili i owszem — przyznał Krochmalowski. — Ale jak się lepiej przyjrzałem, uznałem, że to nonsens. — Takich dziewcząt w Warszawie ma pan na pęczki.

— Paula miała w gruncie rzeczy pospolitą urodę — zastanowił się Bujnowicz. — Ale coś w niej było.

— Pewnie to, co my, mężczyźni, nazywamy seksem — dokończył Krochmalowski.

— Ale' tamta, ta druga, też się panu podobała — Misza powrócił do tego samego tematu. — Na jej widok aż się pan zmienił na twarzy. Dobrze pamiętam.

— Za dużo pan wypił — odciął się Krochmalcki. — Albo ma pan za dużo wyobraźni. Zwłaszcza w pewnym kierunku.

30

Porucznik Olski siedział od dłuższej chwili w pokoju porucznika Niebory z sekcji operacyjnej. Za oknem zapadał zmrok, ale oni tego nie zauważyli.

— Kiedy skierowałeś ją do nas, od razu zrobiła na mnie dziwne wrażenie — mówił Niebora. — Można było przypuszczać, że naprawdę się boi, tak byłem przekonany, że jej strach jest autentyczny, ale to, co mówiła, nie miało większego sensu. Jej zapewnienia, że nie ma pojęcia, kto napisał anonim, wydały mi się nieprzekonywujące. Zgodzisz się chyba ze mną, że ludzie na ogół znają swoich wrogów i doskonale wiedzą, kto im zagraża. Ta dziewczyna opowiadała o swoim życiu jak o sielance. Kochający narzeczony, kochająca mama, dobra praca. Z jednej strony wszystko cacy, a z drugiej — anonimy, w których ktoś grozi jej śmiercią. Dziewczyno, zginesz... Coś się tu nie zgadza.

— Sytuacji takiej nie można wykluczyć. Może ta dziewczyna nie umie wskazać osoby, ale czuje, że ktoś jej zagraża. A może wie kto i nam nie chce o tym powiedzieć. Właśnie nad tym się zastanawiałem — przerwał Olski.

— Pozwól mi skończyć. Otóż, rzecz jasna, nie daliśmy jej ochrony, robimy to tylko w poważnych wypadkach. Podjęliśmy natomiast szereg czynności sprawdzających, jak zazwyczaj. Ustaliliśmy, że rzeczywiście mieszka z matką, ma narzeczonego, nawiasem mówiąc bardzo przyzwoitego chłopca, technika w przedsiębiorstwie budowlanym, i że pracuje w biurze pisania podań, gdzie są -z niej zadowoleni. Tryb życia prowadzi bardzo skromny, wychodzi wyłącznie z narzeczonym i wygląda na to, że poważnie traktuje plany matrymonialne. Ale nie zawsze panna Julia była taka poprawna i cicha. Z

informacji, które zebraliśmy, wynika, że miała sporo przygód z mężczyznami i nawet przeżyła dłuższy romans z jakimś mężczyzną znacznie od siebie starszym i prawdopodobnie zonatym. Nie ustaliliśmy, kto to taki, bo od niej samej nie można się nic dowiedzieć. Uznaliśmy jednak za mało prawdopodobne, aby któryś z tych dawnych wielbicieli jej zagrażał. Dozorczyni powiedziała, że oprócz narzeczonego od dawna nikt się u niej nie pokazuje, nigdy też nie słyszała żadnych awantur ani nic, co mogłoby zwrócić jej uwagę. Uznaliśmy przeto, że albo ktoś straszy tę dziewczynę dla samej przyjemności, albo ona pragnie w ten sposób zwrócić na siebie uwagę otoczenia...

— Nie rozumiem — powiedział Olski. — Przecież otrzymuje anonimy...

— Drogi Janku, mówisz tak, jakbyś nigdy nie pracował w milicji i nie widział w swojej praktyce najdziwniejszych przypadków. Wiesz dobrze, że są ludzie, którzy sami piszą do siebie anonimy — ciągnął Niebora nie zwracając uwagi na zmarszczone brwi Olskiego. — Jeśli ktoś żali się, że otrzymuje listy z pogrózkami w taki sposób, w jaki zrobiła to ta twoja Julia Gałcz...

— Jaka moja? — zachnął się Olski.

— Słuchaj i nie przerywaj. Otóż w takim wypadku od razu badamy, czy nie pisze ich sam do siebie. Z nią postąpiliśmy podobnie. Osobiście poprosiłem ją, aby napisała doniesienie. Siadła tutaj i uczyniła to własnoręcznie, a my jej pismo wraz z anonimami przesłaliśmy do ekspertyzy. Oto masz jej wynik — dokończył sięgając do szuflady swego biurka. Wyjął z niej zieloną tekturową teczkę i rozłożył przed kolegą.

— Zobacz, a potem będziemy dalej rozmawiali — zaproponował.

Olski pochylił się nad dokumentem. Przez dłuższą chwilę przyglądał się powiększonym literom, które poddano bezlitosnej analizie. Nie ulegało wątpliwości. Śliczna, czarnowłosa Julia Gałcz sama pisała te listy.

— Jak myślisz, po co? — zapytał Olski. — Dlaczego to robiła i czemu przychodziła z tym do nas? Dlaczego prosiła o ochronę

w taki sposób, jakby błagała o życie?

Niebora wzruszył ramionami.

— Nie jestem jasnowidzem, mój drogi. Anonimami zajmuję się już parę ładnych lat, dlatego mogę ci tylko naświetlić tę sprawę na podstawie mego doświadczenia. Koncepcji naturalnie może być kilka. Najprawdopodobniej dziewczyna chce zwrócić na siebie czyjąś uwagę i zainteresowanie. Może to sposób, aby jeszcze bardziej kochał ją narzeczony? Albo żeby przyspieszyć ślub?

— Nie mogę w to uwierzyć — powiedział Olski.

— Takie dziewczyny, pozornie bardzo skromne i ciche — kontynuował Niebora — marzą o tym, żeby czymś zabłysnąć, czymś się wyróżnić. Anonimy może miały kreować ją na bohaterkę romansu. Mogła w ten sposób imponować wielu osobom. Także koleżankom w pracy.. Gdy o tym mówiła, przenikał je niepokojący dreszczyk. Wiesz, że to teraz modne.

— Nie przyszłoby do nas — potrząsnął głową Olski.

— Nie spodziewała się, że ją tak szybko rozszyfrujemy. Nie wzięła tego w ogóle pod uwagę.

— A może ona jednak czegoś się boi — nie dawał za wygraną Olski. — Jej strach był taki nieudawany...

— Może przeczytała w gazetach o zabójstwie Pauli Piano i też zapragnęła być gwiazdą. Na pewno świetnie zdaje sobie sprawę, że jest do niej podobna. Musiało jej to mówić wiele osób, zwłaszcza w ostatnim czasie. A jeśli, jak ty powiadasz, kogoś obawia się naprawdę, myślę, że następna rozmowa z nami skłoni ją do wyjawienia tego sekretu. Ostatecznie wprowadzanie władzy w błąd jest karalne i takie numery nie przechodzą na sucho. Chyba że jest chora psychicznie, bo i to brałem pod uwagę. W takim wypadku może uważać, że grozi jej coś irracjonalnego, a wiedząc, że nikt w to nie uwierzy wyłącznie na jej piękne oczy, pisze do siebie anonimy, aby uprawdopodobnić swe lęki. W każdym razie, gdy znów się tu zjawi z następnym listem, potraktuję ją ostro, jak na to zasługuje.

— Słuchaj — głos Olskiego zdradzał rozterkę wewnętrzną. — Nie rób tego. Ja czuję, że coś w tym jest.

— Wiesz, Janek, pozostań przy swoich zabójstwach. Tę sprawę powierz mnie. A propos, jak idzie z zabójcą Piano? Kiedy będziesz go miał?

— Jeżeli mam być szczery, to nie wiem. To wyjątkowo trudna sprawa. Zamieszane są w nią osoby, z którymi musimy pracować w rękawiczkach.

— Przychodzi mi na myśl, że jesteś tak zaabsorbowany sprawą Piano, że ta dziewczyna kojarzy ci się z tamtą poprzez swoje podobieństwo. I dlatego skłonny jesteś demonizować. A najprawdopodobniej mamy do czynienia ze zwykłą histeryczką, której należy utrzyć nosa.

— Nie pognębiaj jej do reszty. Jestem przekonany, że ona boi się kogoś. Jest za młoda i za mało wyrobiona, żeby tak dobrze udawać.

— Chyba że wrodzony talent — zażartował Niebora. — Nie martw się, nie zrobimy jej krzywdy. Dla ładnych kociaków możemy być nieco względniejsi. Będziemy pobłażliwi, ze względu na jej młody wiek, brak doświadczenia i, jak się domyślam, dotychczasową niekaralność — w tonie jego brzmiała drwina. — A swoją drogą opowiem ci dokładnie o przebiegu naszej rozmowy.

— Jeśli w ogóle ona się tu jeszcze pokaże.

— O to możesz być spokojny.

31

Notatka zamieszczona w Echu przez Miszę Bujnowicza ukazała się następnego, popołudnia i rzeczywiście wywTo- łała sporo szumu.

— A więc mają go — mówili ludzie w tramwajach i autobusach wracając z pracy.

Wszyscy zastanawiali się, kto też może- być zabójcą pieśniarki, ulubienicy publiczności.

Beata Kalska, skoro tylko dostała Echo, natychmiast zadzwoniła do Murkowskiego.

— No, Florian — powiedziała pogodnie. — Chyba już więcej nie będziesz wzywany na przesłuchania. — Mają go, wiesz?

— To się jeszcze okaże — burknął Murkowski. — Może aresztowali jakiegoś niewinnego człowieka i za parę tygodni go zwolnią.

— Nie zapatruj się na wszystko tak sceptycznie — zganiała go. — Mówiłam ci, że tak się skończy.

Miasto szumiało, wiele osób dzwoniło do komendy wyrażając milicji swoje uznanie. Major Bartecki był tym zdenerwowany.

— Boję się, że zagrałiśmy zbyt grubo i że, co gorsza, ta gra nie da rezultatu — powiedział do kapitana Rosty.

— Nieraz przecież tak się zdarza, że zatrzymuje się kogoś, kto potem zostaje zwolniony — odezwał się kapitan. — Myślę, że w gruncie rzeczy ryzyko nasze nie jest zbyt wielkie, a ja jednak spodziewam się korzyści. Porucznik Olski od paru godzin jest w teatrze. Na wszelki wypadek zleciłem mu obserwację tamtego środowiska. Co do Murkowskiego, to ciągle jeszcze nie występuje.

— Dziwny człowiek — zauważył major Bartecki — ale dowodów przeciwko niemu nie mamy.

Był już wieczór, gdy w pokoju kapitana Rosty odezwał się telefon. Podjął słuchawkę i usłyszał głos profesora Blacka.

— Dzwonię, żeby panu pogratulować, kapitanie — powiedział, a gdy Rosta podziękował, ciągnął dalej: — Cieszę się bardzo, że zbliżacie się do końca śledztwa, i sądzę, że teraz uzna pan słuszność mojego poglądu, że nie należało zbyt gorliwie roztrząsać pewnych ludzkich spraw.

— Rozmawialiśmy prywatnie, panie profesorze — odparł uprzejmie.

— Naturalnie, naturalnie — potwierdził tamten. — Jestem przekonany, że treść naszych rozmów pozostanie między nami.

— Oczywiście — przytaknął kapitan.

W głosie Blacka brzmiała ulga.

— Bardzo było mi miło pogawędzić z panem — dodał kurtuazyjnie.

— A jak zdrowie małżonki? Czy dobrze znalazła syna w Paryżu? — zapytał Rosta.

— Dziękuję. Wszystko w jak najlepszym porządku. Spodziewam się, że żona wkrótce wróci.

— To doskonale: Zapewne czuje się pan tu nieco samotny, gdy jej nie ma.

— Ach, cóż znowu. Mam w Warszawie wielu przyjaciół.

Pożegnali się serdecznie niemal jak para dobrych znajomych.

A więc i Black się bał. Z pewnością miał podejrzenia co do osoby swojej żony. Czy podejrzenia te się rozwiały? Czy może tylko jest zadowolony, że śledztwo poszło innym, choćby fałszywym torem?

Zastanawiał się, jak wypadnie postąpić, gdy pani Black wróci. Natychmiastowa rozmowa może ją zaskoczyć, czy jednak doprowadzi do załamania i wyznania prawdy? A jaka właściwie jest ta prawda? Ciągle nie mógł w to uwierzyć, choć przeciwko tej kobiecie przemawiało tak wiele poszlak. Tyle już było rozmaitych nici, a wszystkie rwały się i prowadziły do nikąd. Czyżby słuszna była jego koncepcja, którą kiedyś w przypiływie szczerości zdradził Olskiemu, że Paulę Piano zabił nieodpowiedzialny szaleniec? Nie, nie powinien jeszcze o tym myśleć.

32

Następnego dnia porucznik Olski przybył do komendy wcześniej i zaczął porządkować pęczniące wciąż akta śledztwa. Robił to dokładnie i pedantycznie jak zawsze, ale trudno mu było skupić myśli. Od rana był napięty i zdenerwowany, choć nie potrafił zdać sobie jasno sprawy z przyczyny tego stanu. Podczas krótkiego spotkania z kapitanem Rostą ustalili, że trzeba będzie jeszcze raz przesłuchać niektórych świadków nie wyłączając Murkowskiego oraz przejrzeć dotychczasowy materiał śledztwa w celu znalezienia w nim ewentualnych rozbieżności i luk. Równocześnie wciąż trwała inwigilacja świata przestępczego i postukiwanie pistoletu, z którego padł strzał. Niezależnie od tego należało kontynuować dyskretną obserwację Blacka i trzymać rękę na pulsie, aby uchwycić moment powrotu pani Black. W tej ostatniej kwestii

Olski był w kontakcie zarówno z lotniskami, jak i z punktami

granicznymi.

Około południa porucznik zdał sobie sprawę, że podświadomie na coś czeka. Czyżby na pojawienie się Julii Gałcz? Myśl o niej również nie dawała mu spokoju. Był przekonany, że za wizytami składanymi w komendzie kryje się jakaś prawda, której nie chciała wyznać z sobie tylko znanych przyczyn. Dlaczego? Czy wstrzymywała ją wrodzona skrytość, czy też pragnęła coś przed nim zataić? Na to pytanie nie był w stanie udzielić sobie odpowiedzi. Gdyby zjawiała się dziś u niego, przynosząc nowy anonim, porozmawiałby z nią pierwszy, zanim zdąży to zrobić Niebora. Być może z dobrym rezultatem.

Gdy tylko przyszedł do pracy, odbył rozmowę z wywiadowcą, który wczorajszego popołudnia i wieczoru obserwował dom Julii i czuwał nad jej bezpieczeństwem. Zapewnił go, że nie zauważył nic podejrzanego. Dziewczyna wczoraj nie wychodziła od chwili powrotu z komendy, a pod wieczór odwiedził ją narzeczony. Rano, około ósmej jak zwykle wyszła do pracy. Zwrócił jednak uwagę, że poruszała się z ostrożnością, przez chwilę lustrowała ulicę, zanim odważyła się na nią wyjść, a zaraz potem, wciąż niespokojnie się rozglądając, zatrzymała przejeżdżającą taksówkę. Czy skromnie zarabiającą maszynistkę stać na rozjeżdżanie się taksówkami? Z pewnością nie. Postępowała tak, bo się kogoś bała. W taksówce czuła się bezpieczniejsza. Był przekonany, że wśród tych wszystkich kłamstw, które produkowała w komendzie, oraz chwytów stosowanych w nieco, naiwny sposób (Niebora przejrzał ją od razu) ta dziewczyna najwyraźniej się bała. A jeśli przyjąć, że nie była chora psychicznie, strach musiał mieć swoją przyczynę. Olski polecił wywiadowcy, aby na obserwację Julii Gałcz poświęcił jeszcze jeden dzień, mówiąc sobie w duchu, że najwyższy czas skończyć z tą historią, która w końcu nie należała do jego obowiązków, a zabierała mu czas i zaprzętała myśli.

Był zły, że ta dziewczyna absorbuje go tak dalece. Zwłaszcza, iż zdawał sobie w pełni sprawę, jaka jest tego przyczyna. Wszystkiemu winne było nieszczęsne podobieństwo do znanej pieśniarki. Czyżby w Warszawie był ktoś, kto postawił sobie za

cel uśmiercanie pięknych, młodych i czarnowłosych kobiet?

Nagle zaświtała mu pewna myśl. Przypomniał sobie portiera Teatru Rewiowego, który także wspomniał o czarnej dziewczynie rzekomo podobnej do Pauli Piano. Nie był wprawdzie pewny, czy zdjęcie przedstawiało Paulę, czy kogoś do niej podobnego, ale niewykluczone, że coś mogło się w tym kryć. Kto wie, ile jest w tym wszystkim zbiegu okoliczności, a ile... Nie dokończył swej myśli. Na pozór logicznych powiązań nie było żadnych.

Postawił sam sobie pytanie, czy gdyby Julia nie była tak podobna do Pauli Piano, zajmowałby się jej sprawą. Możliwe, że poprzestałby na skierowaniu jej do właściwego wydziału w komendzie. Tyle jest w Warszawie ładnych dziewcząt, a on jakoś ostatnio utracił ochotę na owe małe flirciki, które kiedyś uważał za nieodzowne urozmaicenie... Spotkania w małych kafejkach, dokąd biegł po pracy zamieniwszy mundur na cywilne ubranie, wyprawy do kina, telefony załatwianą wśród licznych służbowych zajęć. Wszystko to przestało go cieszyć, odkąd rozstał się z Krystyną. Co ona może robić, kogo widuje, z kim się spotyka? Od czasu ostatniego niefortunnego telefonu Krystyna nie odezwała się więcej, a i on jej nie szukał. Skoro ta dziewczyna wymagała od niego zawsze czegoś, czego nie mógł jej dać, skoro nie chciała go zrozumieć i uznać wymogów, jakie stawiała jego praca, nie pozostawało chyba nic innego niż rozstanie. Lepiej teraz niż później — myślał z goryczą.

Znów pochylił się nad aktami śledztwa i po raz pierwszy ogarnęło go zwątpienie. Czy zabójca Pauli Piano kiedykolwiek zostanie odnaleziony i ukarany? Jeśli śmierć jej była dziełem tej zagranicznej damy, pani Black z pewnością miała dość czasu i możliwości, aby zatrzeć wszystkie ślady. Udowodnienie jej winy, "której może nawet domyśla się własny mąż, zapewne okaże się niepodobieństwem. I nagle oczyma wyobraźni zobaczył dobrze znany biały arkusz papieru z nagłówkiem „postanowienie o umorzeniu śledztwa”, który pewnego dnia zamknie leżące przed nim akta.

— To niemożliwe — powiedział głośno sam do siebie.

Okolo szóstej po południu porucznik Olski powziął nagle postanowienie. Zdecydował się pójść do mieszkania Julii Gałcz i odbyć z nią rozmowę. Dziewczyna przez cały dzień nie pokazała się w komendzie, pytał o to Nieborę. Czy zorientowała się, że gra jej została przejrzana, czy też może przestała oczekiwać upragnionej pomocy? Tak czy inaczej sprawa jej nurtowała go i postanowił rozwikłać ją aż do końca. Miał właśnie trochę czasu, do domu wracać mu się nie chciało, było pogodne i ciepłe listopadowe popołudnie, postanowił więc udać się spacerkiem w stronę mieszkania Julii. Był przekonany, że dziewczyna wyjawি mu, co skłoniło ją do tak zagadkowego postępowania. Po raz pierwszy w życiu zetknął się z młodą i piękną osobą, piszącą do siebie anonimy z pogroźkami.

Dom przy ul. Wilczej 69 był domem z typu tych, które warszawiacy określali mianem „nowy-stary”. Wybudowany niedługo przed wojną, musiał w tamtym okresie należeć do najelegantszych w swojej dzielnicy. Dziś wyraźnie poznać było po nim ślady wieloletniego zaniedbania i zniszczenia. W kostce, niegdyś starannie ułożonej na podwórku, widniały gęste szczyrby, do małej sadzawki od lat nikt nie napuszczał wody, na szarych nie odnawianych dawno murach aż do dziś pozostały ślady szrapneli. Olski skręcił w prawo do klatki schodowej, w której mieściło się mieszkanie Julii Gałcz, i ujrzał wywiadowcę wylaniającego się z przeciwległej sieni. Dostrzegł też, że tamten daje mu ledwie dostrzegalny znak ręką.

— Jest sama w domu — szepnął, gdy Olski zbliżył się do niego.
— Matka wyszła co najmniej przed godziną z jakąś starszą kobietą, pewnie siostrą.

Olski podziękował skinieniem głowy i ruszył w kierunku sieni. Wywiadowca poszedł za nim trzymając się w odległości kilku kroków. Pomimo luksusowego wykończenia kafelków zdobiących sien i marmurów, częściowo powyrywanych dłońmi nieznanymi niszczycieli, dom nie miał windy, zaczął więc wspinać się po schodach na trzecie piętro, gdzie mieszkała

Julia. Nagle przystanął. Usłyszał łomot jakby przewracanych mebli i wysoki, cienki krzyk kobiety. Nie był pewny, czy to głos Julii, ale ostatnie stopnie przeskoczył jednym susem. Teraz doszedł go brzęk tłuczonego szkła.

— Uspokój się — błagał głos kobiety. — Ty chyba oszalałeś.

Runął na drzwi całą swą potężną postacią. Nie słyszał nawet kroków za sobą. Lecz wywiadowca był tuż za nim, gotów przyjść z pomocą. W tej chwili rozległ się suchy trzask. Olski nie miał wątpliwości. Był to odgłos pistoletowego strzału. Bez słowa obydwaj rozpoczęli walkę z sosnowymi drzwiami, na szczęście niezbyt mocno tkwiącymi w zawiasach. Niemal błyskawicznie znaleźli się w przedpokoju. W głębi mieszkania panowała cisza, przerywały ją tylko jęki.

— Stać, bo strzelam — rozległ się nagle ostry męski głos.

— Odrzuć broń, ręce do góry! — krzyknął porucznik Olski.

Obaj równocześnie wpadli do pokoju przez duże podwójne drzwi. Na podłodze leżała Julia Gałcz wydając ciche jęki. Z piersi jej płynęła strużka krwi. W kącie za dużym starym fotelem stał mężczyzna z wyciągniętym w ich stronę pistoletem.

— Ani kroku dalej! — krzyknął histerycznie.

Olski niewiele myśląc chwycił stojącą na stole doniczkę i rzucił w jego stronę. Wtedy właśnie rozległ się strzał. Porucznik chwycił się za lewe ramię..

— Dostałem — rzucił w stronę wywiadowcy.

Tamten już był przy złoczyńcy, który śmiertelnie blady stał za fotelem, wciąż z pistoletem w ręce. Jeszcze raz pociągnął za spust, ale zawiodły go nerwy. Pocisk utkwił w przeciwległej ścianie. Wywiadowca już go dopadł, jednym zręcznym ruchem podbił mu rękę, z której wypadła broń z brzękiem uderzając o posadzkę. Olski podniósł ją w oka mgnieniu. Był to FN kaliber 6.35. Pokonując ból doskoczył do mężczyzn zmagających się z sobą i zwartych w śmiertelnym uścisku. Zapomniał o rannym ramieniu, ogarnięty jedną tylko myślą, jednym dążeniem. Tamten wciąż bronił się zaciekle. Był jednak słabszy od nich obu i nie wyćwiczony w walce wręcz. Olski powalił go na ziemię mocnym, celnym ciosem zdrowej ręki.

— Nie bijcie — powiedział, gdy pochyłili się nad nim z nabrzmiałymi, groźnymi twarzami. — Przecież i tak mnie macie.

— Telefon, gdzie tu jest telefon? — oprzytomniał Olski. Teraz dopiero poczuł w ramieniu rwący przenikliwy ból promieniujący po całym ciele. Spojrzał na bezwładnie leżącą Julię. — Lekarza prędzej, ta dziewczyna umiera!

Pokonując własne cierpienie, nie zważając na krew przesączającą jego ubranie, nachylił się nad leżącą.

— Julio — odezwał się. — Czy pani mnie słyszy, czy może pani mówić?

Dochodziło do niego tylko rżenie dobywające się z jej krtani.

— To ja... ja jestem wszystkiemu winna. Przeze mnie zginęła Paula Piano — wyszeptala tak niewyraźnie i cicho, że przez chwilę miał wrażenie, iż ulega halucynacji.

34

— Nie będę nic przed panem ukrywał, panie kapitanie. — Wiesław Krochmalski mówił wolno, jakby ważył każde słowo. — Wyznam panu wszystko. Moje milczenie już i tak na nie się nie zda.

Zamilkł i czekał na jakiś znak zachęty. Kapitan Rosta skinął głową.

— Może pan mówić, co pan chce — powiedział. — Czasu mamy dosyć.

— Mnie się na pewno nigdzie nie spieszy — odparł Krochmalski. — A może i lżej będzie wszystko z siebie wyrzucić, bo to przecież zżera człowieka i gnje go do ziemi. Sam nigdy nie sądziłem, że zostanę zabójcą. Człowiek tak mało wie o sobie, o tym, co w nim drzemie, do czego może być zdolny. Takie nieszczęście.

— Powinien pan raczej boleć nad nieszczęściem, które sprowadził pan na innych. Dwie kobiety i nasz kolega, który przebywa w szpitalu z przestrzałem ramienia — to niemałe żniwo.

Krochmalski zbladł.

— Julia umarła? — zapytał głucho.

Rosta patrzył na niego.

— Walczy ze śmiercią — powiedział.

Przez dłuższą chwilę Krochmalski nie mógł wydobyć z siebie słowa.

— Nie wiem, czy mi pan uwierzy, kapitanie, ale ją jedną kochałem w życiu.

— Dziwna miłość — zauważył Rosta.

Krochmalski milczał.

— A więc panie Krochmalski — ponaglił kapitan. — Słucham pana.

— Poznałem ją nad morzem w lecie ubiegłego roku: Najpierw spotkaliśmy się na dansingu. Ona zgubiła taki mały klejnocik, a ja go znalazłem. Ucieszyła się, bo kobiety, wiadomo, lubią świecidełka. Pan nie widział jej zdrowej. Nie wie pan, jak bardzo była podobna do Pauli Piano. Byłem przekonany, że oddałem usługę słynnej pieśniarce. Prosiłem, żeby zaśpiewała, bo ona, aby mi okazać wdzięczność, zapytała, czym może mi zrobić przyjemność. Odmówiła, a ja sobie pomyślałem, że taka gwiazda musi mieć strasznie przewrócone w głowie. Gdybym wtedy wiedział...

Spotkałem ją ze dwa dni później na plaży. Była sama, uśmiechnęła się do mnie bardzo życzliwie, więc podszedłem i zaczęliśmy rozmawiać. Zapytałem, czy przyjechała odpocząć po występach, a ona odpowiedziała, że tak. Już wtedy wiedziała doskonale, za kogo ją biorę. Podobała mi się bardzo; świetnie o tym wiedziała, ale chyba i ja jej przypadłem do gustu, bo umówiła się ze mną jeszcze dwa razy, chociaż przyjechała z kim innym. Potem, kiedy wyjeżdżała, prosiłem o spotkanie w Warszawie i o telefon, ale ona wyjaśniła, że do niej dzwonić nie mogę, bo ma bardzo zazdrosnego przyjaciela, któremu zawdzięcza całą swoją karierę. Prosiła też, żebym jej nie szukał ani nie przychodził do niej do teatru. Wtedy ja dałem jej swój telefon i proszę sobie wyobrazić moją radość, kiedy w dwa tygodnie później zadzwoniła. Zaczęliśmy się spotykać, ale zawsze jakoś tak w sekrecie, bo mówiła, że ona sobie na flirty

pozwolić nie może i mogłoby jej zaszkodzić, gdyby się dowiedzieli o naszych spotkaniach. Ja także byłem nie od tego, żeby się z nią widywać po kryjomu, bo, przecież mam żonę i dziecko, o czym nie powiedziałem jej wcale. W tym czasie chodziłem często do Teatru Rewiowego popatrzeć na nią na scenie i nacieszyć się, że taka babka mnie, skromnemu człowiekowi, okazuje swoją łaskawość. Często dostawałem bilety od niej, czasem nawet dwa, żebym mógł, jak powiadała, zaprosić jakiegoś kolegę, ale ja nigdy nikogo nie zapraszałem, bo o tym z nikim nie miałem zwyczaju mówić.

Zawsze ofiarowywała mi miejsca bardzo dalekie, na balkonie albo i nawet na galerii, dziś wiem już, dlaczego, nie chciała, żebym się tamtej zbyt dokładnie przyjrzał, bobym pewnie sam zauważył różnicę między nimi. Wtedy ona tłumaczyła to całkiem inaczej, mówiła, że tam właśnie, tak wysoko i daleko, najlepiej słyhać śpiew, bo tam tylko jest naprawdę dobra akustyka, a na parter do pierwszych rzędów pchają się snobi, którzy o muzyce nie mają najmniejszego pojęcia i zależy im tylko na tym, żeby się pokazać w teatrze. Wierzyłem we wszystko, panie kapitanie, choć może się panu wydać, że to głupie, mam trzydzieści sześć lat, a dałem się omotać jak jaki szczeniak. Czasem umawialiśmy się po teatrze, czekałem na nią w pobliskiej bramie, nigdy nie pozwalała mi czekać tam, skąd wychodzą aktorzy, mówiąc, że nikt nie śmie spotkać nas razem. Czekałem na nią nieraz dosyć długo, bo jak mi potem opowiadała, do jej garderoby przychodziły różne ważne osoby z gratulacjami i miała sporo kłopotu, aby się od nich uwolnić i spotkać ze mną. Schlebiało mi to wszystko bardzo i coraz więcej ją kochałem. Kiedyś powiedziałem: „Słuchaj, tak dłużej być nie może. Na przyszłość nic nie jestem w stanie ci zaofiarować, bo cóż przy tobie znaczę, ja, urzędnik czwartej grupy, zależny od humorów nie tylko dyrektora, ale nawet i naczelnika, taka kobieta jak ty potrzebuje towarzysza, co może jej dać oprawę, a u mnie z pieniędzmi krucho, ale chciałbym być z tobą tak jak mężczyzna pragnie być z kobietą, jeśli ją kocha. I powiedziałem jej, że jeden mój kolega ma małe mieszkanko na Starówce, taką kawalerkę pod strychem z wcale

ładnym widokiem na Wisłę, i że tam moglibyśmy się spotykać. Zgodziła się, wprawdzie nie od razu, ale po pewnym czasie, tak jak przystoi kobiecie, która wie, czego chce, a nie korzysta z pierwszej lepszej okazji. Spotykaliśmy się tam rzadko, bo ona stale wykręcała się różnymi zajęciami i tym, że pilnuje jej przyjaciel. Nigdy mimo moich prośb nie chciała mi powiedzieć, kto to był, ale się dorozumiewałem, że to albo reżyser, albo dyrektor teatru. To pana nie interesuje, panie kapitanie, ja wiem, bo to do śledztwa nie należy, ale żeby pan wiedział, jakie ja z nią tam przeżyłem szczęśliwe chwile. Nawet nie domyślałem się, że tyle radości można przeżyć, choć byłem od dziesięciu lat żonaty, a przecież i na boku miałem niejedną. Wtedy chyba zupełnie zwariowałem dla niej i raz się jej nawet zapytałem, czyby chciała, być ze mną zawsze, ale ona wybuchnęła śmiechem i śmiała się tak długo, że we mnie aż się coś przekreśliło z żalu. Pomyślałem sobie, że chyba jestem dla niej zabawką, skoro tak się śmieje z moich uczuć. Ale potem spotkaliśmy się znów i wszystko było między nami jak najlepiej, więc sobie przelożyłem, że nie powinienem brać jej za złe tego śmiechu, bo przecież przed nią świat stoi otworem, a cóż ja jej mogę ofiarować? Czasem kwiatki jej przynosiłem i więcej nic. Pewnego dnia jednak mój kolega wrócił, nie mogliśmy się więcej spotykać w jego mieszkaniu, więc zacząłem nalegać, żeby się widywać albo u niej, albo w jej atelier, o którym też opowiadała. Najpierw nie chciała się zgodzić, ale potem dała mi adres i nawet telefon, bo do teatru za nic nie wolno mi było dzwonić. Teraz wiem, że to było mieszkanie jakiejś koleżanki, a nie żadne atelier, nawet pianina tam nie było, ale ona mi tłumaczyła, że obecnie się ćwiczy śpiew tylko przy magnetofonowej taśmie. Wierzyłem we wszystko, panie kapitanie, jak jaki głupi. Tak było prawie przez rok, aż do ostatnich wakacji. Potem ona wyjechała, ale mnie nie powiadomiła dokąd, oznajmiła, że urlop spędza z przyjacielem i nie życzy sobie żebym za nią jeździł ani się jej narzucał bo o tym, co nas łączy, nikt nie ma prawa Wiedzieć. Wróciła po jakimś czasie, zadzwoniła, widzieliśmy się wtedy raz czy dwa, a potem znów przyszedłem, tak jak było

umówione, i nikt nie otworzył mi drzwi. Zdenerwowałem się okropnie i wtedy po raz pierwszy zadzwoniłem do niej do teatru. Nie chcieli mnie połączyć, pytali o nazwisko, taki byłem wkurzony, że powiedziałem, niech wie, że ją znajdę, jeśli zechcę — pomyślałem sobie. A na to po chwili jakaś sekretarka: „Panna Piano powiedziała, że sobie pana nie przypomina i w tej chwili jest mocno zajęta”. — Strasznie mnie to szarpnęło, zrozumiałem, że jestem dla niej tylko igraszką. Gdy w parę dni potem zadzwoniła do biura, wygarnąłem wszystko. Zdenerwowała się, że szukałem jej w teatrze. I wtedy właśnie powiedziała, że musimy przestać się widywać, bo naruszyłem warunki umowy. Gdyby pan słyszał, jak jej się to lekko powiedziało!

Ja, panie kapitanie, swoją ambicję mam. Żadnej narzucać się nie zamierzałem, choćby i gwiazdą była. Trzasnąłem słuchawką, może jeszcze nigdy nikt z nią tak nie postąpił, niech wie! Potem, po paru tygodniach próbowałem jeszcze kiedyś pójść do tego fałszywego atelier, ale znów drzwi zastałem zamknięte. Dzwoniłem także, ale mi stale jakaś obca kobieta mówiła, że to nieporozumienie, że mam zły numer telefonu, bo tutaj nie ma żadnej panny Piano. Teraz się domyślam, że ona, podobnie jak ja przedtem, od kogoś pożyczała mieszkanie, ale tamta osoba wcale nie wiedziała, jakie kino odgrywa przede mną. Próbowałem nawet dotrzeć do teatru. I tam była nieosiągalna. Ciągłe mi mówili, że jej nie ma albo że jest na próbie, albo że nie przyjmuje, a bileterzy śmieli mi się prosto w oczy. Pomyślałem sobie, że tak się urządziła, żebym nie miał do niej żadnego dostępu. Widać uważała, że tylko mogę skompromitować taką osobę jak ona. Teraz wiem, jakie to było straszne nieporozumienie... Teraz już jest za późno.

Chodziłem więc z moją goryczą i obmyślałem zemstę. Kiedyś w dzieciństwie ojciec uczył mnie, że los jest sprawiedliwy, nagradza dobre, a karze złe. Były to takie wychowawcze gadki, ale ja długo w nie wierzyłem. Myślałem, że może coś jej się nie powiedzie, że jakieś wydarzenie przerwie łańcuch tych sukcesów i wtedy do mnie wróci. Ale gdzie tam! Robiła się coraz sławniejsza.

I gdy prasa zapowiadała tę świetną, nową premierę, głównie dla niej przygotowaną, postanowiłem, że to będzie właściwy dzień. Przygotowywałem się do niego od dawna. Znałem budowę naprzeciwko Teatru Rewiowego, wiedziałem, o której robotnicy kończą pracę i w jaki sposób można się tam dostać w przeciągu paru minut nie zwracając niczyjej uwagi. Znałem też godzinę zakończenia przedstawienia, zresztą kulilem sobie nawet na nie bilet, na galerię, którą mi tak zawsze zalecała. Chciałem się jej jeszcze ostatni raz przyjrzeć i oglądając jej triumf wiedziałem, że to już ostatni, że za chwilę zda rachunek z tego, jak ze mną postąpiła. Kombinowałem sobie nawet, jak by to było efektownie strzelić do niej z galerii prosto na scenę, ale to były przecież tylko mrzonki. Ludzie złapałoby mnie za rękę, zanim zdążyłbym nacisnąć spust. Strzelać umiałem od dawna, nie tylko z wojska, jeszcze przedtem w szkole byłem w kółku strzeleckim i strzelectwo sportowe zawsze było moją pasją. Po prostu byłem dzieckiem, które dorastało w czasie okupacji, miałem trzy lata, kiedy wojna wybuchła, ojciec mój przez cały czas walczył najpierw w wojsku, a potem w partyzantce, słyszałem w domu wiele dyskusji o akcjach, które rozpałały moją wyobraźnię. Mój ojciec umarł dwa lata temu, dobrze, że nie dożył...

— Skąd miał pan broń? — kapitan Rosta przerwał medytacje Krochmalskiego.

Drgnął, jakby zbudzony ze snu.

— Broń? To był pistolet ojca. Dostał go jeszcze przed powstaniem i nigdy się z nim nie rozstawał. Nie potrafił się go wyrzec. Kiedy broń trzeba było zdawać, schował go i myślał, że nikt o tym nie wie. Ten pistolet, kiedyś w czasie jakichś porządków, znalazła matka, klócili się o to okropnie, że ojciec dom naraża, ale i matka nie mogła go przekonać. Słyszałem wszystko, gdyż nie spałem, chociaż godzina była późna i rodzice nie brali tego pod uwagę, że ich mogą usłyszeć. Potem już sam potrafiłem odnaleźć ten pistolet schowany na pawlaczu w kieszeni starego garnituru ojca. Bawiłem się nim od czasu do czasu, gdy byłem sam w domu. A, potem dorosłem, ożeniłem się i wyprowadziłem od rodziców. Kiedy moi rodzice umarli,

najpierw matka, a potem ojciec, zabrałem ten pistolet do siebie. Polubiłem go, a przy tym pomyślałem, że przyjemnie jest mieć własną broń. Nie przypuszczałem wtedy, że kiedyś zabiję z niej człowieka.

— Zabił pan osobę, która nie uczyniła panu najmniejszej krzywdy — powiedział Rosta. — Widać zabijanie spodobało się panu, skoro i drugą chciał pan usunąć spośród żywych.

— Panie kapitanie! Pan wie, jak boleśnie zostałem oszukany. I to podwójnie. Kiedy zobaczyłem ją w kawiarni w parę dni po śmierci tamtej, myślałem, że serce mi z piersi wyskoczy. Dopiero wtedy mi się rozjaśniło w głowie. Wiedziałem, że milicja szuka zabójcy Pauli Piano, byłem zdenerwowany, choć miałem nadzieję, że do mnie nie dotrzecie. Byłem postacią z marginesu. Wiedziałem doskonale, że panowie będziecie szukać bliżej, wśród tych, którzy kręcili się wokół niej. Ciekaw byłem, jak to się skończy, ale o siebie za bardzo się nie bałem, nie pozbyłem się nawet pistoletu, co pierwotnie było moim zamiarem, bo mi się go zrobiło żal. I właśnie wtedy spotkałem ją. Jakby we mnie piorun strzelił. Ona też mnie zobaczyła i uciekła. Biegła przez ulicę, ja za nią, zaczął padać straszny deszcz, ona wskoczyła w taksówkę, ja także i kazałem jechać śladem tamtej. Ona nie orientowała się, że ją śledzę, ale się bała. Ostatnio prawie nie wychodziła z domu, trwożnie rozglądała się po ulicy. Mogłem ją zastrzelić wieczorem na pustej ulicy, mogłem z tym czekać, ja potrafię czekać, jeśli sobie coś postanowię, panie kapitanie. Wkrótce wiedziałem o niej wszystko. Gdzie mieszka, gdzie pracuje, jak się nazywa, że ma chłopaka. I pomyślałem sobie: śmierć za śmierć. Ona się mnie bała, bo się pewnie domyślała, kto zabił Paulę Piano, a jeśli nawet nie, to i tak miała dość powodów do lęku. Bo gdy mnie zobaczyła i popatrzyliśmy sobie prosto w oczy, choć była to tylko sekunda, dosłownie błysk, wiedziała przecież, że ją poznałem i że runęła ta cała bлага, którą mnie raczyła. Mogła się też domyślić, że jej nie daruję.

Wybrałem wreszcie odpowiedni dzień. Było to wkrótce potem, kiedy ukazała się notatka, że panowie już kogoś macie. Pomyślałem sobie: udało się, nikt już ścigać mnie za tamto nie

będzie. Właściwie nie byłem zdecydowany, jak z nią postąpić, ale na wszelki wypadek zabrałem broń.

Wcześniej wyszedłem z pracy i przesiedziałem na strychu, tuż nad jej mieszkaniem. Słyszałem, że jest sama, bo matka wyszła. Zszedłem po cichu, zadzwoniłem do drzwi trzy razy, leciutko, tak jak zwykle robią domowi. Otworzyła i krzyknęła, gdy ujrzała mnie w progu. „Jak się masz? — powiedziałem. — Może będziesz łaskawa mnie wpuścić” — Wpuściła, a jakże, cała się trzęsła, ale robiła dobrą minę do tej gry. Zapytała, co mnie sprowadza. Wygarnąłem jej wszystko, co o niej myślę. A ona na to, żebym zostawił ją w spokoju. Chciałem ją chwycić, potrząsnąć nią, wytrzasnąć z niej te wszystkie brednie, jakimi mnie raczyła. Uciekała przede mną, czepiała się przedmiotów, przewracała meble, jakby mój dotyk miał ją zabić. A we mnie też wyzwolił się taki gniew, taka furia, że już się opanować nie potrafiłem. A kiedy usłyszałem łomot do drzwi, do reszty straciłem rozum i wypaliłem.

— Skończył pan? — zapytał kapitan Rosta.

— Tak — skinął głową Krochmalski. — To chyba wszystko.

— Będzie pan to musiał powtórzyć raz jeszcze do protokołu — sucho zastrzegł się Rosta.

— Jeżeli to potrzebne...

— Chciałbym jeszcze zapytać... panie kapitanie... czy ona będzie żyła? Niech mi pan powie prawdę.

Kapitan Rosta popatrzył na niego i Krochmalskiemu wydało się, że widzi w jego wzroku jakiś cieplejszy błysk.

— Lekarze robią wszystko, co w ich mocy — powiedział tylko.

Porucznik Olski miał dziś naprawdę dobry dzień. Nie tylko dlatego, że lekarze oznajmili, iż w ciągu najbliższego tygodnia będzie mógł opuścić szpital. Rana goiła się szybko i dobrze, czekał go jeszcze wprawdzie pobyt w sanatorium, ale była to raczej przyjemna perspektywa. Raz po raz wzrok jego biegł ku stolikowi przy łóżku, na którym stał bukiet anemonów. Przyniosła mu je dziś Krystyna. Przyszła tak zwyczajnie, bez

uprzedzenia, a jemu od razu wydało się, że wszystkie niedobre chwile, wszystkie te dni i tygodnie, w czasie których jej nie widywał, gdzieś się rozwiały i zatarły w jego pamięci.

W południe odwiedzili go major Bartecki i kapitan Rosta. Zainteresowanie, jakie okazywali mu zwierzchnicy, sprawiało porucznikowi wiele przyjemności. Major Bartecki wspominał nawet mimochodem o jakimś odznaczeniu, a on o nic nie pytał zagłębiając się w swoich myślach, spokojny, niemal szczęśliwy. Powiedzieli mu, że śledztwo w sprawie zabójstwa Pauli Piano dobiega końca, że na razie ograniczyli się do wydania komunikatu dla prasy czekając z urządzeniem konferencji, na jego, Olskiego, wyzdrowienie. Redaktor Bujnowicz, który ciągle interesuje się sprawą i pisze na ten temat artykuły zarówno do Meteora, jak i do Echa, dzięki czemu w ciągu krótkiego miesiąca stał się znanym w stolicy dziennikarzem, zwrócił się do niego o udzielenie wywiadu, gdy tylko Olski będzie miał dość sił na rozmowy z przedstawicielami prasy.

Raz jeszcze spojrzął na anemony i zdrową ręką sięgnął po list leżący obok na stolyczku. Na kopercie widniało znajome duże, nierówne pismo, może tylko tym razem ręka autorki lekko drżała, gdy stawiała te litery. Pochodził od Julii Gałcz, która dziękowała mu za ocalenie. Wciąż jeszcze przebywała w szpitalu, stan jej był nie najlepszy, choć niebezpieczeństwo minęło. W gorących słowach prosiła porucznika o wybaczenie. „Sprowadziłam nieszczęście na tyle osób i siebie samą — pisała. — Jakże teraz z tym ciężarem będę żyć? Ale niech mi pan wierzy, nigdy nie przypuszczałam, że i kłamstwo zabija...”



...drzwi teatru otworzyły się i stanęła w nich Paula Piano w długiej jasnej sukni i pelerynie z futra narzuconej na ramiona. Wśród czekających rozległy się oklaski.

— Niech żyje Paula! — zawołał ktoś. — Niech żyje!

Pieśniarka odwróciła się w tamtą stronę ze wzniesioną do pozdrowienia ręką i wtedy właśnie w ciemności rozległ się suchy trzask, podobny do tych, jakie za-

zwyczaj wydają aparaty fotograficzne. Paula Piano zachwiała się gwałtownie i runęła na płyty chodnika. Zebrani zniechęceni na chwilę, potem tłum zaszumiał, skłęblił się i zakotłował. Najbliżej stojący rzucili się ku postaci kobiecej skulonej na asfalcie. Leżała u ich stóp, nieruchoma, głucha na wołania, z twarzą szarą w świetle ulicznej latarni.

Cena zł 16.—

